Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

WOLNA SOBOTA

• Czy Rudolf Höss jest w niebie? • Kobieta trans w rosyjskiej armii • Śmiertelny pakt milczących bliźniaczek • Brejza: Poznałem nazwiska moich szpiegów • Bogart naszych czasów – 80 lat „Casablanki”

WYSOKIE OBCASY

Jagna Marczułajtis: Nie mam już złudzeń

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Bono w Kijowie porzucił pacyfizm?

FOT. MUSTAFA YALCIN/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 47>

Maria Klementyna Sobieska
polska królowa Anglii

Stanisław Kosior
menedżer Wielkiego Głodu

JUTRO NAUCI
Czy Żabka, Biedronka i Lidl będą prognozować pogodę? ▸ 30

Sobota–niedziela, 26-27 listopada 2022 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **8,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 275.10163, 1
Nakład 113 tys. + 294 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 9f18aadd43

Agnieszka Kublik

Wystawiam opozycji fakturę

PiS kosztuje nas, Polskę, Polki i Polaków, tak ogromne pieniądze, że aż trudno to ogarnąć. Ale – pytam opozycję – ile będzie kosztowała wasza porażka?

– Rządy PiS kosztują nas bardzo dużo. Coraz więcej Polaków zaczyna to rozumieć i dostrzegać szczególnie teraz, kiedy pod znakiem zapytania stoi nasze bezpieczeństwo energetyczne, szaleje inflacja, a za wschodnią granicą mamy wojnę – powiedział Kamil Stelmasik, radny z Ostrowca Świętokrzyskiego, działacz Polski 2050. I na drzwiach biura PiS powiesił fakturę. Podobne faktury mają zawisnąć w całej Polsce. Świetna akcja.

Faktura opiewa na 318,67 mld zł, obejmuje rządy Kaczyńskiego od 2015 r. do dziś. Partia Hołowni zsumowała m.in. pieniądze, jakich Polska nie otrzymała z Unii w ramach Krajowego Planu Odbudowy, kary naliczone za brak porozumienia z Czechami w sprawie kopalni Turów i niewykonywanie orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości UE dotyczącego sądownictwa, a także dotacje dla TVP, wydatki na budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego, Pałacu Saskiego i na „wybory kopertowe", które nie doszły do skutku w 2020 r. To skromny rachunek, bo przecież PiS wyprowadza pieniądze poza budżet, finansuje różne instytucje niekoniecznie potrzebne lub dublujące już istniejące, jak Instytut Strat Wojennych czy Polski Instytut Rodziny i Demografii.

Na opozycji wspólnej listy chce tylko Tusk. PSL, Lewica, Hołownia wolą osobno. A Kaczyński jest gotowy na koalicję nawet z prorosyjską Konfederacją

Hołownia nazywa akcję „aktem obywatelskiego gniewu". – Zacznijcie od siebie, zacznijcie, na Boga, oszczędzać, zacznijcie zaciskać pasa. Obiecaliście Polakom dobrobyt, a mamy rozpasanie w wydatkach, pompowanie pieniędzy do swoich środowisk, marnotrawstwo pieniędzy nie tylko na nietrafione projekty, ale też na kary, które musimy płacić za politykę tego rządu – apeluje. I zapewnia, że opozycja „rozliczy się z PiS za to, co nam zabrał".

A ja pytam – jak? Bo choć Hołownia zapewnia, że dla pokonania PiS w wyborach zrobi „wszystko", to „wszystko" nie obejmuje jednej wspólnej listy opozycji.

Na razie tylko Tusk zachęca do jej budowy. I PSL, i Lewica, i PL2050 wolą, by list było więcej. Może aż trzy? Wtedy opozycja może mieć większość, ale za małą, by odrzucać prezydenckie weto (276) czy zmienić konstytucję (307).

Jarosław Kaczyński podczas spotkań z wyborcami przekonuje, że ma 51 proc. poparcia. Liczy to wedle badań zamawianych przez swoje media w niecertyfikowanych sondażowniach. PiS – 38 proc., Konfederacja – 9, Kukiz – 2, do tego dolicza Republikanów i wychodzi mu trzecia kadencja. A to znaczy, że Kaczyński jest gotów na wszystko – nawet na utworzenie rządu z prorosyjską, nacjonalistyczną Konfederacją.

Czy opozycja mogłaby sobie wyliczyć, ile kolejna kadencja Kaczyńskiego będzie Polskę kosztować? Bo wystawimy wam fakturę za porażkę. Zacznijcie, „na Boga", się liczyć. Z nami i ze sobą. ●

Wieści z dobrego świata
Przystanek Alaska

FOT. CAPT. JOSH THOMPSON/AP

Strażacy i strażnicy leśni zjednoczyli siły, by wyprawić z powrotem do dziczy łosia, który wpadł przez okno do domu w Soldotnie na Alasce. Uspokoili go i wynieśli z domu na noszach. Teraz pożegnalne zdjęcie.
Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Urodziny Hendrixa
Gitara wciąż płonie

Grał, jakby odprawiał czary. To, co wyprawiał z gitarą, było na granicy wirtuozerii i sztuk magicznych. Hendrix przyznawał, że jego religią jest muzyka. Pytany, dlaczego więc niszczy czasem swoje instrumenty, odpowiadał: „Podpalając gitarę, składałem ofiarę. Czasem trzeba poświęcić to, co się kocha. Ja kocham swoją gitarę".

Urodził się w tym samym roku co Paul McCartney, Muhammad Ali, Stephen Hawking. Też zmienił świat. W niedzielę obchodziłby 80. urodziny.

Był geniuszem i artystycznym rewolucjonistą. Miles Davis cenił w Hendrixie jego szacunek dla bluesa i podziwiał radykalne podejście do gry, łamanie przyzwyczajeń. Pozostawił po sobie prawie 200 piosenek, wiele ukazało się już po jego śmierci. Za życia wydał jedynie trzy studyjne albumy i jeden koncertowy, czyli „Are You Experienced" (1967), „Axis: Bold as Love" (1967), „Electric Ladyland" (1968) oraz „Band of Gypsys" (1970). Do historii przeszły jego występy na żywo, prawdziwe muzyczne misteria.

FOT. BRUCE FLEMING/AP

Z uczniów, wyznawców Hendrixa można by zbudować potężną armię. Każdy współczesny gitarzysta mniej lub bardziej otwarcie przyznaje się do fascynacji mistrzem. Sam Hendrix powiedział kiedyś przekornie, że jest tak często naśladowany, że kopiując jego styl, muzycy popełniają nieświadomie te same błędy co on.

Zmarł 18 września 1970 roku w Londynie w wieku 27 lat. ●

Łukasz Kamiński

Andrzej rysuje

Mężczyzna, czyli kto?

FOT. SHUTTERSTOCK

Czym są nowe wzorce męskości? Gdzie mężczyźni poszukują emocjonalnego wsparcia? Czy trwa rewolucja?
O tym rozmawiają Grzegorz Szymanik i psychoterapeuta Wojciech Eichelberger. Słuchaj podcastu
▶ **Wyborcza.pl/podcast**

W poniedziałek w „Wyborczej"

Duży Format

Młodzi ateiści

Bierzmowanie to ta ostateczna granica. Mówi się, że jest chyba potrzebne, gdy się ma być chrzestnym albo do ślubu kościelnego. Nie wiem, czy to prawda. W każdym razie wszyscy po bierzmowaniu mówią: mamy z głowy.
Reportaż Katarzyny Surmiak-Domańskiej

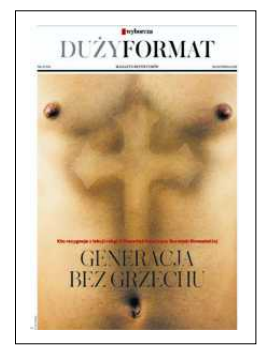

Ekonomia +

Trudne podatki

Demony „Polskiego ładu" znowu zaatakują. Tym razem w rozliczeniu za rok 2022. Doradcy podatkowi przestrzegają, żeby szykować się na sporo liczenia i... słone dopłaty. To efekt rządowego pobojowiska, zwanego popularnie „Polskim ładem".

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

Top 4 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota
Polska – Arabia Saudyjska

1 W meczu z Meksykiem kibiców reprezentacji rozbolały zatoki od patrzenia na defensywne ustawienie i bojaźliwą grę piłkarzy. Przynajmniej nie przegrali. Jeśli chcą awansować, podstawowym warunkiem jest zwycięstwo z Arabią Saudyjską. Tylko że rywale są w siódmym niebie Mahometa po szokującym zwycięstwie nad Argentyną, faworytem do zwycięstwa w całym mundialu. Jeśli oglądali naszych, może nadal świętują. I to może być szansa. Mecz o godz. 14.

Poniedziałek
Miłosny duet w Krakowie

2 Aleksandra Kurzak i Roberto Alagna, para na scenie i w życiu, zaśpiewają w ICE Kraków między innymi miłosny duet Toski i Cavaradossiego, a także duety z „Manon Lescaut" i „Andrei Chéniera". Do Krakowa sławna sopranistka przyjedzie niemal wprost z Nowego Jorku, gdzie na scenie Metropolitan Opera triumfowała w roli Toski, a w marcu przyszłego roku w tej właśnie roli wystąpi w Operze Narodowej w Warszawie.

Poniedziałek
Powrót na Księżyc

3 Amerykański statek kosmiczny Orion, który w ubiegły poniedziałek przeleciał 131 km nad powierzchnią Księżyca, dziś pobije rekord ustanowiony przez załogę Apollo 13 – będzie pierwszym załogowym statkiem kosmicznym (choć na razie bez załogi), który znajdzie się w odległości aż 483 tys. km od Ziemi. Załoga misji Artemis to manekiny, sprawdzają m.in. poziom promieniowania i wibracji w trakcie misji.

Środa
„Lex Czarnek", cdn.

4 Senat będzie decydował o dalszych losach „lex Czarnek". Na razie senackie biuro legislacyjne uznało ustawę za niekonstytucyjną, a dwie senackie komisje przegłosowały odrzucenie jej w całości. Przepisy nie tylko centralizują szkołę, ale też pozbawiają rodziców części wpływu na wychowanie ich dzieci. O tym, w jakich zajęciach pozalekcyjnych wezmą udział, decydować będzie nie szkoła i rodzice, ale kurator – organ administracji rządowej.

FOT. KUBA ATYS, PATRYK OGORZAŁEK, MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL, JOHN RAOUX/AP

Liczba dnia

57

PROC.
Polaków twierdzi, że aby być dobrym członkiem społeczeństwa, ważne jest, by uczestniczyć regularnie w ceremoniach religijnych.
Sondaż przeprowadził amerykański ośrodek badawczy Pew Research Center we współpracy z Gallupem wiosną 2022 r.

O kim zapomnieliśmy, broniąc praw człowieka na mundialu

Kobiety, nie psujcie święta sportu

Nie dopytujmy, dlaczego w Katarze mąż zatwierdza zabiegi ginekologiczne żony, zgwałcona dostaje siedem lat, córka dziedziczy połowę tego, co syn, a męski opiekun wyraża zgodę na jej studia i wyjazd z kraju

Wężyk

Deklarowane przez zachodnie demokracje przywiązanie do praw człowieka jest jak lody wystawione na katarskie słońce: topnieje ekspresowo, gdy stawką są tzw. naprawdę ważne sprawy, typu dostawy ropy i gazu w rozsądnych cenach. Nie takie znowu tajemnicze zgony opozycjonistów, krwawe tłumienie protestów i dyskryminacja osób LGBT nie przeszkadzały Europie w zakupie rosyjskich surowców. Cenzura mediów, baty i więzienie dla blogerów, pozbawienie kobiet podstawowych praw i poćwiartowanie krytyka reżimu Jamala Khashoggiego nie zakłóca współpracy USA z Arabią Saudyjską. W imię globalnej jedności w walce z kryzysem klimatycznym uczestnicy konferencji klimatycznej w Kairze przymknęli oko na fakt, że 9 na 10 Egipcjanek zostało poddanych okrutnej procedurze obrzezania, wolność religijna w kraju niemal nie istnieje, a reżim zamyka tiktokerki za „naruszenie wartości i zasad rodzinnych".

Prawa człowieka przegrywają też, i to kilkoma bramkami, z piłką nożną. Oraz z wielkimi pieniędzmi. Katar, państwo bez piłkarskich tradycji, za to korzystające z półniewolniczej pracy imigrantów, kryminalizujące homoseksualizm, a w kwestii praw kobiet nieco tylko lepsze od Saudów, kupiło sobie prawa do mundialu. Następnie za 200 miliardów dolarów – byłoby więcej, ale zaoszczędzono na kosztach pracy – wybudowało stadiony, na ceremonię otwarcia zaproszono znanego z grywania moralnych autorytetów (oraz Boga) Morgana Freemana i postarano się, żeby piłkarze nie nosili na stadionie tęczowych opasek. Bo to święto piłki i nie psujmy go polityką.

Zwłaszcza że, jak to ujął szef FIFA Gianni Infantino, „Europa przez kolejne 3000 lat powinna przepraszać za to, co robiła przez ostatnie 3000 lat, i wtedy będzie mogła pouczać w sprawach moralności", więc darujcie sobie hipokryzję, otwórzcie piwo – no, chyba że jesteście akurat na katarskim stadionie – i podziwiajcie najszlachetniejszą z gier.

Uparte media nie chcą jednak przestać pisać o 6500 potwierdzonych śmierciach robotników, o dyskryminacji osób LGBT, o kosztach ekologicznych. Najmniej miejsca na łamach poświęca się jednak łamaniu praw połowy katarskiego społeczeństwa. W sumie nie powinno to dziwić, dyskryminacja kobiet wciąż bywa uważana za część lokalnego kolorytu, ot, taka kultura. Żeby daleko nie szukać, jedno z najsurowszych praw aborcyjnych w Europie nie było przeszkodą w przyjęciu Polski do UE.

W kwestii przerwania ciąży prawo w Katarze jest równie surowe: pozwala na aborcję tylko w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia ciężarnej oraz defektu płodu, ale kobieta musi mieć zgodę męża. Mąż musi zresztą zatwierdzić większość ginekologicznych zabiegów żony, a szpitale nie robią kobietom niezamężnym cytologii ani waginalnego USG. Cytowana w raporcie Human Rights Watch 20-letnia Katarka musiała podać nazwisko zamężnej przyjaciółki i numer do jej męża. „Lekarz z pogotowia skierował mnie do kobiecego szpitala na USG. Bolało mnie tak bardzo, że obawiał się, że pękł mi jajnik. Ale w szpitalu nie zrobiliby mi USG pochwy bez aktu małżeństwa. W ogóle odmówili badania, bo nie byłam mężatką". Raport ma tytuł: „Wszystko, co muszę robić, jest związane z mężczyzną".

Reguły dotyczące stroju nie są w Katarze tak surowe jak w Arabii Saudyjskiej, ale kobiety powinny ubierać się „skromnie", czyli zakrywać ramiona i nogi, a najlepiej także i włosy. Katarki mają prawo głosu, mogą prowadzić samochód i dziedziczyć, ale córki dostają połowę tego, co przypada synom. Zarabiają też od połowy do 70 procent tego, co mężczyźni, i nie ma prawa, które zabraniałoby dyskryminacji ze względu na płeć w pracy.

W imię globalnej jedności w walce z kryzysem klimatycznym uczestnicy konferencji klimatycznej w Kairze przymknęli oko na fakt, że 9 na 10 Egipcjanek zostało obrzezanych, a reżim zamyka tiktokerki za „naruszenie zasad rodzinnych"

Katarczykom do rozwodu wystarczy wola rozwiązania małżeństwa, kobieta musi iść do sądu i mieć dobry powód. Żony muszą być posłuszne mężom; jeśli będą się stawiać, mąż może przestać je utrzymywać. Ojcowie mają pełnię władzy rodzicielskiej nawet po rozwodzie; w przypadku śmierci ojca decyzje w sprawie dzieci podejmuje męski krewny. Mężczyzna może poślubić cztery żony, jeśli ma taką fantazję, kobieta musi mieć przyzwolenie ojca lub brata na ślub. Męski opiekun wyraża zgodę na jej studia, pracę w budżetówce i wyjazd z kraju, jeśli dziewczyna ma mniej niż 25 lat. Dopiero po trzydziestce można się samej zameldować w hotelu. W miejscach publicznych kobietom również powinien towarzyszyć mąż, ojciec lub brat. A za seks pozamałżeński grożą kary do siedmiu lat więzienia, nawet gdy jest wymuszony.

W 2016 22-letnia Dunka zgłosiła na policji gwałt. Powiedziała, że w hotelu dosypano jej do drinka pigułkę gwałtu, po czym obudziła się w mieszkaniu nieznajomego. Następne trzy miesiące spędziła... w areszcie. Za seks pozamałżeński – gwałciciel zeznał, że stosunek był konsensualny. Skończyło się na stu batach dla niego i grzywnie oraz deportacji dla niej. W czerwcu zeszłego roku podobną gehennę przeżyła 28-letnia Meksykanka, pracownica komitetu organizacyjnego mundialu. Podczas przesłuchania policjant domagał się testu na dziewictwo, a prawnik zaproponował, żeby poślubiła napastnika. Katarski wymiar sprawiedliwości nie uwierzył, że została zgwałcona, uniewinnił napastnika, a jej wlepił sto batów i siedem lat więzienia – zaocznie, bo uciekła. A to tylko te nagłośnione – bo dotyczące cudzoziemek – przypadki.

No ale przecież sport jest apolityczny, a Zachód też ma swoje za uszami. Poza tym, jak zapewnił Infantino, FIFA jest globalną organizacją piłkarską, nie polityczną, i chce łączyć wszystkich. Gwałcicieli i gwałcone, przemocowych mężów i bite żony, osoby LGBT i policję moralności, gastarbeiterów i ich pracodawców. W końcu piłka jest okrągła, bramki są dwie, a następny mundial może i być w Korei Północnej, czemu nie. O ile będzie ją stać. ●

Katarzyna Wężyk

eprasa.pl 9f18aadd43

Kobieta trans w rosyjskiej armii

ZROBIMY Z CIEBIE KALEKĘ, PEDALE

Poszła do wojska, żeby zarobić na tranzycję. Dostała diagnozę „zaburzenia adaptacyjne, emocjonalne i zachowania neurotyczne", ma jechać na front, a jej chłopak jest Ukraińcem.

Lilia Japarowa, „Meduza"

2 listopada, wczesnym rankiem, zadzwonił telefon. „Jestem Askatla, nie mogę zbyt długo rozmawiać, przebywam na 11. oddziale psychiatrycznym 301. Wojskowego Szpitala w Chabarowsku". W głosie słychać pośpiech. „Możemy korzystać z telefonu raz w tygodniu kilka minut, a muszę jeszcze zadzwonić do bliskiej osoby".

Askatla trafiła do szpitala na badania kontrolne pod koniec października. Na dzień dobry nie pozwolono jej założyć ubrań, które wcześniej specjalnie przygotowała. Te męskie, które dostała od pielęgniarek, uwidaczniały jej piersi.

„Umieścili mnie w jednym pokoju z mężczyznami, którzy wrócili z Ukrainy z kontuzjami i zespołem stresu pourazowego. Lekarze mi powiedzieli, żebym nie eksponowała cech płciowych, bo mogę paść ofiarą..." – w jej głosie słychać zawahanie – „ofiarą molestowania".

Niedawno dostała „ostrzeżenie". „Sypiam z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej tak, że pośladki tworzą pod kołdrą małe wybrzuszenie. Obok naszego pokoju przechodziło dwóch »staruszków«. Kazali mi zmienić pozycję leżącą, bo inaczej »zrobią ze mnie pedała«".

Askatla sama ubiegała się o hospitalizację. To jedyny legalny sposób, by 22-letni żołnierz – bo nim jest z perspektywy armii – służby kontraktowej mógł opuścić armię.

Askatla identyfikuje się jako kobieta transpłciowa; feminizującą hormonoterapię rozpoczęła sześć miesięcy przed wojną. Zdecydowała się na szpital, aby udowodnić ministerstwu obrony swój status płciowy i zostać zwolnioną na podstawie „transseksualizmu". Taką diagnozę uznaje się za przestarzałą i obraźliwą dla osób trans, lecz jest wciąż powszechnie stosowana w Rosji.

Opowiada, że starożytne skandynawskie imię Askatla wybrała sobie sama (w tle słychać krzyki pielęgniarek, że zaraz zabiorą pacjentom telefony). Stare nazwisko w paszporcie i oficjalnych dokumentach powoduje u niej dyskomfort psychiczny.

„Mój deadname* brzmi: Biriuczewski Rusłan Siergiejewicz. Data urodzenia: 16.07. 2000. Numer odznaki to SU-457548, służy do identyfikacji zmarłych i poległych. Za chwilę wracam" – Askatla odchodzi od słuchawki. „Poszłam poprosić pielęgniarki o moją legitymację wojskową".

Kilka sekund później wysyła zdjęcia dowodu osobistego i plastikowej legitymacji wojskowej. Dokumenty wydano w 2019 roku, na zdjęciach jest ogolona na łyso.

W kolejnej wiadomości załącza zdjęcia ze szpitala. Dziewczyna ma na sobie charakterystyczną piżamę rosyjskiej armii, niepewnie spogląda w aparat telefonu. Nerwowo zagryza usta. Skronie, zgodnie z wymaganiami szpitalnymi, są ogolone, ale długa grzywka zwisa rozpuszczona. Na twarzy delikatny zarost. „Nie pozwalają korzystać z fryzjera".

Pielęgniarki wołają, że za dwie minuty będzie musiała oddać telefon. Askatla rzuca, że wkrótce może zostać wysłana na wojnę z Ukrainą, dlatego boi się opinii wojskowej komisji lekarskiej.

Jak dotąd lekarze wojskowi nie przykładali większej wagi do jej stanu. Pomimo raportu psychiatry o „niezgodności tożsamości płciowej z danymi w paszporcie", który dostarczyła, przebywa pod obserwacją ze względu na dwie inne diagnozy: „zaburzenia adaptacyjne, emocjonalne i zachowania" oraz „zaburzenia neurotyczne".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

Nie zamierza jechać do Ukrainy z bronią w ręku. Nie tylko dlatego, że nie popiera wojny, ale także dlatego, że to właśnie obywatel Ukrainy stał się dla niej najbliższą osobą. Chce zdążyć zadzwonić do niego, dlatego gwałtownie przerywa. „Można powiedzieć, że Dima jest moim kochankiem, moim przyszłym mężem, bezgranicznie go...". Połączenie się urywa.

Kilka minut później dzwoni on, Dmitrij Tkaczuk. Dima jako jedyny wspiera teraz Askatlę, która jest pierwszą jawnie transpłciową osobą w rosyjskiej armii.

„Tak, moja dziewczyna jest żołnierzem kontraktowym. Na początku nie wiedziałem, że służy w rosyjskim wojsku, poznałem ją po prostu, jako osobę".

Dmitrij ma 26 lat, pochodzi z Ukrainy, jest informatykiem. W wolnym czasie pisze opowiadania w nurcie realizmu magicznego. „Jak Gabriel García Márquez" – uśmiecha się. „Kiedyś nawet były publikowane w zbiorach. Teraz piszę do szuflady".

Przed wojną Dmitrij myślał o wyjeździe do Skandynawii. „Miałem dużo planów na przyszłość. Z moją byłą dziewczyną nawet planowaliśmy ślub".

Gdy rankiem 24 lutego Rosja rozpoczęła inwazję na pełną skalę, miasto Dmitrija – Dnipro – też ucierpiało. Już pierwszego dnia nad jego głową wybuchła rakieta, zestrzelona przez ukraińską obronę przeciwlotniczą.

Kilka tygodni później Dmitrij rozstał się z dziewczyną. „Wojna pokazała, że nie warto niczego planować. I że moje podejście do życia jest całkowicie nietrafne".

W kwietniu, w dniu jego 26. urodzin, „depresja osiągnęła apogeum". „Czy słyszałeś o syndromie świadka?" – podsuwam. Dima wie, co mam na myśli. „Widzisz, co się dzieje, ale zdajesz sobie sprawę, że nie masz na to najmniejszego wpływu. Ludzie umierają, a ty w żaden sposób nie reagujesz. Czujesz się jak tchórz. Masz do tego zasadne podstawy. W dniu urodzin poszedłem do biura poborowego. Pomyślałem, że będzie, co ma być. Jednak mnie nie przyjęli".

„Nie czułem potrzeby bycia z ludźmi, unikałem starych znajomych" – wspomina. „Czasami zdarza się, że to nieznajomi wzbudzają w nas ogromne zaufanie. Askatlę poznałem 5 maja na czacie na Telegramie. Po prostu zobaczyła mój profil i postanowiła napisać. »Mam nadzieję, że nie pomyliłam profilu. Cześć, Dima«" – Dimitrij pokazuje ich pierwszą rozmowę. „Interesowała się pentestami [testy penetracyjne – symulowane ataki hakerskie mające wykryć luki w oprogramowaniu] i Linuxem [system operacyjny z otwartym kodem, bezpłatna społeczna alternatywa dla Windowsa], a ja się na tym znałem. Od tego się wszystko zaczęło".

Przez pierwsze parę dni nie mogli oderwać się od rozmowy. Dmitrij od początku wiedział, że jego rozmówczyni pochodzi z Rosji. Nie miał z tym problemu: „Mam znajomych i rodzinę w Rosji. Nie uważam, że powinniśmy przekreślać cały naród".

Askatla już na drugi dzień powiedziała mu, że przechodzi terapię hormonalną. „Jeśli ktoś jest ci bliski, to nie ma znaczenia, czy jest trans, czy nie" – mówi Dmitrij. „Moja przyjaciółka należy do społeczności LGBT, dlatego byłem już zaznajomiony z tematem".

O tym, że Askatla służy w wojsku, dowiedział się sporo później. „Kiedy rozmowa przeszła na tematy związane z pracą, przez długi czas nie chciała powiedzieć, czym się zajmuje. Twierdziła, że ją znienawidzę. Spytałem: »Dlaczego nie chcesz powiedzieć? Chyba nie zajmujesz się zabijaniem kociąt?«. Wtedy napisała, że pracuje w siłach zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Przyjąłem to do wiadomości i zaczęliśmy myśleć, w jaki sposób mogłaby zwolnić się ze służby".

Przed pójściem spać dzwonili do siebie na kamerkach. „Może to głupio zabrzmieć, ale dzwoniliśmy do siebie, kiedy nie mogliśmy zasnąć. Opowiadałem jej bajki na dobranoc, wymyślałem je na poczekaniu".

Askatla w odpowiedzi nagrywała proste melodie na kalimbie i wysyłała mu w wiadomościach dźwiękowych. W jednej z wiadomości próbowała wymówić ukraińskie słowo „krynycia" (wymowa miękkiego znaku „c" różni się od wymowy w innych językach słowiańskich).

„Z jednej strony od zawsze była fanką ukraińskich blogerów podróżniczych, chciała zobaczyć Kijów i Odessę. Z drugiej – żyła w informacyjnej bańce: »Dziś w pracy mówili mi, że Ukraina niedługo skapituluje«. Albo: »Czy Ukraińcy obalili Zełenskiego?«. Wyjaśniałem jej, że rosyjska telewizja państwowa kłamie. Odpowiadała, że w Rosji nie ma innej".

Kiedy 15 lipca Rosjanie zaczęli ostrzał w okolicy Dnipra, Dmitrij napisał list pożegnalny. „Napisałem jedynie, że jest silna i może wszystko. I żeby żyła. Zaplanowałem wysłanie wiadomości na Telegramie na późniejszą godzinę, zabrałem kota i psa i poszedłem ukryć się w pokoju za grubą ścianą" – wspomina. „Kiedy ostrzał dobiegł końca, skasowałem ją".

W pewnym momencie Askatla przestawiła zegarek z czasu chabarowskiego na kijowski i dołączyła do kanału na Telegramie, w którym pojawiały się informacje dla mieszkańców Dnipra o alarmach lotniczych. „Kiedy Rosjanie ostrzeliwali miasto, zawsze do mnie pisała. Jeśli długo nie odpisywałem, wpadała w panikę".

Askatla pracowała w wojsku jako „operator sekcji kontrolnej rakietowych pocisków przeciwlotniczych dalekiego i krótkiego zasięgu", jednak twierdzi, że do tej pory nie brała udziału w operacjach w Ukrainie.

„Gdy dowiedziała się, że pociski padają na budynki mieszkalne i ludność cywilną, była w szoku" – wspomina Dmitrij. „Jak to w ogóle możliwe? W raportach podawali, że ostrzelane zostały tylko cele wojskowe".

Askatla urodziła się i wychowała w Ułan Ude. Za transkobietę uważa się od 15. roku życia. Na zdjęciu przesłanym Dimie pozuje w jasnej sukience z bufiastymi rękawami, na kolejnym ma na szyi skórzany choker z zawieszką w kształcie serca. Oczy podkreśliła czarnymi kreskami.

„Już od 13. roku życia chciałam być dziewczyną, ale wtedy nawet nie zdawałam sobie sprawy, że to możliwe. Dowiedziałam się o tym dopiero parę lat później. Gdy miałam 17 lat, pojawiła się u mnie duża dysforia płciowa".

Dmitrij: „Pewnego dnia opowiedziała o tym mamie, jednak ona nie zareagowała najlepiej: »Jeśli powiesz ojczymowi, wyrzucę cię z domu«".

Niedługo później, w 2019 roku, Askatlę powołano do wojska. Po odbyciu obowiązkowej służby postanowiła, że podpisze kontrakt i nie wróci już do domu. „Błąd młodości" – komentuje Tkaczuk. „Ale pójście do wojska był jedynym sposobem na ucieczkę od rodziców, którzy nie potrafili jej zaakceptować".

Przy podpisywaniu umowy obiecywali jej „godną pensję" i zakwaterowanie. „Przeprowadzę się do innego miasta, będzie mnie stać na terapię hormonalną..." – Dmitrij tłumaczy ciąg myślowy dziewczyny. „Okazało się, że nie starczało jej nawet na życie. Kiedy wstąpiła do służby w Chabarowsku, na samym początku poinformowano ją, w jaki sposób sobie radzić: »Śpijcie w koszarach, wtedy nie będziecie musieli płacić czynszu. Trzymajcie się razem, dzielcie się jedzeniem«".

Aby żyć w zgodzie ze swoim ciałem, Askatla zaczęła nazywać się innym imieniem, mówić innym głosem, nosić inne ubrania. Wszędzie poza jednostką. „Prowadziła podwójne życie. Do pracy chodziła ostrzyżona na krótko, w mundurze. W domu zmieniała wygląd".

Askatla potajemnie zapuszczała włosy. Zimą ukrywanie ich nie było trudne: bywało tak zimno, że nawet w pomieszczeniach żołnierze siedzieli w czapkach. „Ale czasem pozwalała sobie pokazać dłuższe włosy" – opowiada Dmitrij. „Przełożeni regularnie zwracali jej uwagę. Kazali się ogolić. Kończyło się na tym, że goliła włosy na skroniach, ale zostawiała przynajmniej grzywkę".

Cały czas musiała kontrolować barwę głosu. „Askatla nienawidzi tego, jak brzmi. Twierdzi, że jest niewystarczająco melodyjna jak na dziewczynę. Do tego stopnia przyzwyczaiła się do mówienia kobiecym głosem, że czasem odpowiadała komuś w ten sposób podczas służby".

Po wyjściu z pracy zazwyczaj dzwoniła do Dimy. Mówiła wtedy tembrem komfortowym dla siebie, nie krępowała się otaczających ją cywili.

W jednostce regularnie widywano Askatlę z różowym etui na smartfona, różowym brelokiem w kształcie stworka z kreskówki „Lilo i Stich", żółtym parasolem z wieżą Eiffla i damskim plecakiem w panterkę (wzór składał się z sów, serc w chmurach i stokrotek). Pewnego dnia przysłała Dimie zdjęcie, na którym była ubrana w mundur, a w ręku trzymała jaskraworóżowy paralizator. Miał odstraszać bezpańskie psy, które już kilkakrotnie zaatakowały dziewczynę.

Regularnie żartowali z jej plecaka. Gdy Dima pytał, czy nie boi się reakcji kolegów, odpowiadała: „Nie obchodzi mnie, co kto sobie myśli".

Nie potrafiła kupować ubrań na dziale męskim. Nawet do pracy chodziła czasem w ciuchach unisex. Niektóre wyglądały bardziej na damskie.

Askatla nie chciała mieszkać w koszarach, dlatego wynajmowała mieszkanie, za połowę pensji wynoszącej 30 tys. rubli [2250 zł]. „Nawet gdy leżała w domu z koronawirusem i gorączką, czuła się o wiele szczęśliwsza niż na służbie" – stwierdza Dmitrij. „W swoim mieszkaniu mogła wreszcie wyglądać tak, jak chciała. Znikał wtedy jej wewnętrzny konflikt".

Po powrocie ze służby Askatla zwykle pierwsze kilka minut nie patrzyła w lustro. „Nienawidzi na siebie patrzeć, dopóki nie doprowadzi siebie do porządku".

Często czuła niezadowolenie ze swojego wyglądu. „Ćwiczyła z hula-hoop, żeby zmienić figurę, uważała, że ma za szerokie ramiona. Potrafiła parę dni nie jeść tylko po to, żeby kupić sobie kosmetyki albo produkty do pielęgnacji włosów. Kiedy się o tym dowiedziałem, zacząłem jej pomagać".

Wyobraź sobie, że wszyscy cię nieustannie obrażają – począwszy od ludzi z twojego otoczenia po własne odbicie w lustrze. Albo wyobraź sobie cispłciową osobę, którą nagle wszyscy wokół nazywają innym imieniem. Takie sytuacje wywołują lęk, ból, dyskomfort. To stan nazywany dysforią płciową" – wyjaśnia endokrynolożka Ewa-Lilit Cwietkowa, która na co dzień pracuje z transpłciowymi pacjentkami i pacjentami. „Za każdym razem, kiedy taka osoba spogląda w lustro lub słyszy swoje imię, czuje ból".

W wojsku objawy dysforii ulegają zwielokrotnieniu. „Mam pacjentów, którzy przeszli przez służbę wojskową. Opowiadają mi, jak nakaz noszenia krótkich włosów i męskich ubrań wpływa na ich psychikę. Drobne przyjemności, na przykład malowanie paznokci, nawet jeśli trzeba je później zmyć, pomagają w walce z dysforią. W wojsku to niemożliwe, a w koszarach nie ma miejsca na przestrzeń osobistą".

Żadna z pacjentek Cwietkowej nie rozpoczęła terapii hormonalnej w trakcie służby. Askatla zdecydowała się na leki, jak tylko mogła sobie na nie pozwolić. „Już od roku biorę hormony. Jestem pod opieką specjalistów z kliniki Empatia, jednak pierwsze kroki stawiałam bez konsultacji z lekarzem" – opowiada podczas jednej z naszych krótkich rozmów.

Pensja żołnierza kontraktowego starczała na leki, jednak nie na lekarza, który mógłby dostosować dawki, ale dysforia stała się do tego stopnia uciążliwa, że Askatla zdecydowała się na samodzielne leczenie. „Szukała informacji w internecie, w poradnikach, pytała znajomych" – wspomina Tkaczuk. „Skończyło się tym, że zaczęła brać leki, przez które pojawiły się problemy z sercem i naczyniami krwionośnymi. Ciśnienie krwi skakało do 170, miała bóle głowy. Jednak dysforia była bardziej uciążliwa niż te wszystkie objawy. W kółko powtarzała: »Czuję się źle, niekomfortowo«".

Askatla postanowiła skonsultować się z lekarzem z jednostki w sprawie problemów z sercem. „Zrobiła EKG w szpitalu wojskowym" – wspomina Tkaczuk. „Lekarz od razu wpisał jej do karty: »powiększone gruczoły sutkowe, zalecana konsultacja z endokrynologiem«". Odpowiedziała im, że niedługo pójdzie".

Dziewczyna musiała ukrywać efekty terapii hormonalnej przed współpracownikami z wojska. „Nosiła za duże ubrania. Zawsze miała na sobie kilka koszulek albo bluzę z kapturem, nawet latem. Było jej ciężko. Czasem kazali jej dźwigać jakieś ciężary, na dworze panował upał, a ona nie chciała zdjąć bluzy z kapturem. Skakało jej ciśnienie, miała zerowy poziom testosteronu i zupełny brak energii".

Gdy wojskowy psychiatra, do którego trafiła na obserwację, dowiedział się, że ma do czynienia z osobą transpłciową, odmówił przyjęcia jej dokumentacji medycznej. „Możesz wyrzucić wszystkie te papiery z lewicowych klinik"

Ale nie wszystko dało się ukryć. Etui na telefon, „niemęskie" gadżety, inny tembr głosu w chwili nieuwagi – drobiazgi, ale w tak męskim środowisku rzucały się w oczy. „Współpracownicy często pozwalali sobie na żarty z jej »nietypowej orientacji«" – wspomina Tkaczuk. Askatla pisała mu, że ludzie „podchodzą do niej z dystansem, czują odrazę".

eprasa.pl 9f18aadd43

Półtora roku temu konflikt się zaostrzył. Askatla pełniła funkcję ratownika medycznego w swojej jednostce. Dane poborowych, którzy mieli zgłosić się na badania lekarskie, wysyłano na czat, do którego dostęp mieli wszyscy pracownicy kontraktowi i młodsi dowódcy. Askatla nie miała wtedy oddzielnego konta osobistego i służbowego. „Pewnego dnia współpracownicy zobaczyli na Telegramie moje kobiece zdjęcia. Podoficerowie rozesłali je do wszystkich z czatu i postawili mi ultimatum: albo usunę je wszystkie i obiecam, że nigdy więcej to się nie zdarzy, albo zostanę pobita".

Askatlę zamknęli w jednym z pomieszczeń. Dali jej 15 minut: „Albo usuwasz, albo zrobimy z ciebie kalekę". Askatla usunęła nie tylko zdjęcia, lecz także wszystkie profile w mediach społecznościowych.

Ale nękanie się nie skończyło. „Cały czas się nade mną znęcano. Podczas porannych ćwiczeń wyśmiewali mnie, nazywali pedałem. Sierżanci powiedzieli, że nie chcą służyć z takim cherlakiem, że nie zasługuję na to, by żyć".

Co więcej, jeden z sierżantów opowiadał każdemu nowemu żołnierzowi, kim jest Askatla i dlaczego nikt nie powinien się z nią zadawać. Dima: „Z wyglądu zwykły, przykładny mężczyzna, z rodziną. Trzy razy w tygodniu wysyłał ją na wartę. Zdarzało się, że nie dawał jej jeść. Stało się normą, że przychodziła na stołówkę i »akurat już nie starczało jedzenia«".

Napięcie w jednostce spowodowało, że w końcu sztabowy psycholog oraz dowódca Siergiej Grieku dowiedzieli się o jej tożsamości płciowej. Grieku wykazał zrozumienie, „nawet wstawił się za nią, żeby jej nie nękali. Prosił jednak, żeby nigdzie z tym nie szła. Najwyraźniej nie chciał, żeby wyszło na jaw, że w jego jednostce jest taka osoba. Nikt nie lubi skandali".

We wrześniu Putin ogłosił powszechną mobilizację. Askatla zaczęła cierpieć na ataki paniki. Traciła przytomność, pojawiły się myśli samobójcze.

„Nie planowała żyć dłużej niż do jesieni" – opowiada Dmitrij. „Naprawdę myślałem, że odbierze sobie życie. Nie widziała żadnych perspektyw, dręczyła ją dysforia i problemy zdrowotne. Przekonywałem ją, że nie ma rzeczy niemożliwych. Powiedziałem: »Spróbuj wytrzymać do marca. Chyba nie może to być takie trudne?«".

W marcu 2023 roku kończy się jej kontrakt. Przez pierwsze siedem miesięcy wojna nie wpłynęła na warunki kontraktów, jednak wraz z ogłoszeniem mobilizacji poinformowano Askatlę i jej współpracowników, również kontraktowych, że „nie ma mowy o zwolnieniach". A w październiku wojsko ogłosiło, że wysyła kontraktowych do Ukrainy.

Dmitrij pamięta ze szczegółami, jak przygotowywano jego dziewczynę do wysłania na front: „Najpierw dali im kwestionariusze, w których próbowali się dowiedzieć, czy ktoś ma krewnych w Ukrainie. Następnie pokazywali im filmiki »motywacyjne«, w których ukazywano »barbarzyńskich nazistów w Ukrainie« oraz trudną sytuację ludzi pod ich rządami. Wyświetlali rzekome apele mieszkańców Dnipra, że »potrzebują pomocy rosyjskiej armii«, a następnie zdjęcia ludzi już »wyzwolonych«, którym wspaniale się wiodło. Był też filmik o broni atomowej z fatalnie zaprojektowanym modelem 3D latającym po ekranie: »Jeśli chcemy, możemy zmieść wszystko z powierzchni ziemi«. Askatla napisała mi, że większość jej kolegów naprawdę w to wszystko wierzyła".

W październiku odbyły się ćwiczenia przygotowawcze obejmujące strzelanie. „Chciała odmówić strzelania, ale gdy przyszła jej kolej, zemdlała. Zdjęli z niej sprzęt i wezwali sanitariusza".

Strzelili za nią jej koledzy. Gdy dziewczyna przebywała w gabinecie lekarskim, inni żołnierze zniszczyli jej sprzęt. „Dla żartu przedziurawili jej hełm. Humor pierwsza klasa: »Patrzcie, drewniany hełm«" – zżyma się Dmitrij.

Askatla zaczęła mieć sny, w których „brała udział w zabijaniu Ukraińców". „Rano zapytała mnie: »Co by było, gdybym cię zabiła?«. Rozmawialiśmy o tym jeszcze przed ćwiczeniami ze strzelania. Trudno było jej sobie wyobrazić, jak mogłaby znaleźć się wśród ludzi, którzy potencjalnie mogliby mnie skrzywdzić".

To wtedy postanowiła starać się o zwolnienie z wojska. Przez trzy lata służby słyszała od lekarzy wojskowych, że „transseksualizm nie istnieje", dlatego obawiała się, że może zostać poddana przymusowemu „leczeniu".

„Bała się, że wyślą ją na operację usunięcia piersi i terapię konwersyjną [pseudonaukowa praktyka „zmiany" tożsamości seksualnej], a jeśli odmówi, podciągną to pod paragraf o uchylaniu się od służby poprzez samookaleczenie. Szpital podlega pod jednostkę wojskową, więc jeśli nie wykonujesz rozkazów, pracownicy mogą wezwać żandarmerię".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Podczas porannych ćwiczeń wyśmiewali mnie, nazywali pedałem. Sierżanci powiedzieli, że nie chcą służyć z takim cherlakiem, że nie zasługuję, by żyć. Stało się normą, że na stołówce »akurat już nie starczało jedzenia«

21 października wojskowy lekarz wypisał skierowanie na hospitalizację. „Ponownie poszłam do psychologa w jednostce i powiedziałam mu, że nie mogę tak żyć, że zabiję się, jeśli nie odejdę ze służby".

Askatla stawiła się w 301. szpitalu ministerstwa obrony, trzymając w ręku różową maskotkę, która przypominała koalę z bajki „Lilo i Stich". Jak opowiada Dmitrij, Askatla nie potrafi bez niej zasnąć. Pielęgniarki nie pozwoliły wnieść zabawki na oddział. „To nie hotel" – skomentowały.

Gdy pierwszy psychiatra, do którego trafiła na obserwację, dowiedział się, że ma do czynienia z osobą transpłciową, odmówił przyjęcia jej dokumentacji medycznej. „Możesz wyrzucić wszystkie te papiery z lewicowych klinik, na nic się ci tu nie zdadzą. I nie opowiadaj mi tu bajek".

Askatli udało się zrobić zdjęcia notatek, które umieścił w jej dokumentacji. „Pacjent skarży się na niestabilność emocjonalną, rozdrażnienie, rzekome wykazywanie objawów zaburzenia tożsamości płciowej" – pisze A.A. Likow. „W momencie badania brak objawów zaburzeń świadomości. Nie stwierdzono majaczenia, depresji, zaburzeń percepcji i innych symptomów. Pacjent wyrażał swoje uczucia w demonstracyjny i zmanierowany sposób, jego wypowiedziom towarzyszą teatralne gesty". Askatla powiadomiła lekarza, że chce zrezygnować ze służby, ponieważ stała się dla niej nie do zniesienia. Powiedziała mu, że chciała podciąć sobie żyły, ale jej chłopak ją powstrzymał.

Jak wynika ze skierowania od Likowa, została przyjęta na oddział nie z powodu „transseksualizmu", który zdiagnozowali u niej lekarze cywilni, ale z powodu „zaburzeń adaptacyjnych, emocjonalnych i zaburzeń zachowania". Artur Popow, psychiatra 301. szpitala, który bezpośrednio leczył Askatlę, w dokumentach napisał inną diagnozę: „zaburzenia neurotyczne".

Jak zauważa Maksim Oleniczew, prawnik, z którym konsultowali się Askatla i Dmitrij, obie diagnozy są wstępne: „Psychiatrzy albo je potwierdzą, albo im zaprzeczą, albo je zmienią".

Konstantina Bojkowa, prawnika organizacji obrońców praw człowieka OWD-Info, który kiedyś pracował jako psychiatra, niepokoi sformułowanie „zaburzenia neurotyczne". „To zaburzenie, które stwierdza się jednego dnia, a na drugi uznaje za wyleczone i odsyła pacjenta z powrotem. Mam nadzieję, że nikt nagle nie stwierdzi: »Wyślijmy ją do Chersonia, na froncie brakuje ludzi«".

„Na początku myśleliśmy, żebym przyjechał do Chabarowska i ją odwiedził" – opowiada Dmitrij. „Gdy trafiła do szpitala, od razu zdałem sobie sprawę, że będziemy potrzebować kogoś z zewnątrz, a Askatla nie ma zupełnie nikogo". Tkaczuk nie chce ujawnić, gdzie teraz przebywa.

Od trzech tygodni obserwuje, jak dysforia jego dziewczyny się pogarsza: „Przez cały ten czas udało nam się porozmawiać przez telefon tylko kilka minut. Prosi, żeby ją stamtąd wyciągnąć, mówi: »Nie wytrzymam«. Zaczęła mieć napady histerii, przez które bardzo boli ją głowa, a nie wydają żadnych leków przeciwbólowych".

Objawy dysforii można złagodzić poprzez np. możliwość ogolenia twarzy czy umycia włosów. Jednak w szpitalu zabrali jej maszynkę do golenia i szampon. Askatla nie może korzystać z pryszniców, ponieważ te na oddziale psychiatrycznym nie mają nawet przepierzeń. Do toalety chodzi w nocy. „Czekam, aż wyjdzie ostatnia osoba. Rzadko się zdarza, żeby nikogo nie było, bo urządzili tam palarnię".

Dmitrij ostatni raz rozmawiał ze swoją dziewczyną 9 listopada, kiedy pacjenci ponownie otrzymali na chwilę telefony. „Przenieśli ją do oddzielnej sali. Udało mi się dostać do telefonu kierowniczkę. Poprosiłem o przeniesienie Askatli z dala od mężczyzn".

Obecnie wielu osobom transpłciowym grozi wezwanie do służby" – mówi Oleniczew. Od początku wojny na pełną skalę zgłosiło się do niego ponad 500 osób transpłciowych, które „nigdy nie chciałyby trzymać broni w ręce. Co tydzień otrzymuję pytania w związku z mobilizacją. Jak dotąd nie spotkałem ani jednej osoby transpłciowej, która chciałaby służyć w wojsku".

„Do 24 lutego wyglądało to następująco: nazwiska osób, które przeszły korektę płci, były od razu usuwane z list poborowych. Mówili im: nie potrzebujemy was tutaj" – wspomina Ewa-Lilit Cwietkowa. Sytuacja Askatli jest bardziej złożona: jako pracownik kontraktowy sił zbrojnych już jest w wojsku. Nie próbuje uniknąć poboru, ale odejść po trzech latach pełnienia służby. „Powszechna mobilizacja jeszcze bardziej komplikuje sprawę" – analizuje Oleniczew. „Bo transpłciowość w kontekście mobilizacji nie stanowi podstawy do zwolnienia ze służby wojskowej w ramach kontraktu. Osoba transpłciowa, która otrzymała taką diagnozę, nie może zostać powołana do obowiązkowej służby, dostaje kategorię B, jednak może służyć jako żołnierz zawodowy lub być wezwana w ramach powszechnej mobilizacji".

Za podstawę do zwolnienia mogłaby posłużyć inna diagnoza: „Klasyfikacja chorób nie wyklucza przyznania kategorii D osobom, które cierpią na »poważne, nawracające i przedłużające się« zaburzenia osobowości, którym towarzyszą »reakcje patologiczne lub dekompensacja«. Choroba musi objawiać się stanem reaktywnym o przewlekłym przebiegu lub ciężkimi zaburzeniami neurotycznymi, dysocjacyjnymi i somatoformicznymi, których nie można wyleczyć".

To mogą zdiagnozować jedynie psychiatrzy. Z drugiej strony endokrynolożka Cwietkowa zna osoby transpłciowe, które zostały uznane za niezdolne do służby nawet po ogłoszeniu mobilizacji, właśnie na podstawie diagnozy transseksualizmu. „Prawdopodobnie to zależy od decyzji danego biura poboru".

Dmitrij ma nadzieję, że niezależnie od diagnozy „wojsko zechce pozbyć się Askatli" jako kłopotu. Po tym, jak otwarcie zadeklarowała transpłciowość, nie powinna wracać do jednostki, bo „nie będzie już miała tam życia". Askatla: „Psycholog w jednostce powiedział mi, że nie mam już odwrotu. Wcześniej wiedzieli tylko podoficerowie i kilka innych osób, teraz wie cała jednostka".

Próbujemy znaleźć jakiś sposób, żeby nie skończyć po dwóch stronach okopów" – kwituje Dmitrij. I opowiada, że kiedy Askatla dowiedziała się, że jej jednostka zostanie wysłana do Ukrainy, napisała do matki.

„Powiedziała, że spróbuje zwolnić się z wojska ze względów zdrowotnych. Dostała następującą odpowiedź: »Tylko upewnij się, proszę, że nie pokażą cię w wiadomościach. Nie chcemy się wstydzić przed całym krajem«". Boją się, że w telewizji pokażą dziewczynę, która próbuje zwolnić się ze służby. Boją się tego bardziej niż jej śmierci. Dowództwo, oficerowie, lekarze – wszyscy zgadzają się co do jednego: lepiej niech umrze". ●

Przeł. Aleksandra Zielinko

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja portalu Meduza, wyrzucona z ojczyzny, straciła wpływy z subskrypcji, ale pracuje nadal z zagranicy i mimo ryzyka więzienia wysyła reporterów do Rosji. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewu można dokonać na stronie Support.meduza.io/en.

* Tak osoby trans nazywają imię i nazwisko nadane przy urodzeniu, sprzed ich samookreślenia się

eprasa.pl 9f18aadd43

NASZA EUROPA

Co można akceptować

Pełzająca normalizacja

W wielu dojrzałych demokracjach czymś normalnym staje się dziś antyliberalna skrajna prawica.

Garton Ash*

Władzą sięgającą najgłębiej jest moc decydowania o tym, co ludzie uważają za normalne. Wygrywamy, kiedy umiemy ich przekonać, że to, co robimy, jest normalne.

W wielu dojrzałych demokracjach czymś normalnym staje się dziś antyliberalna skrajna prawica. Musimy stale przypominać, że ta norma nie mieści się w granicach akceptowalnej normalności.

Towarzysze, normalizujemy

Termin „normalizacja" stał się głośny po inwazji ZSRR na Czechosłowację w 1968 roku. Oznaczał po prostu przywracanie w tym europejskim i emancypującym się kraju radzieckich, komunistycznych norm. Nigdy nie zapomnę, co powiedział mi w 1984 r. czeski przyjaciel: „Kiedy ktoś wstanie i powie publicznie, co myśli, usłyszy, że nie jest normalny".

Ale pięć lat później w całej Europie Środkowej ludzie powtarzali, że chcą żyć w normalnym kraju. Mieli przy tym na myśli kraje takie jak RFN, Francja czy USA. Zachód wygrał bitwę o normę. Ale obowiązująca od lat zachodnia, liberalno-demokratyczna wersja normalności stała się dziś celem zmasowanego ataku.

Po wyborze w 2016 r. Trumpa na prezydenta USA redaktor „New Yorkera" David Remnick zwrócił się z gorącym apelem do Amerykanów, by nie normalizowali trumpizmu. Jednak po sześciu latach Trump pozostaje najbardziej wpływowym republikańskim politykiem. Setki nowo wybranych republikańskich kongresmenów szerzą wierutne kłamstwo, jakoby Trumpowi ukradziono reelekcję, a miliony wyborców mówią ankieterom, że w to wierzą. Empirycznie rzecz biorąc, trumpizm stał się więc częścią amerykańskiej normalności.

Ekstrema pod krawatami

W tegorocznych wyborach prezydenckich we Francji skrajnie prawicowa Marine Le Pen zdobyła szokujące 41 proc. głosów, a liczni posłowie jej partii zasiadają dziś w Zgromadzeniu Narodowym – schludnie ubrani, uprzejmi (jeśli pominąć padające od czasu do czasu okrzyki typu: „Wracaj do Afryki!"), przestrzegają subtelnych reguł parlamentarnego zachowania i robią wszystko, by dowieść, że są, no cóż, politycznie normalni.

We Włoszech premierem została postneofaszystka Giorgia Meloni, a Silvio Berlusconi, właśnie on!, uchodzi za najbardziej umiarkowanego z przywódców trzech partii tworzących jej ultraprawicowy koalicyjny rząd.

Niełatwo walczyć z pełzającą normalizacją. XIX-wieczny niemiecki filozof prawa Georg Jellinek pisał nie bez racji o „normatywnej sile tego, co istnieje" – tendencji do stopniowego uzgadniania etyczno-prawnych norm z naszym powszechnym życiowym doświadczeniem.

Kordon sanitarny nie działa

W demokracjach pojawia się dodatkowa trudność. Kiedy skrajna prawica zdobywa znaczącą reprezentację parlamentarną, umiarkowane partie centroprawicy czują silną pokusę wejścia z nimi w koalicję lub, jak teraz w Szwecji, rządzenia z ich wsparciem (oczywiście to samo dotyczy relacji partii centrolewicowych ze skrajną lewicą). A więc mechanizmy demokracji mogą prowadzić do podważania liberalno-demokratycznych norm. Dlatego ważne jest, by centroprawica nie próbowała oswajać skrajnej prawicy, przejmując lub tolerując jej język.

Przykładem niedawna wypowiedź szefowej brytyjskiego Home Office Suelli Braverman, która nazwała przybycie uchodźców i migrantów przez kanał La Manche „inwazją". Słowo „inwazja", sugerujące celowe wrogie wtargnięcie, jest modnym hasłem i znakiem rozpoznawczym skrajnej prawicy. Zamiast ostro zdystansować się od jej jątrzących słów, premier Rishi Sunak próbował usprawiedliwiać je jako zwykłą figurę retoryczną mającą podkreślić skalę problemu.

Bez względu na to, jak bardzo niezręcznie jest krytykować właśnie (i pochopnie) mianowaną przez siebie kontrowersyjną minister, politycy demokratycznej centroprawicy winni przy każdej okazji akcentować, a nie zacierać tę granicę.

Jak walczyć z pełzającą normalizacją skrajnej prawicy, uczył nas czeski opozycjonista Václav Havel, który stawił opór tamtej „normalizacji". Wymaga to stania na straży – jeśli trzeba, przez lata – standardów normalności, które mogą różnić się od tego, co jest empirycznie normalne w naszym społeczeństwie.

„My tacy nie jesteśmy!" – mówią amerykańscy politycy, widząc kolejną przerażającą strzelaninę w szkole lub inną zbrodnię z nienawiści. Niestety, empirycznie rzecz biorąc, nie całkiem mają rację – to dziś chroniczna choroba amerykańskiego społeczeństwa. Ale słowa „my tacy nie jesteśmy" są tyleż potwierdzeniem zasady, co odwołującą się do inteligencji emocjonalnej próbą przypomnienia ludziom o ich lepszym „ja".

Ilekroć więc padnie słowo „normalność", pamiętajmy, że walka o przyszłość liberalnej demokracji to także walka o definicję normalności. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

Timothy Garton Ash

• jest profesorem europeistyki na uniwersytecie oksfordzkim. Twitter: @fromTGA

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*
2. Fragmentu książki Alejandra Zambry „Chilijski poeta"

Portret zbiorowej tożsamości społeczeństwa wychowanego w czasach dyktatorskich rządów Pinocheta ukazany jest nie jako tragedia, lecz rodzinna komedia. To historia społeczna kraju, w którym kolonialna przeszłość i skutki wielu lat dyktatury są wciąż żywe i bolesne. Autor z perspektywy bohaterów i swojej własnej pokazuje, że z mieszania się ludzi, płci, klas, narodowości, pojęć może wyniknąć wiele dobrego. Powieść zyskała międzynarodowe uznanie.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Alejandra Zambry „Chilijski poeta" oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

FKCPAZ22

Aby skorzystać z kodu:

1. Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
2. Wpisz kod w polu „Kod promocyjny"
3. Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
4. Aktywuj dostęp w ten weekend
5. Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176931

eprasa.pl 9f18aadd43

Czas na nowy ład

ONZ MOŻE NIE PRZETRWAĆ WOJNY W UKRAINIE

Zaczęła się dyskusja, czy i jak wyrzucić Rosję z Rady Bezpieczeństwa ONZ

Organizowana we współpracy z ONZ konferencja w Genewie 1 marca, kilka dni po ataku Rosji na Ukrainę. Dyplomaci opuszczają salę podczas wystąpienia szefa MSZ Rosji Siergieja Ławrowa

FOT. SALVATORE DI NOLFI/KEYSTONE/AP

Robert Stefanicki

Z pozoru sytuacja jest bez wyjścia: Rada Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych (RB) powstała po to, aby chronić interesy jej stałych członków, czyli mocarstw, które wygrały II wojnę światową i posiadały broń jądrową. Karta (czyli statut) Narodów Zjednoczonych nie przewiduje żadnej procedury pozwalającej na wydalenie czy choćby pozbawienie prawa weta USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Chin czy Rosji.

Jednak legalność zasiadania tej ostatniej wśród pięciu supermocarstw da się zakwestionować. Bo Karta ONZ nie wspomina ani słowem o Rosji, tylko o Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Po rozpadzie ZSRR prezydent Borys Jelcyn wysłał list do sekretarza generalnego ONZ, w którym stwierdził, że Federacja Rosyjska jest prawnym następcą upadłego imperium. Zostało to zaakceptowane na zasadzie milczącego porozumienia. Nie przeprowadzono żadnej oficjalnej procedury, jak np. w przypadku przyjęcia Czech i Słowacji do ONZ po rozpadzie Czechosłowacji, gdy musiały za tym zagłosować dwie trzecie członków Zgromadzenia Ogólnego.

Inne kraje były usatysfakcjonowane, że zimna wojna się zakończyła, a upadek Związku Radzieckiego przebiegał względnie pokojowo. Jelcyn wydawał się sympatyczny i niegroźny.

KIJÓW PROPONUJE: ZASTĄPIMY ROSJAN W RADZIE BEZPIECZEŃSTWA

Teoretycznie możliwe było też inne rozwiązanie. Bo „założycielskimi" członkami ONZ były wtedy również Ukraina i Białoruś – w 1945 r. Stalin wynegocjował wprowadzenie tych republik do ONZ, żeby mieć więcej głosów.

Kijów wskazuje na te fakty od czasu zajęcia przez Rosję Krymu w 2014 r. I zaznacza, że jest gotów zastąpić Moskwę na stałym fotelu w RB jako jedyna część składowa byłego ZSRR i – od samego początku – członek ONZ, który pozostał wierny zasadom organizacji. Białoruś, jako sojusznik Władimira Putina, rzecz jasna, nie może być brana pod uwagę.

Wtedy nie brano tego poważnie i nawet dzisiaj wizja wprowadzenia Ukrainy do ekskluzywnego klubu supermocarstw obok Ameryki czy Chin, tylko po to, żeby wysiudać stamtąd Putina, zdaje się czystą political fiction. Nie wiadomo, jakim krajem będzie Ukraina (i Rosja) za 20 lat i czy aby nie zajdzie potrzeba dokonania manewru odwrotnego.

Jednak prowadząc brutalną wojnę w Ukrainie, bombardując i mordując cywilów, Rosja dowiodła, że nie zasługuje na stałe miejsce w RB. Zakusy, żeby ją usunąć lub przynajmniej zneutralizować, opierają się na realnych przesłankach.

PIĘĆ POPRAWEK W 76-LETNIEJ HISTORII

W grudniu 1991 r. Moskwa zgodziła się respektować Kartę Narodów Zjednoczonych, w tym suwerenność i integralność terytorialną swoich sąsiadów. W zamian uzyskała wiele znaczących korzyści, od przejęcia strategicznych aktywów nuklearnych ZSRR i byłej sowieckiej infrastruktury kosmicznej, po przywilej zasiadania stale w Radzie Bezpieczeństwa. Ponieważ teraz rażąco złamała swoje zobowiązanie, można argumentować, że tym samym jej obecność w RB straciła podstawę prawną.

Gdyby teraz Moskwa złożyła wniosek o samo tylko członkostwo w ONZ, należałoby go odrzucić. Zgodnie z Kartą ONZ udział w organizacji jest otwarty dla wszystkich państw „miłujących pokój", które powstrzymują się od użycia siły i przestrzegają prawa międzynarodowego.

Podmiana Rosji na Ukrainę także z proceduralnego punktu widzenia nie byłaby łatwa do przeprowadzenia. Zapewne wymagałaby wprowadzenia poprawki do Karty, co zdarzyło się tylko pięć razy w 76-letniej historii ONZ.

Powstałyby dodatkowe komplikacje. Rosja przez 30 lat była częścią RB, głosowała za tysiącami rezolucji. Czy należałoby uznać je za nieważne, skoro przyjmujemy, że zajmowała to miejsce nielegalnie?

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

NASZA EUROPA

Prostsze byłoby odebranie Kremlowi głosu. Brak istniejących procedur nie musi być przeszkodą. Dwukrotnie w przeszłości ONZ podjęła kroki w celu zmodyfikowania lub ograniczenia statusu państwa członkowskiego. W 1971 r. Zgromadzenie Ogólne w głosowaniu przekazało chiński fotel maoistowskiemu reżimowi w Pekinie, usuwając Tajwan z organizacji. Trzy lata później to samo gremium ogłosiło, że przedstawiciel rasistowskiego rządu Republiki Południowej Afryki nie ma już prawa tam przemawiać ani głosować.

W obu przypadkach kreatywnie wykorzystano procedury uwierzytelniania, które określają, kto reprezentuje dany kraj. Na początku każdego roku wysłannicy państw członkowskich przedkładają swoje listy uwierzytelniające Zgromadzeniu Ogólnemu do rozpatrzenia, które albo je przyjmuje (zazwyczaj), albo odrzuca. Można by tę furtkę zastosować w przypadku Rosji, bez formalnego usunięcia jej z RB.

KTO SIĘ BOI ODSUNIĘCIA MOSKWY

Jak to przeprowadzić, opisał w tekście dla Center for European Policy Analysis (CEPA) brytyjski ekspert prawa międzynarodowego Thomas D. Grant.

Pierwszym krokiem byłoby wydanie przez Ukrainę referencji jednemu ze swoich dyplomatów do obsadzenia mandatu po ZSRR. Rosja by to oprotestowała. Powstałby spór, który należy rozstrzygnąć większością dziewięciu głosów w 15-osobowej RB. Zgodnie z art. 27 ust. 2 Karty Narodów Zjednoczonych takie wnioski nie mogą być zawetowane. Rosja – uważa Grant – byłaby bezsilna.

W gruncie rzeczy istota problemu jest polityczna, nie prawna. Jeśli będzie wola, znajdzie się sposób, by odebrać Moskwie brzytwę. Problemem jest to, że świat jest podzielony – Putina otwarcie popiera wprawdzie tylko garstka dyktatur, ale już tych, którzy wstrzymują się od głosu i dalej robią z nim intratne interesy (w szczególności kupując przecenioną ropę), jest znacznie więcej.

Wiele państw członkowskich może nie chcieć wyrzucić Rosji z RB, obawiając się precedensu i wzmocnienia hegemonii Stanów Zjednoczonych. Bo skoro dało się ukarać wielką Rosję, to nic nie stanie na przeszkodzie, żeby pod dyktando Ameryki wykluczać kolejne nieprzyjazne jej kraje z różnych oenzetowskich forów.

Sytuację utrudnia też brak oczywistego zamiennika dla Rosji. Stałe członkostwo w RB marzy się Indiom, Afryce, Niemcom, Japonii, Brazylii. Jeśli miejsce do obsadzenia będzie tylko jedno, powstanie spór i klincz. O potrzebie strukturalnej reformy tego ciała, powiększenia liczby stałych członków, mówi się od lat, ale na mówieniu się kończy. Nie tylko Rosja jest temu winna. Każde państwo pilnuje swojego własnego interesu.

ONZ JAKO KLUB DYSKUSYJNY?

RB jest tak zabetonowana, że tylko wstrząs mógłby ją skruszyć. Tym wstrząsem mogłoby być użycie przez Rosję broni jądrowej, którą Putin zawiesił na ścianie jak strzelbę w teatrze. Jeśli ta strzelba wystrzeli i jeśli pomimo złamania obowiązującego od dziesięcioleci tabu Rada Bezpieczeństwa dalej tolerowałaby w swoim składzie Rosję, to... No właśnie, co?

Pierwsza odpowiedź brzmi: nic. Tylko przyspieszyłaby dynamika staczania się Narodów Zjednoczonych do roli klubu dyskusyjnego. Termin „wspólnota międzynarodowa" od dawna jest pustym frazesem. Można będzie założyć koszulki „Nie płaczę po ONZ".

Ale trzeba sobie uświadomić, że upadek tej instytucji oznaczałby upadek filaru porządku powojennego. Pytanie, co w zamian. Wojny napoleońskie doprowadziły do powstania systemu równowagi sił znanego jako koncert mocarstw. I wojna światowa dała Ligę Narodów. II wojna światowa urodziła ONZ, Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy i NATO. Co powstanie po wojnie w Ukrainie?

Zakładając, że Rada Bezpieczeństwa nie zdoła się zreformować, to prawdopodobnie zmierzamy w kierunku usankcjonowania fragmentacji porządku światowego. Jeszcze bardziej wzrośnie rola Stanów Zjednoczonych jako osi świata, ale tylko liberalnego. Być może uda się połączyć sojusze wojskowo-polityczne, takie jak NATO, AUKUS i QUAD, w jedno ciało zajmujące się globalnym porządkiem.

JAK PODEJŚĆ CHINY

Na drugim biegunie znalazłyby się Chiny. Nazwa Państwa Środka jeszcze tu nie padła, a jest ono kluczowe dla przyszłości ONZ, dla przyszłości Rosji w ONZ i dla przyszłości świata – bo globalnych problemów nie da się bez Chin rozwiązać, a atak na Tajwan byłby gwoździem do trumny Narodów Zjednoczonych w obecnej formie.

„Można żyć bez Rosji. Nie można żyć bez Chin", zauważył James Traub, który na łamach „Foreign Policy" wysnuł wizję „Porozumienia na rzecz Pokoju i Sprawiedliwości". Mogłoby ono obejmować demokracje i liberalne autokracje i mieć zdolność do rozszerzania, podobnie jak Unia Europejska.

„Można żyć bez Rosji. Nie można żyć bez Chin", zauważył James Traub, który na łamach „Foreign Policy" wysnuł wizję „nowego ONZ". Mogłoby obejmować demokracje i liberalne autokracje i mieć zdolność do rozszerzania, podobnie jak Unia Europejska

„Chiny miałyby prawo do członkostwa, o ile zgodziłyby się akceptować orzeczenia międzynarodowych organów sądowych, zreformować merkantylistyczne i drapieżne aspekty swojej gospodarki, ograniczyć poparcie dla brutalnych dyktatorów za granicą i tak dalej. Tak samo Rosja, chociaż to mniej pilne po wyniszczającej wojnie".

Brzmi pięknie, pozostaje tylko czekać na chińskiego Gorbaczowa albo przynajmniej Jelcyna. Na razie rządzi Xi Jinping. Nie wiadomo, jak zareagowałby na użycie broni jądrowej przez Rosję, ale trzeba założyć, że jego priorytetem pozostanie globalne ograniczanie wpływów Waszyngtonu. Tak jak priorytetem Waszyngtonu na ten moment jest ograniczanie wpływów Chin.

A jeśli na gruzach ONZ powstanie jakieś nowe międzynarodowe ciało, z którego Pekin zostanie wykluczony, to i wiele innych państw nie będzie miało odwagi, żeby tam wstąpić. Z perspektywy czasu może się zatem okazać, że choć Putinowi nie udało się zabić niepodległej Ukrainy, to udało mu się zabić Narody „Zjednoczone". ●

Zamiast koncertu wielkich

Średnie mocarstwa wkraczają do gry

Regionalne potęgi, takie jak Turcja, łączy determinacja, by być już na stałe przy stole, a nie w menu.

Ivan Krastev*

Spotkanie prezydenta Joego Bidena i chińskiego przywódcy Xi Jinpinga na indonezyjskiej wyspie Bali, na marginesie szczytu G20, było znamienne i paradoksalne zarazem. Prowadzone było w znanej z zimnowojennych szczytów atmosferze, w której na pierwszy plan wysuwały się wzajemna rewerencja i dobre maniery, a jednak stanowiło jak dotąd najlepszy dowód na to, że nie ma mowy o powrocie znanej z przeszłości zimnej wojny.

Mówiąc wprost: wyłaniający się na naszych oczach nowy krajobraz geopolityczny jest kształtowany bardziej przez zagrożenia i ambicje tych państw, które możemy już nazwać średnimi mocarstwami, a nie przez jakąkolwiek wielką strategię Państwa Środka. Obserwowana z dystansu wojna Rosji z Ukrainą może wydawać się powtórką z zimnowojennego starcia „wolnego świata" z rosyjskim (i chińskim) autorytaryzmem. Bliższe spojrzenie komplikuje ten kuszący swoją klarownością obraz.

Podczas gdy europejscy sojusznicy Ameryki zjednoczyli się w obronie Ukrainy i przeciwko milczącemu poparciu Pekinu dla wojny Władimira Putina, wiele państw, zwłaszcza z globalnego Południa, zaprezentowało inne stanowisko. To świadomy ruch mający sens w kontekście załamania się ładu postzimnowojennego.

Wypróbowany sojusznik Ameryki podczas zimnej wojny, Arabia Saudyjska, oraz jej bliski obecny partner w dziedzinie bezpieczeństwa, Indie, w ostatnim czasie mocno rewidują więzi z Waszyngtonem, otwarcie formułując swoje nadzieje na ustanowienie bardziej partnerskiej relacji. Saudyjczycy w ramach własnej emancypacji zaczęli wręcz zbliżać się do krajów BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA). Zaś Hindusi w międzyczasie nabrali apetytu na przecenioną rosyjską ropę (choć we wrześniu Narendra Modi ostro skarcił Putina za rozpoczęcie wojny).

Zachodnie apele o globalną solidarność z Ukrainą często pozostają bez echa. Południe nadal jest niechętne, by postrzegać opór Kijowa wobec agresywnej Rosji jako wojnę antykolonialną. Także – a może przede wszystkim – dlatego, że ich własne postkolonialne tożsamości są nadal kształtowane przez niedawną walkę z europejskimi imperiami lub obecny opór wobec hegemonii USA – a nie Rosji czy Chin.

Gdy Ameryka zmaga się z odkrywanymi przez niektórych swoich sojuszników zaletami bardziej otwartego związku, również starzy przyjaciele Rosji w Azji Środkowej zaczęli wyrażać wątpliwości co do status quo. Np. w przypadku Kazachstanu inwazja Rosji na Ukrainę, zamiast wzmocnić sojusz z Moskwą, wręcz go rozerwała.

W tym sensie wojna w Ukrainie skierowała reflektor na nasilającą się od lat aktywność regionalnych mocarstw wagi średniej, które wyrastają na główną siłę napędową procesu przebudowy międzynarodowego porządku. Jest to luźna grupa skądinąd odległych od siebie towarzyszy. RPA, Indie, Korea Południowa, Niemcy, Turcja, Arabia Saudyjska i Izrael, by wymienić tylko kilka takich średnich mocarstw, nie mają poza tym ze sobą wiele wspólnego. Niektóre z nich są liberalnymi demokracjami, inne to autokracje, a jeszcze inne poruszają się w szarej strefie pomiędzy tymi biegunami. Kraje te ukształtowały swoją postzimnowojenną tożsamość w świecie coraz szerszych wzajemnych powiązań, ale w którym główni partnerzy handlowi niekoniecznie są najbliższymi sojusznikami, a blokada przepływu technologii między Stanami Zjednoczonymi a Chinami może powodować dla wszystkich większe skutki i być po prostu ważniejsza niż jakiekolwiek ideologiczne rozbieżności między nimi.

Niektóre średnie mocarstwa to kraje rozwijające się, z szybko rosnącą populacją, inne to potęgi gospodarcze zmagające się z niekorzystnymi wskaźnikami demograficznymi. Niektóre zdobyły swój status dzięki wielkości terytorialnej, inne dzięki gospodarczemu potencjałowi. Niektóre są konstruktywnymi i współpracującymi członkami społeczności międzynarodowej, inne prezentują podejście transakcyjne i są wielce podejrzliwe wobec świata.

Wszystkie jednak łączy jedna podstawowa cecha: są zdeterminowane, by wreszcie zasiąść przy stole, a nie już wyłącznie figurować w menu, ponieważ wszystkie mają zarówno potencjał, jak i ambicje aktywnego kształtowania przynajmniej swoich własnych regionów globu. Jak przekonuje Shannon O'Neil z think tanku Council on Foreign Relations w książce „The Globalization Myth", w większości miejsc na świecie globalizacja to tak naprawdę regionalizacja. To jest klucz do rozbudowy wpływów przez średnie mocarstwa.

Rola Turcji w wojnie rosyjsko-ukraińskiej to podręcznikowy przykład aktywności regionalnej potęgi. Prezydent Recep Tayyip Erdogan ma awersję do starych zimnowojennych sojuszy i genialnie stosuje strategię kameleona: chce być panną młodą na każdym weselu i dzieckiem na każdym chrzcie. Ankara pod jego rządami systematycznie obniża swoją polityczną rozpoznawalność jako członka NATO i sojusznika USA, w zamian m.in. wchodząc w rolę kluczowego mediatora między Moskwą a Kijowem.

Aktywne prowadzenie geopolityki przez mocarstwa regionalne może być zbawienne, gdy pomaga to formułować rozwiązania globalnych problemów, czego przykładem są inicjatywy klimatyczne UE, lub opłakane w skutkach, gdy przyzwala się na inwazję Rosji na Ukrainę. Ale to nowa norma – znak firmowy kształtującego się właśnie nowego porządku międzynarodowego.

Jedno jest pewne: nie będzie powtórki z konferencji w Bandungu w 1955 roku; nie będzie wskrzeszenia zimnowojennego ruchu tzw. państw niezaangażowanych. Nie ma wspólnej ideologii spajającej średnie mocarstwa. W rzeczywistości mają one często rozbieżne lub wprost konkurencyjne interesy. Nie mówiąc o tym, że nie uzgadniają ze sobą swoich stanowisk i działań.

Te mocarstwa wagi średniej aspirują do posiadania globalnych wpływów na poziomie Waszyngtonu czy Pekinu, jednak zdają sobie sprawę, jak mało prawdopodobna jest taka ewentualność. O ile jednak w czasie zimnej wojny to one musiały dostosowywać się do kaprysów i planów supermocarstw, o tyle dziś USA i Chiny muszą radzić sobie w świecie skutecznie kształtowanym regionalnie właśnie przez graczy wagi średniej. Inwazja Rosji na Ukrainę jest doskonałą ilustracją tego procesu i naszej nowej rzeczywistości. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

***Ivan Krastev** – politolog, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii

eprasa.pl 9f18aadd43

JAK SIĘ PODDAĆ

Nie wiem, kogo spotkam: rockowego wokalistę z kompleksem mesjasza? Cynicznego bojownika o własną sławę? Co się stało z idolem mojej młodości?

Paweł Goźliński, Glasgow

FOT. BILL BELKNAP / ALAMY / BW&W

„W Buczy na własne oczy oglądamy masakrę dokonaną przez rosyjskich żołnierzy”.

Wiele było takich zdań. I ciągów dalszych: „W kolejnych dniach będę próbował usunąć te obrazy z pamięci”. Ale tych nie napisał korespondent wojenny, ani polityk, ani żołnierz. Więc kto? Kim jest Bono? Wbrew pozorom nie jest łatwo na to odpowiedzieć, tym bardziej że na okładkach kolorowych magazynów pod jego zdjęciem pojawiało się niekiedy pytanie, czy zbawi świat. Zawsze dwuznaczne, bo zadając je, nieco śmiano się z jego megalomanii, choć jednocześnie lokowano w nim monstrualne porcje nadziei. Raczej nie do udźwignięcia przez jednego człowieka – zwłaszcza kiedy on sam nie chce tego przyjąć do wiadomości.

W maju 2022 roku jest w Kijowie. Zanim pojedzie do Buczy, gra ze swoim przyjacielem z zespołu na stacji metra, która jest jednocześnie schronem. Przyłączają się do nich ukraińscy muzycy, którzy teraz są żołnierzami. Potem spotyka się z prezydentem Zełenskim i wcale nie namawia go do pokoju za wszelką cenę, chociaż kiedyś rwał na scenie flagę swojego kraju i zostawiał z niej tylko biały pas, którym wymachiwał, budząc coraz większą nienawiść w spolaryzowanej, wystraszonej aktami terroru Irlandii.

Był kiedyś radykalnym pacyfistą, a wojna w Ukrainie to nie jest jego pierwsza wojna.

Do Sarajewa pojechał wprawdzie, kiedy wojna już się skończyła, ale jeszcze w czasie oblężenia miasta podczas koncertów łączył się z ludźmi stamtąd, żeby opowiadali swoje historie.

Wcześniej, w latach 80., zabrał żonę do Salwadoru ogarniętego tylko na pozór wewnętrznym konfliktem. „Stany z klasycznym zimnowojennym nastawieniem wspierały tamtejszą juntę – napisał – tylko dlatego, że nie była komunistyczna. Ponieważ boimy się, że dobrzy ludzie zostaną komuchami, wspieramy tych złych, którzy komuchów gnębią”. Parę razy otarli się o śmierć.

Kilkanaście lat później spotykał się wielokrotnie z amerykańskimi generałami, którzy stali za tamtą wojną, nawet ich podziwiał. Wtedy miał już z nimi wspólne interesy.

Pacyfista, który kuma się z generałami?

„Potrafiłem się bawić tą pozorną sprzecznością związaną z potrzebą bycia po obydwu stronach barykady” – pisze w swojej właśnie wydanej autobiografii.

A więc to wszystko zabawa? Gra?

Czytam to zdanie i już zupełnie nie wiem, kogo spotkam siedem miesięcy po tamtej wizycie w Kijowie. Rockowego wokalistę z kompleksem mesjasza? Cynicznego bojownika o własną sławę? Pogubionego gwiazdora? Dlaczego jadę na spotkanie z nim, skoro nie przyszło mi nawet do głowy, żeby kupić bilet na koncert Rogera Watersa, który w najgłupszy możliwy sposób, prowadzący go w stronę roli pożytecznego idioty Putina, pozostał konsekwentny w swoim pacyfizmie?

Co się stało z idolem mojej młodości?
Co się ze mną stało?

POWIETRZE

Przy wejściu do sali Armadillo w Glasgow dostaję jego książkę ze zdjęciem zrobionym przez Antona Corbijna na okładce. Z fotografii zezuje młody człowiek, który ewidentnie ma ochotę komuś przyłożyć. Siadam na widowni, ale ludzie dookoła mnie nie zachowują się, jakby przyszli na spotkanie autorskie. Może raczej na stand-up. Albo koncert. Dobrze jest mi z tą niepewnością, z brakiem oczekiwań, z wyzerowaniem zaangażowania, półobsesji, jakie miałem na punkcie tego chłopaka z okładki jako nastolatek. Teraz mam lat 51 i jestem wydawcą polskiej edycji jego autobiografii. On ma 62. Kilka lat temu przeszedł ratunkową operację swojego ekscentrycznego serca z dwoma zastawkami zamiast trzech. Otarł się o śmierć, przy okazji dowiedział się, że ma pewien dar. A potem zaczął pisać autobiografię, którą właśnie promuje.

Dom stał się polem bitwy. Dopiero po latach Bono zrozumiał jej sens. Chęć rewanżu na ojcu, którego podświadomie obwiniał o śmierć matki

O darze jeszcze wspomnę na końcu akapitu, na razie myśl, że jak się ma pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat, to raczej się wie, że dary nie są nigdy bezinteresowne ani niewinne. Nie tylko dlatego, że zwykle trzeba za nie w końcu zapłacić. Bardziej dlatego, że na dary, które my dostajemy, inni nie mają szans, a za naszymi sukcesami stoi zwykle „pewna nieuczciwa przewaga”. To może być społeczny przywilej, talent lub „inna forma odziedziczonego majątku”. To już jego słowa, a ja zastanawiam się, czy rzeczywiście odkryta przez chirurga ze szpitala Mt Sinai nadprzeciętna objętość płuc wystarczy, żeby objaśnić jego sukces, który w konsekwencji doprowadził go do politycznego zaangażowania i jakiejś nieźle zakręconej formy mesjanizmu? Nie, to stanowczo nie jest wystarczająca odpowiedź.

eprasa.pl 9f18aadd43

PO ZWYCIĘSTWIE

BŁAZEN

Nazywa się Paul Hewson, ale jeden z przyjaciół nadał mu przydomek wzięty z szyldu sklepu z aparatami słuchowymi. Bono Vox. Potem już tylko Bono. Jeszcze czeka za kulisami. Gra muzyka. Joy Division, Massive Attack, The Ramones – ważni dlatego, że to ich słuchał (jednocześnie czytając „Zbrodnię i karę"), kiedy komponował pierwszy singiel swojej kapeli. Akurat obchodził osiemnaste urodziny i szukał sposobu, żeby nie dać się wypchnąć z domu na etat. Tylko że w niczym nie był szczególnie dobry, chyba że w błaznowaniu. Dlatego rozwiązaniem miała być muzyka, rock and roll. Osiemnastolatek wyszedł z założenia, że aby go grać i śpiewać, wcale nie trzeba mieć szczególnego daru. Prawie nic nie trzeba umieć. Ze trzy akordy, jak w „Glad to See You Go" The Ramones, powinny wystarczyć.

„Jako nastolatek z Dublina lat siedemdziesiątych zamierzam zmienić czarno-biały świat za pełnymi ozdóbek parapetami w barwny świat oglądany w telewizorze marki Murphy" – pisze w autobiografii. Historia jakich tysiące. Tylko że jemu się udało.

NO PRESENT, NO FUTURE

Kiedy muzyka cichnie, na widowni wybucha euforia. Więc jednak koncert? Może tak się wydawać, zwłaszcza że na scenie pojawia się troje muzyków. Zupełnie innych niż ci, z którymi gra na co dzień (choć to „na co dzień" zdarza się ostatnio raczej od święta i w niezwykłych okolicznościach, na przykład w kijowskim metrze). Ale oni są dziś tylko tłem. Liczy się Bono i jego opowieść. „Stories of Surrender". Jak to przełożyć? Historie o poddawaniu się? Kapitulacji? A może o rezygnacji? Po polsku brzmi koślawo, ale właśnie o to chodzi. O to, żeby nauczyć się poddawać, rezygnować, co nie jest proste, zwłaszcza kiedy ma się ego tak rozdęte jak on. Sam wprost o tym mówi. Ego, które nie mieści się w limuzynie. Kiedy ma się sześćdziesiąt lat, już nie warto się krygować. Więc się nie kryguje, choć czasami też z siebie kpi. Nie zawsze brzmi to przekonująco.

Staje na scenie w trzyczęściowym garniturze zarzuconym na gołą skórę. Nie widzę blizny po operacji, za daleko. Za to śledzę uważnie jego ruchy, charakterystyczny koncertowy zestaw – jakby traktował swoje ciało jak cięciwę, którą trzeba naciągnąć, zanim się rzuci przed siebie. Kiedy zaczynał karierę, rzucał się w tłum, wspinał na piramidy głośników. Pisze, że napędzał go gniew.

Nic nadzwyczajnego, kiedy było się nastolatkiem z Dublina w latach 70. ubiegłego wieku. Nastolatki z Londynu wykrzykiwały wtedy „no future". W Dublinie – pisze Bono – nie mieli wtedy nawet teraźniejszości. „Dorastając w Irlandii, czuło się, że przyszłość zawsze jest gdzie indziej".

Wracając ze szkoły, lubił przystawać przed witryną sklepu płytowego Dolphin Disc, czasami wydawał w nim pieniądze przeznaczone na jedzenie (co nie znaczy, że głodował, bez przesady, chociaż głód za kilkanaście lat stanie się jego „tematem"). 17 maja 1974 roku nie zatrzymał się tam, był już w domu, kiedy sklep wyleciał w powietrze. „Ekstremistyczna grupa ulsterskich unionistów postanowiła uzmysłowić południowcom, czym jest terroryzm". Zginęły 33 osoby. Jeden z przyjaciół Bono oglądał porozrywane zwłoki z samochodu, gdy jego ojciec pobiegł pomagać rannym. Nigdy się z tego nie otrząsnął. To o nim jest piosenka „Bad", jedna z moich ulubionych.

Wojnę miał nie tylko na ulicach. Też w domu, ale nie od wojny zaczyna opowieść. Nawet nie od narodzin zespołu, bo tę historię wszyscy znają, nawet jeśli nie znają, tak jest typowa. Więc szkoła, tablica, ogłoszenie, młody perkusista (Larry Mullen Jr) szuka reszty składu. Potem próby w kuchni i ciasnej szopie obok cmentarza, na którym leżała jego matka. W tej szopie z jego złości i awantury, jaką zrobił kolegom, rodzi się piosenka, która otworzy ich pierwszą płytę, i bodaj pierwszy przebój („I Will Follow").

Bono opowiada tę scenę, wciela się w The Edge'a, odgrywa swoją złość i to, jak tłumaczy sens utworu, którego bohaterem jest chłopak, który stracił kogoś bliskiego i samobójstwo wydaje mu się jedyną możliwą reakcją. Zarzeka się, że kiedy to mówił, kiedy pisał tekst, nie myślał o Iris.

GNIEW

Iris upadła w czasie pogrzebu własnego ojca. Umarła cztery dni później. Bono miał wtedy 14 lat. W domu przy Cedarwood Road 10 (widziałem setki takich w Dublinie, brzydki klocek z szarą fasadą) bez matki zostało ich trzech. Ojciec Bob, brat Norman i Paul.

Bob Hewson był urzędnikiem pocztowym, fanem opery i niezłym tenorem. Kiedy dyrygował płynącymi z głośników ariami, świat przestawał istnieć. Synowie też. Tak to widział Bono. I jeszcze kilka rzeczy:

Po śmierci Iris nigdy o niej nie rozmawiali. Z milczenia zrobili sposób na radzenie sobie ze stratą. Milczenie sprawiało, że pęczniał gniew. Gniew, który w końcu eksploduje, staje się muzyką („Rozmiary piosenki są ważne – pisze w autobiografii. – Muszą pomieścić twoje życie emocjonalne. Wiele uczuć, których nie potrafiłem wyrazić jako młody człowiek z domu przy Cedarwood Road 10, znalazło ujście w piosenkach U2").

Ojciec i syn wciąż się kłócą, na ostro. Dom stał się polem bitwy.

Brał intensywny udział w tej domowej wojnie, ale dopiero po latach zrozumiał jej sens. Zemsta. Chęć rewanżu na ojcu, którego podświadomie obwiniał o śmierć matki.

Pomógł mu to zrozumieć naczelny „Rolling Stone'a" podczas wywiadu, potem jego własna żona. Była to bodaj jedyna forma terapii, na jaką się zgodził. Poza tym wsparcia szukał zupełnie gdzie indziej.

W IMIĘ SYNA

Niby wiedziałem, że w młodości był pod wpływem radykalnej sekty Shalom (jej wyznawcy próbowali żyć w XX wieku jak pierwsi wyznawcy Chrystusa), niby i u nas widziałem nawróconych rockandrollowców. Ale kiedy czytam, co Bono pisze o swoim stosunku do religii, rozumiem, że to zupełnie inna historia.

Żadnego nawrócenia nie było. Chłopak, którego ojciec był katolikiem, a matka protestantką, zbuntował się nie przeciwko religii, co najwyżej jej powierzchownym formom. Słuchał Ewangelii „z płonącymi uszami", jej słowa stały się jego drugim językiem, sposobem komunikowania się z samym sobą i światem. Do dziś przed każdym koncertem modli się z kolegami z zespołu (we trójkę, basista Adam Clayton jest ateistą, a raczej był, bo w ramach terapii odwykowej musiał przyjąć istnienie jakiejś siły wyższej). Ale równocześnie Bono pozostawał nastolatkiem, zwykłym nastolatkiem, który słucha punk rocka, całuje się z dziewczynami i ma kłopoty z agresją.

Sprzeczność? Tak. Właściwie cała jego opowieść o sobie samym składa się ze sprzeczności. I zmagania się z nimi. Już od początku kariery, bo oto kiedy jego zespół wydał debiutancki album („Boy") i zaczął zdobywać jako taką popularność, „duchowi przywódcy" zaczęli pytać, czy można pogodzić głoszenie Słowa i granie rocka. Bono, a zwłaszcza gitarzysta U2, The Edge, potraktowali te pytania absolutnie serio. Gdyby nie podpisane wcześniej kontrakty (Czy wasz Bóg pozwala je zrywać? – zapytał ich menedżer Paul McGuinness, człowiek tak ważny dla kariery U2 i tak różny od jego członków jak Brian Epstein w wypadku The Beatles) zespół przestałby istnieć. Pozostałby niewiele znaczącą efemerydą w historii rocka.

CHŁOPCY I MĘŻCZYŹNI

„Half-man show" – tak mówi o widowisku, które nam serwuje. Dlaczego pół?

„Jako muzyk chwytam znacznie więcej, niż potrafię osiągnąć. Słyszę w głowie muzykę, ale nie umiem jej zagrać. (...) Znaczna część mojego gniewu bierze się z niemożliwości wyrażania siebie, co dotyczy wielu ludzi. Miałem tylko kilka lekcji gry na gitarze, dlatego jestem zależny od tych trzech towarzyszy. Muszę przełknąć własne ego, bo bez ich zdolności wyrażania siebie nie mam nic".

Przedstawia ich, a jednocześnie parodiuje. The Edge – chłopak z głową równie kanciastą jak jego gitara Gibson Explorer, który do dziś nie zna wszystkich akordów, co nie przeszkadza mu być jednym z najlepszych gitarzystów na świecie. „Edge ma twarz pokerzysty. Ja nie".

Larry Mullen – hm, o nim w gruncie rzeczy Bono nie ma nic ciekawego do opowiedzenia, jest najbardziej integralny z ich czwórki, tak to z perkusistami bywa.

Znacznie ciekawiej wygląda portret Adama Claytona, basisty, który nie umiał grać na basie, za to jako jedyny członek U2 wyznawał credo: sex, drugs and rock and roll, a do tego miał nieposkromioną skłonność do prezentowania własnego członka przy każdej nadarzającej się okazji (Bono odgrywa tu adekwatną pantomimę).

„Mężczyźni, którzy poznali się jako chłopcy – pisze o nich i o sobie. – Mężczyźni, którzy złamali obietnicę tkwiącą w samym sercu rock and rolla, mówiącą, że możesz zdobyć świat, ale w zamian świat weźmie ciebie". Powinieneś przynajmniej rozbić własną kapelę, a w wersji radykalnej umrzeć na krzyżu, zaćpać się, zachlać na śmierć, najlepiej w trzydziestym trzecim roku życia. „W przeciwnym razie wszyscy będą mieli prawo żądać zwrotu pieniędzy".

Żądają. Może nie wszyscy, ale wielu. Wypominają zespołowi, że gdy w Irlandii zniesiono ulgi podatkowe dla artystów, wynieśli się (w księgowym sensie) do Holandii. Że Bono, a właściwie jego firma zarejestrowana na Malcie, kupił udziały w centrum handlowym na Litwie, żeby unikać podatków.

Nie znalazłem żadnego sensownego wyjaśnienia. W autobiografii też, chociaż Bono nie unika tematu, chce się wytłumaczyć ze wszystkiego, również z tego, jakim cudem koleś z Cedarwood Road został megakapitalistą. Ale to nie tylko historia z gatunku American dream (tu: Irish dream). To kolejna solidna sprzeczność wpisana w historię Bono i U2. Oto postpunkowa kapela, wokół której powstaje komercyjny moloch. Chłopaki z obrzeży miasta, członkowie sekty pielęgnującej ubóstwo pierwotnego chrześcijaństwa zostają multimilionerami, częścią globalnego „systemu". Jak do tego doszło?

SPÓŁDZIELNIA MILIONERÓW

Tak mniej więcej wygląda historia sukcesu U2 – przy czym Bono podkreśla, że pod powierzchnią sukcesu zwykle czai się neuroza, dlatego powinno się przed nim ostrzegać, a nie do niego zachęcać – w punktach.

1. U2 powstaje jako „spółdzielnia" – Bono, Edge, Larry i Adam chcą dzielić między siebie ewentualne zyski po równo (początkowo nie ma żadnych zysków, Bono wraca z koncertów za pożyczone pieniądze).

2. Ich menagrem zostaje Paul McGuiness, człowiek z branży filmowej, fan wykwintnej kuchni z nosem do dużych pieniędzy. Namawia członków zespołu, żeby podpisywali wszystkie piosenki nazwiskami całej czwórki. Tłumaczy, że zespoły rozpadają się najczęściej nie z powodu muzyki, ale interesów. W przyszłości będzie negocjował mniej korzystne w krótkiej, zbawienne w długiej perspektywie umowy, dzięki którym członkowie U2 zachowywają prawa autorskie do swojej muzyki, co wcale nie było normą.

3. Blefują organizując w Dublinie koncert, który ma być podsumowaniem ich „sukcesów" w Anglii. Dostrzega ich promotor z Island Record, firmy, która wydawała Boba Marleya i podpisuje z nimi kontrakt (w damskiej toalecie, w męskiej było za ciemno).

4. Stają się rozpoznawalni nie tylko za sprawą (coraz lepszych) płyt, ale i radykalnego pacyfizmu Bono . Dostaje mu się za „symetryzm", zwłaszcza w obliczu narastającego terroru IRA.

5. Producentem U2 – choć nigdy nie słuchał muzyki U2 - zostaje Brian Eno. Dokonuje zwrotu w brzmieniu zespołu. „Odgłosy bębnów, doniosłe tematy, silne emocje – zawsze uwielbiałem wielką muzykę. Piosenki to moje modlitwy" – pisze Bono. Wyprodukowane przez Eno utwory tak brzmią.

6. Występują na zorganizowanym przez Boba Geldofa koncercie Live Aid, obok Eltona Johna, Paula McCartneya, The Who, Queen czy Davida Bowie. Ale to ich wieczór. Chwila przerwy, bo Bono właśnie o nim opowiada, a ja w końcu orientuję się, co tu robię. Nie jestem zdystansowanym widzem, jestem uczestnikiem przewrotnego widowiska. Bono sprawił, że wszyscy cieliliśmy się w publiczność, która tamtego dnia wymachiwała białym flagami na Wembley. Razem z nim śpiewamy „Pride (In the Name of Love)". On sam też tam jest, na scenie, ale po chwili – to utalentowany performer – wraca do nas, do Glasgow i opowiada o swoim zażenowaniu, kiedy dziś ogląda swoją ówczesną fryzurę (pelereza? Kołtun?).

Ciąg dalszy historii sukcesu:

7. U2 podbija Amerykę (płyty The Joshua Tree a zwłaszcza Rattle and Hum to hymny na cześć amerykańskiej muzyki). Ich albumy rozchodzą się w parunastomilionowych nakładach.

8. W latach 90. zaprzeczają własnemu wizerunkowi „poważnych rockandrollowców", znów zmieniają brzmienie, flirtują

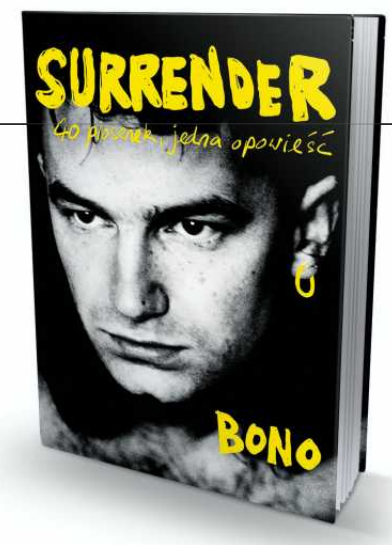

Bono, **„Surrender. 40 piosenek, jedna opowieść"**. Przeł. Paweł Lipszyc. Wydawnictwo Agora, 2022

eprasa.pl 9f18aadd43

z popkulturą i tanecznymi rytmami. Bono gra ze swoim wizerunkiem rockandrollowego kaznodziei. Bawi się w scenicznego trickstera, pompuje aż do karykaturalnego przegięcia portret megagwiazdy (życiowo też „wyluzowuje" , prowadzi spóźnione trochę, rockandrollowe życie).

9. Po 1989 roku i płycie „Achtung Baby" zespół robi ze swoich koncertów monstrualne, multimedialne widowiska. Zdarzyło się, że na jednym koncercie było 170 tysięcy ludzi – to rekord świata. Te trasy „nowego typu" to jednocześnie machiny do zarabiania wielkich pieniędzy i nowy wehikuł showbiznesu.
Dygresja: te monstra też ich pożerały. O płycie „Pop" Bono pisze wprost, że jej nie dokończyli, ale musieli wydać. Powód? Trasa promocyjna – bilety sprzedano.

10. Nagrywają coraz mniej interesujące płyty (Bono zdaje się tego nie zauważać) i zarabiają coraz więcej. Dużo też tracą, ale o tym opowiada mniej chętnie.

Znacznie bardziej angażuje się w opisywanie innej, toczącej się równolegle historii z pogranicza cudu, kompleksu mesjasza i polityki. Zwolennicy teorii spiskowych mieliby z niej użytek, bo pojawia się ich ulubiony zestaw nazwisk. Obok Bono to Gates, Buffett, Soros, Clinton, Kennedy, Obama...

ZABAWY W BIAŁYM DOMU

Trudno orzec, kiedy zaczyna się historia, która zaprowadzi Bono do Kijowa. Historia aktywisty, który na scenie w Glasgow wypunktowuje tylko efekty inicjatyw, w które był zaangażowany: miliony dla głodujących w Afryce, miliardy umorzonych długów najbiedniejszych krajów, kolejne na zwalczanie epidemii AIDS.

W autobiografii jest bardziej szczegółowy. W kołowrocie scen, czasami poruszających (kobiety chore na AIDS dają mu przepis na to, co koniecznie trzeba zrobić przed śmiercią), czasami komicznych (drzemka na przyjęciu u Obamy), opisuje, jak z naiwnego idealisty zmienił się w polityka gotowego do kompromisów tak radykalnych jak cele, w które wierzył. Był gotów dogadywać się z diabłem, a nawet szefem Banku Światowego i George'em W. Bushem, już po tym, jak wciągnął Amerykę w wojny w Iraku i Afganistanie.

– Sprzedałeś się za miskę soczewicy – wypominał mu to George Soros.

Było warto, pisze Bono po latach, kiedy okazało się, że Bush uruchomił duże pieniądze na pomoc Afryce i walkę z AIDS. Nawet jeśli jego polityczne gry wikłały Bono w coraz więcej sprzeczności i konfliktów. Bo co to za mesjasz, który uprawia lobbing w Waszyngtonie? Co to za rockman, który staje obok prezydenta znienawidzonego przez prawdziwych rockmanów?

FUCK OFF!

Być może odpowiedź znajduje się w jeszcze jednej opowieści, być może najważniejszej, która spaja i spektakl, który oglądam w Glasgow, i autobiografię Bono. To historia na dwa krzesła. Na jednym od czasu do czasu przysiada Bono, drugie pozostaje puste. Ale tylko na pozór. Tak naprawdę siedzi na nim Bob Hewson, ów tenor, który odmawiał synowi talentu.

Spotykają się – jak to Irlandczycy – w pubie, ale nie rozmawiają ze sobą, raczej wokół siebie. Ciągle dzieli ich nieobecność Iris, gniew nastolatka, obojętność ojca. I tajemnica (po śmierci Boba okaże się, że miał jeszcze jednego syna).

Zbliżają się do siebie powoli i ostrożnie. Pomagają im Luciano Pavarotti (ojcu musi imponować, że wielki tenor wymusza na jego synu, żeby napisał dla niego piosenkę) i Lady Di (Bob, choć jest przeciwnikiem monarchii, traci mowę, kiedy spotyka ją w garderobie U2). Tak więc trwa wieloletnia wojna o uznanie, w której syn nigdy nie będzie prawdziwym zwycięzcą, bo ojciec nigdy się nie podda. „Fuck off!" – krzyknie mu do ucha, umierając, a Bono ma nadzieję, że to nie na niego krzyczał.

A jednak wybaczy Bobowi, jak to zwykle bywa w relacjach ojców i synów – za późno. Przebaczy, bo ktoś w końcu mu powiedział, że nie było łatwe być ojcem kogoś takiego jak on.

Swoją drogą przebaczenie ojcu jest zwykle łatwiejsze niż wybaczenie samemu sobie. Pewnie dlatego, że takie wybaczenie oznacza kapitulację.

ODPUŚĆ SOBIE

Historia, którą opowiada w autobiografii i ze sceny, jest w gruncie rzeczy prosta, chociaż zaprzęgnięci są w nią Frank Sinatra (bóg), Jan Paweł II (sojusznik i fan okularów, które Bono, jak się okazuje, nosi z powodu jaskry), Michael Hutchence (przyjaciel), Paul McCartney (wzór), Nelson Mandela (obiekt miłości i kultu), Steve Jobs (nie taki znowu demon) i inni. Dlatego mimo wszystko jej ufam. To historia człowieka, który wiecznie walczy o uznanie (kto nie walczy?) i chociaż w jego wypadku ta walka nie kończy się pogrążeniem się w alkoholowych czy narkotycznych ciągach, też uzależnia.

„Pociąga mnie trudność – wyznaje Bono, nie do końca pokornie – ekstremalne wyzwanie. Pociąga mnie Everest. Widzę szczyt i muszę odkryć drogę. Co to za uzależnienie? Wspinaczka na szczyt własnego ego".

Teraz powoli, nieustannie się ze sobą zmagając, uczy się sobie odpuszczać. Godzić się z tym, że nie rozwiąże sprzeczności, w jakie się wikłał, szukając potwierdzenia w cudzych (choć zawsze ojcowskich) oczach. Że one po prostu są. Uczy godzić się z tym, że mesjański syndrom należy raczej do obszaru psychopatologii, a nie arsenału działacza społecznego, że nie zbawi świata. I że cel wcale nie uświęci każdych środków.

Odkrywa (choć jest w tym odkryciu coś z aforyzmów Coelho), że „kapitulacja nie musi następować po klęsce, może jeszcze pełniejsza bywa po zwycięstwie. Zwyciężasz w sporze i pojmujesz, że był zbędny. Spór z własnym życiem, który przestaje być potrzebny".

Tak, wygląda na pogodzonego ze sobą, choć może z rolami, które przed nami odgrywał. Rockowego rebelianta, politycznego konformisty (w dobrej sprawie), świeckiego kaznodziei, aktywisty, syna, kochanka, męża, ojca. Chyba mu zazdroszczę. Nie wiem, czy wolności, która jest największym zyskiem z jego „porażki", czy historii, którą opowiada. Tym bardziej że to chyba nie jest tylko jego historia.

NAJBARDZIEJ SZCZERE

„My, a więc ci, którzy uwielbiamy to, co robimy, i robiliśmy to za darmochę, nie powinniśmy nigdy zapomnieć, że stanowimy jeden procent jednego procentu ludzi, którzy dotąd żyli na tym łez padole. W kategoriach dziejów ledwo istniejemy. Zatem wolność od kłopotów finansowych to dar, który otrzymaliśmy jako zespół od naszych fanów. Jesteśmy dzięki temu wolni".

Rozumiem, że to rodzaj podziękowania. Nie powiem, że nie ma za co.

Jest za co. ●

Z **MARKIEM MENKISZAKIEM**, KIEROWNIKIEM ZESPOŁU ROSYJSKIEGO OŚRODKA STUDIÓW POLSKICH, ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

Po II wojnie światowej granica między Polską Ludową i Sowietami miała biec dalej na północ. Między innymi Iława Pruska, obecnie Bagrationowsk, winna znaleźć się u nas...
– Stalin domagał się solidnego „kawałka ziemi niemieckiej" jako trofeum i rekompensaty za ogromne straty ZSRR w czasie wojny. Były też względy geopolityczne i geoekonomiczne: chęć kontrolowania przez Rosję wybrzeża Bałtyku z niezamarzającymi portami i dodatkowo szachowanie Litwy, Łotwy, Estonii. Poza tym Stalin uznał, że zbyt duża część Prus Wschodnich po polskiej stronie za bardzo by nas wzmocniła.

Tak powstał obwód królewiecki, o którym można dziś przeczytać, że to najbardziej zmilitaryzowany rejon Federacji Rosyjskiej. Tylko na papierze czy siły tam stacjonujące są groźne?
– Najwyższa militaryzacja nie wynika z liczebności zgromadzonych tam sił zbrojnych, ale z ich koncentracji na niewielkim obszarze. Prawda natomiast, że potencjał wojskowy obwodu jest systematycznie rozbudowywany. Ta rozbudowa ruszyła po 2013 roku, a w ostatnich latach proces jeszcze przyspieszył.

Jest się czego bać?
– O potencjalnym zagrożeniu dla państw członkowskich NATO, zwłaszcza sąsiednich, jak Polska, decyduje nie tyle ogólna liczebność sił zbrojnych w obwodzie – szacowana w szczytowym momencie przed inwazją na Ukrainę na mniej więcej 50 tysięcy żołnierzy – ile charakterystyka sprzętu, jaki się tam znajduje. Mam na myśli rakiety średniego zasięgu Kalibr, w które wyposażone są korwety Floty Bałtyckiej, rakiety balistyczne systemu Iskander na wyposażeniu miejscowej brygady, systemy obrony przeciwlotniczej S-300 i S-400...

...z których każdy naprowadza po kilka rakiet równolegle na cele – w tym samoloty – nawet do 400 kilometrów...
– ...a następnie mamy rakiety systemu obrony wybrzeża Bastion i magazyn taktycznej broni jądrowej. Prawdopodobnie są tam składowane głowice, które mogą być przenoszone przez część wspomnianych systemów rakietowych.

W trakcie wojny w Ukrainie te zasoby zostały naruszone?
– Część jednostek, głównie piechoty morskiej, została skierowana na front i wedle niektórych doniesień w dużym stopniu zniszczona. Ale brakuje informacji, które pozwoliłyby oszacować skalę osłabienia obwodu.

Gdyby, teoretyzując, Polska z Litwą chciały w bliskiej perspektywie obwód rozebrać – to byłaby kwestia dni czy raczej ciężka sprawa?
– Aneksja obwodu przez Czechy, efekt satyrycznej kampanii w sieciach społecznościowych, jest przykładem udanej kontrofensywy informacyjnej wyszydzającej i dezawuującej tak zwane referenda i aneksje regionów Ukrainy.

Pytam poważnie.
– W przypadku wybuchu pełnoskalowego konfliktu zbrojnego pomiędzy NATO a Rosją obwód z racji specyficznego położenia narażony byłby na blokadę, poważne zniszczenia, a w pewnych scenariuszach także na zajęcie przez siły sojusznicze. Jednak na obecnym etapie snucie wizji przekształceń geopolitycznych jest pozbawione sensu, a nawet szkodliwe. Dostarcza paliwa i argumentów rosyjskiej propagandzie.

Zatem co będzie się działo w obwodzie w ciągu najbliższych lat? Historia uczy, że eksklawy zwykle upadają albo się odrywają... jak choćby Prusy Wschodnie.
– Nie istnieje żadna prawidłowość, która by miała przesądzać o przyszłości obwodu. Mimo izolowanego położenia jest dość dobrze zintegrowany z Rosją właściwą, a Moskwa w ostatnich latach aktywnie wspiera proces integracji. Z drugiej strony, na przykład energetycznie, eksklawa jest samowystarczalna.

Czyli co będzie?
– Zważywszy na wojnę i kryzys wywołany sankcjami, sytuację w Rosji trudno przewidzieć w dłuższym horyzoncie. Są scenariusze, zgodnie z którymi w przypadku głębokiego kryzysu wewnętrznego niektóre regiony, szczególnie te mające specyfikę etniczną czy geograficzną, mogłyby uzyskać realną autonomię albo się oderwać. Ale to skrajne scenariusze, których prawdopodobieństwo na razie oceniam nisko.

Pomysł niepodległości obwodu jako Republiki Bałtyckiej – samodzielnego podmiotu prawa międzynarodowego jedynie stowarzyszonego z Rosją – pojawił się w 1991 r. Takie koncepcje głosiła Bałtycka Partia Republikańska. Coś z tego pozostało?
– Ruch autonomistyczny, a nawet separatystyczny, był w obwodzie aktywny do połowy lat 90., co miało związek z kryzysem gospodarczym i relatywnie słabą władzą w Moskwie. Putin się z tym rozprawił przez represje i naciski administracyjne. Tamta partia dziś nie istnieje, większość aktywistów została uciszona. Otwarte głoszenie haseł separatystycznych, a nawet tylko suwerenistycznych, grozi odpowiedzialnością karną, i to nie są jakieś grzywny, lecz długoletnie więzienie, co odstrasza potencjalnych naśladowców BPR.

Niektóre rosyjskie sondaże – nominalnie niezależne, lecz ich wartość jest dyskusyjna – wskazują na istnienie w społeczeństwie obwodu pewnego niezadowolenia z podporządkowania Moskwie i jej interesom. Słyszy się o potrzebie większej otwartości na kontakty z Litwą i Polską, ale oficjalnie nikt o to nie apeluje, ponieważ samo istnienie organizacji choćby potencjalnie naruszających integralność terytorialną państwa jest w Rosji zakazane. Sądzę, że Kreml nie boi się w obwodzie separatyzmu sensu stricto, tylko paranoicznie traktuje każdy przejaw samodzielnego myślenia, i to nawet w sferach całkiem niepolitycznych. Przykładem realizowana kilka lat temu przez prokremlowskich aktywistów i propagandystów kampania przeciw rzekomym przejawom germanizacji obwodu.

Na czym ta germanizacja miałaby polegać?
– Chodziło m.in. o działalność kulturalną Domu Niemiecko-Rosyjskiego w Kaliningradzie i o niemiecko-rosyjską wymianę młodzieży, w tle była krytyka inicjatyw społecznych ochrony zabytkowej architektury i innych pozostałości dawnego panowania Niemiec. Piętnowano wykorzystanie niemieckiego nazewnictwa do celów marketingowych, co robiły niektóre rosyjskie firmy, by ściągnąć turystów. Generalnie wszystko, co przypominało o niemieckiej przeszłości, było uważane za germanizację.

Mimo dokręconej śruby podobno były w Królewcu protesty polityczne. Ludzie wymusili usunięcie gubernatora Gieorgija Boosa.
– Chodzi o demonstrację ze stycznia 2010 roku? Poszło o efekty kryzysu gospodarczego 2008-09. Pogorszył się standard życia, a do tego doszły niepopularne decyzje lokalnych władz: podwyżki opłat komunalnych, podatków... Także sam gubernator, człowiek przywieziony z Moskwy, nie cieszył się sympatią. Dlatego podczas demonstracji obok ekonomicznych pojawiły się różne hasła polityczne, w tym – jego odejścia. W sytuacji gdy głównym zadaniem każdego gubernatora jest pilnowanie stabilności na podległym gruncie, Kreml

eprasa.pl 9f18aadd43

FOT. SHUTTERSTOCK

MAŁY, ALE MOŻE PODSKOCZYĆ

Polska i Litwa dzielą się Kaliningradem?
Teoretycznie dałoby się, ale takie wizje to prezent dla Putina.

uznał, że Boos się nie sprawdził, no i go odwołali. Miały w tym udział rozgrywki w rosyjskiej elicie.

To jeden z nielicznych przypadków, gdy putinowski reżim – wówczas i tak łagodny pod formalnymi rządami prezydenta Miedwiediewa – ugiął się pod presją. Dwa lata później też mieliśmy w obwodzie protesty, ale o wiele słabsze. Stanowiły element ogólnorosyjskich demonstracji spowodowanych sfałszowanymi wyborami parlamentarnymi i niezadowoleniem z zapowiedzi powrotu Putina na urząd prezydenta.

Jak się w obwodzie żyje?
– Eksklawa przez lata należała do regionów sytuujących się nieco poniżej rosyjskiej średniej ekonomicznej, ale w ostatnich latach, do roku ubiegłego włącznie, tam się poprawiało – m.in. w związku z dużymi inwestycjami federalnych władz. Ważny dla Kaliningradu był zwłaszcza mundial 2018 – mecze rozgrywano także na nowo wybudowanym stadionie w stolicy obwodu. Czasowy napływ turystów zagranicznych pomógł sektorowi usług. W tej chwili Kaliningrad nie odbiega wyglądem czy poziomem życia od innych prowincjonalnych ośrodków rosyjskich.

Z polskich miast można by go porównać...
– ...biorąc pod uwagę z jednej strony resztki niemieckiej urbanistyki: umocnienia, bramy miejskie, stare wille, a z drugiej – blokowiska... No, nie wiem...

Z Grudziądzem?
– Ale trochę większym, bo to jednak prawie pół miliona ludzi.

Z Bydgoszczą?
– To już prędzej. Bliskość państw unijnych powoduje, że w kaliningradzkich sklepach – przynajmniej do niedawna – widać było dużo zagranicznych, głównie polskich i litewskich towarów, które ze względu na jakość wyższą od rosyjskiej są przez kaliningradczyków chętnie kupowane.

Słyszy się o potrzebie większej otwartości na kontakty z Litwą i Polską, ale oficjalnie nikt o to nie apeluje, ponieważ samo istnienie organizacji choćby potencjalnie naruszających integralność terytorialną państwa jest w Rosji zakazane

Jakie na przykład?
– Przetwory mięsne, konserwy, kosmetyki, chusteczki, podpaski, pieluchy i środki ochrony niemowląt. Z atutów regionu jeszcze bym wymienił zasoby bursztynu, w przybliżeniu 90 procent jego światowych złóż.

Jak na tym korzystają mieszkańcy?
– No właśnie: nie za bardzo. Takiego biznesu jubilerskiego jak w Gdańsku tam nie ma. Są kopalnie odkrywkowe w Jantarnym, sprzedaje się bursztyn za granicę, najczęściej do Polski, głównie w stanie surowym.

To ich główny biznes?
– Raczej jeden z głównych, bo jest jeszcze przemysł przetwórczy, w tym montownie aut. Duża firma Avtotor składa w obwodzie ople, bmw, chevrolety... właściwie składała, bo z powodu sankcji teraz zakłady stoją. Z istotnych branż doliczyłbym turystykę: na Mierzei Kurońskiej piękne wydmy, lasy, niezatłoczone plaże. Trzeba się jednak szykować na to, że infrastruktura i poziom usług są gorsze niż u nas.

Mimo to Rosjanie przeprowadzają się chętnie właśnie do obwodu.
– Bilans migracyjny jest pozytywny z przyczyn niekoniecznie ekonomicznych. Gra rolę łagodny klimat, bez długich rosyjskich zim, do tego wybrzeże i bliskość państw europejskich o wyższym poziomie życia. Także świadoma polityka Kremla, która sprzyja przesiedlaniu się w celu wzmocnienia rosyjskiego charakteru eksklawy i zacieśnienia powiązań z resztą kraju.

Z tej bliskości zachodniej Europy mieszkańcy coś mają?
– Do niedawna mieli – kiedy mogli jeździć. W obwodzie jest dwukrotnie wyższy od rosyjskiej średniej odsetek mieszkańców z paszportami. Ma je ponad połowa.

Teraz nie korzystają. Byłem dwa tygodnie temu na przejściu w Grzechotkach: znudzeni pogranicznicy, szlabany opuszczone.
– Po ataku na Ukrainę obywatele Federacji podróżujący w celach turystycznych – a tacy stanowili formalnie zdecydowaną większość przekraczających granicę – już nie są do Polski wpuszczani. Nowych wiz turystycznych im nie wydajemy. Obecnie wjazd wymaga ważnego powodu humanitarnego...

Na przykład jakiego?
– Pogrzeb członka rodziny, proces łączenia rodzin. Ewentualnie udokumentowanie stałych więzi z Polską.

Jakich?
– To mogą być studia albo praca w Polsce, co się wiąże z prawem pobytu. A tę pustkę na granicy spowodowało także nagłe zubożenie w związku z sankcjami, które ograniczyły i siłę nabywczą, i mobilność Rosjan.

Kaliningradczycy boją się o przyszłość?
– Wcześniej, mimo częściowej izolacji od Rosji właściwej, byli zadowoleni ze swego położenia. Teraz dotknęła ich mobilizacja, w ramach której kilka tysięcy cywilów zostało zmuszonych do służby i pchniętych na front. Do tego obserwują gwałtowne zaostrzenie konfliktu z Zachodem. Obawiają się eskalacji i konsekwencji dla wysuniętego przyczółku.

Czyli o zajęciu obwodu przez Zachód mówić nie należy, lecz się o tym myśli.
– Kaliningradczycy myślą raczej o dramatycznych konsekwencjach potencjalnej wojny. Przy tym stopniu militaryzacji regionu nieuniknione byłyby duże zniszczenia, ofiary wśród ludności... tymczasem w Kaliningradzie nie brakuje osób, które same znają lub mają w rodzinie kogoś, kto zna „bliski" Zachód. Im jest trudniej uwierzyć w państwową propagandę o zagrożeniu ze strony Europy. Dlatego nie widać w tym regionie zbytniego entuzjazmu dla obecnej wojny.

Są w Królewcu Polacy?
– Są grupy młodych kaliningradczyków zainteresowanych polską kulturą i naszym językiem. Ta ciekawość wynika z chęci do podróży, czasem do emigracji. Natomiast miejscowi Polacy to nie jest społeczność aktywna, widoczna... Szacuję ją na bodaj 100 osób. Nie stanowią tematu w lokalnej polityce, cicho o nich w mediach. Możemy się tylko cieszyć, że nie ma informacji o jakichkolwiek przejawach ich prześladowania. Mimo że atmosfera jest ostatnio zła, jak wiadomo, kremlowska propaganda prezentuje Polskę jako jednego z „głównych wrogów Rosji".

Gdyby przeprowadzono tam w najbliższej przyszłości uczciwe referendum – za czym by się mieszkańcy obwodu opowiedzieli?
– To zależy, w jakiej sytuacji i w jakich warunkach przeprowadzono by takie badanie. Jeśli po przegranej przez Rosję wojnie i zasadniczej zmianie reżimu na bardziej demokratyczny – zapewne większość chciałaby pozostać częścią Federacji z szeroką autonomią. Z perspektywy Moskwy obwód zawsze był postrzegany albo jako twierdza broniąca przed Zachodem, albo jako brama do współpracy z nim. Dziś jest głównie tym pierwszym, lecz jestem przekonany, że kaliningradczycy chcieliby tego drugiego.

Jak mówię Królewiec, pan mówi Kaliningrad... przecież Michaił Kalinin to był bolszewik i zbrodniarz.
– Uważam, że Królewca już nie ma. Ani Königsbergu. Sowieci je zniszczyli, wymienili ludność, wszystko przemielone... Zaszła realna zmiana, już nieodwracalna. Posowieckie miasto ma sowiecką nazwę, która odzwierciedla jego obecny stan. ●

Uhonorowana Nagrodą Conrada opowieść Pauliny Siegień **„Miasto bajka. Wiele historii Kaliningradu"** (Czarne) w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

A rozmowa z autorką („Biedronka, tanie części samochodowe i galerie handlowe w Gdańsku nie zachęciły Rosjan do demokracji") na Wyborcza.pl/magazyn.

eprasa.pl 9f18aadd43

CZEKAMY NA UKRAIŃSKIE JEDWABNE

• **Październik 1940, Hans Frank przyjmuje defiladę ukraińskiej młodzieży**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ukraińcy nie zrobili za wiele w temacie rozliczenia z Holocaustem, ale zrobili więcej niż Rosjanie czy Białorusini.

Z **JAROSŁAWEM HRYCAKIEM*** ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

– Co pan ma na tej koszulce?

Cytat z Wisławy Szymborskiej. „Wolę piekło chaosu od piekła porządku”.
– Ja wybieram teraz piekło porządku. To o czym pan chce rozmawiać?

Może najpierw o tym, dlaczego wszyscy mnie do pana odsyłają, gdy pytam o kwestię Holocaustu w Ukrainie.
– Jak trudny temat, to do Hrycaka. Już się przyzwyczaiłem. Polacy mieli i wciąż mają problem z Holocaustem, podobnie jak Ukraińcy. To problem wspólny, choć inaczej przepracowany.

Przyjrzyjmy się przeszłości. Trzeba pamiętać, że historycznie najwięcej Żydów mieszkało właśnie na terenach wschodnich – obecnych Białorusi, Litwy i Ukrainy. Przed I wojną światową w Wilnie czy we Lwowie mieszkało więcej Żydów niż w Nowym Jorku czy Jerozolimie. Ukraina była jednym z centrów żydowskiego życia, a jednocześnie stosunki polsko-ukraińsko-żydowskie nie były najlepsze. Dzisiaj Ukraina na równi z Polską i Rumunią ma wizerunek kraju, w którym panował olbrzymi antysemityzm. I choć to opinia przesadzona, to jest w niej sporo prawdy. Ale nie każdy naród chce się przyznać do krzywd, które wyrządził innym. A tym bardziej naród, który padł ofiarą agresji.

Ktoś mi powiedział, że Ukraina wciąż czeka na swoje Jedwabne. Nadejdzie?
– Nie wiem. Timothy Snyder zauważył, że nigdy by nie doszło do takich dyskusji jak ta wokół Jedwabnego, gdyby Polska była w strefie wpływów rosyjskich, a nie w Unii. Jedwabne wywołało ostrą debatę publiczną, ale prowadzoną w relatywnie komfortowej sytuacji. Ukraina luksusu komfortu do rozpoczęcia takiej debaty nie miała nigdy. Tony Judt w „Powojniu. Historii Europy od roku 1945” pisze, że przyznanie się do współudziału w Holocauście jest „współczesnym biletem wstępu do Europy”. Ukraińcy chcą do Europy, ale bez tego biletu.

Parafrazując Marię Janion – do Europy tak, ale nie ze wszystkimi naszymi umarłymi?
– Ale też z innymi umarłymi. Proszę pamiętać o Hołodomorze – tragedii, która pochłonęła równie dużo ofiar jak Holocaust, jeśli nie więcej.

Widzi pan, to skomplikowane. Wszystko, co dotyczy Ukrainy, jest bardzo skomplikowane. Wśród Ukraińców nie ma poważnej dyskusji o Holocauście, dlatego że był stabuizowany w czasach sowieckich. Kończyłem wydział historyczny jeszcze za czasów Breżniewa i wiedziałem tylko, że Niemcy wymordowali Żydów, ale o skali, o tym, jak to wyglądało, nie miałem żadnego pojęcia. Przemilczenie było oficjalnym elementem polityki. Gdy pod koniec lat 80. zaczęła się ukazywać sowiecka wielotomowa encyklopedia Ukrainy, odbyło się spotkanie z kierownictwem partii, na którym wyraźnie powiedziano – żadnych wzmianek o Żydach. Ukraińcy wraz z niepodległością odziedziczyli amnezję tamtych czasów. I nie dotyczy to wyłącznie Holocaustu. O Wołyniu też wiedziałem niewiele, nie licząc rodzinnych historii, ta zbrodnia była nieobecna w edukacji. W sytuacji amnezji bardzo trudno prowadzić dyskusję. Co gorsza, wiele osób wierzyło i pewnie wciąż wierzy, że skoro Związek Radziecki zabraniał dyskusji o Holocauście, to może on wcale nie miał miejsca.

Przyznaję, że Ukraińcy nie zrobili za wiele w temacie rozliczenia z Holocaustem, ale zrobili więcej niż Rosjanie czy Białorusini. Zwłaszcza w ostatnich latach – patrząc po instytucjach, publikacjach naukowych, literaturze pięknej – świadomość tego, czym był Holocaust, wzrasta. Na szczęście są osoby takie jak poetka Marianna Kijanowska, autorka tomu „Babi Jar”, które mówią głośno o tym, co się wydarzyło. Inna sprawa, że wciąż nie mówi się wiele o udziale samych Ukraińców.

Wiele osób uważa, że wojna zbliżyła Polaków i Ukraińców też w kwestii zrozumienia wspólnej historii. Zbrodnia wołyńska przestanie budzić tak sprzeczne emocje?
– Tu nie mam wątpliwości, że się nadal nie możemy dogadać. Musi minąć jeszcze jedno pokolenie.

Ukraina nie ma w swojej historii żadnego „złotego wieku”, do którego można by wracać. Trudniej u nas zaszczepić idee w rodzaju „Make America Great Again” czy „Polska wstaje z kolan”

Nie tylko piszę historię, ale też ją praktykuję. Byłem zaangażowany w pojednanie polsko-ukraińskie na początku XXI wieku i zażegnanie konfliktu wokół cmentarza Orląt Lwowskich. Konflikt o odbudowę cmentarza, na którym leżą Polacy broniący Lwowa przed ukraińskimi oddziałami w 1918 roku, trwał kilka lat, udało nam się jednak doprowadzić do tego, że 1 listopada 2001 roku odbyły się modlitwa ekumeniczna z udziałem przedstawicieli Kościołów rzymskokatolickiego i greckokatolickiego, a także spotkanie intelektualistów polskich i ukraińskich. Wzorowaliśmy się na słynnym „Wybaczamy i prosimy o wybaczenie” skierowanym w 1965 roku przez polskich biskupów do hierarchów z Niemiec. O tym dziś już prawie nikt nie pamięta.

Później coś podobnego chcieliśmy zrobić na Wołyniu. I ponieśliśmy klęskę. Ludzie nie są jeszcze na to gotowi. Ani Ukraińcy, ani Polacy.

Może to karkołomne porównanie, ale gdy zmarł Jan Paweł II, miały miejsce wydarzenia w rodzaju pogodzenia się kiboli wrogich klubów. Ważne momenty historyczne budują w nas złudzenie, że odtąd proces godzenia się będzie szybszy i łatwiejszy.
– Mam nadzieję, że się mylę, ale w wypadku Wołynia nie jestem optymistą. I proszę mieć na uwadze, że pojednanie nigdy nie jest idealne, zawsze będzie coś utrudniającego pełne porozumienie. Lecz niezależnie od Wołynia proces trwa i idzie w dobrą stronę. Przecież bez niego nie byłoby tej niezwykłej w skali pomocy Polaków dla Ukraińców. Myślę, że przyczyniła się do tego doktryna Giedroycia, który mówił, że w polskim interesie jest uznanie litewskości Wilna i ukraińskości Lwowa. Ze strony rosyjskiej nigdy się nie doczekaliśmy, by ktoś powiedział, że Krym i Donbas są ukraińskie, a nie rosyjskie.

A co do Holocaustu, to największy problem leży w uznaniu jakiejś odpowiedzialności Ukraińców. Nie mogę nazwać nas ani narodem zbrodniarzy, ani narodem bohaterów. Sowiecka i rosyjska propaganda od zawsze starały się przekonać świat, że ci Ukraińcy, którzy chcą niezależności od Moskwy, to banda zbrodniczych nacjonali-

eprasa.pl 9f18aadd43

stów – bo poczciwy Ukrainiec tak naprawdę jest prorosyjski. I tak też próbuje się opowiadać historię Holocaustu w Ukrainie, podkreślając rolę ukraińskiej policji, zwłaszcza w Babim Jarze. Nie ma co zaprzeczać, byli tam Ukraińcy, ale nie sami – to nie była formacja narodowa, lecz terytorialna, w której skład wchodzili bardzo różni ludzie. Dyskutuje się także, czy w mordzie brał udział oddział Kurenia Bukowińskiego, jednostki ukraińskich nacjonalistów, melnykowców. Wygląda na to, że tak.

Jeżeli mówimy o odpowiedzialności Ukraińców, to nie Babi Jar jest najtrudniejszym tematem, ale to, co się działo na zachodzie Ukrainy w 1941 roku. W wielu z tych pogromów brali udział ukraińscy nacjonaliści, ale nowe badania pokazują, że „tylko" około 10-15 procent wydarzeń było przez nich sprowokowanych.

Osobnym zagadnieniem są banderowcy i Ukraińska Armia Powstańcza, którzy zabijali często Żydów próbujących ukrywać się w lasach. Niedawno ukazała się bardzo krytyczna książka Johna-Paula Himki „Ukrainian Nationalists and the Holocaust" pokazująca ich kluczową rolę w pomaganiu Niemcom w ludobójstwie.

Do czasu rosyjskiej agresji Bandera był bardzo kontrowersyjną postacią w Ukrainie. Ludzie potrafili sobie skakać do gardeł, sprzeczając się o niego. Dla jednych był zbrodniarzem, dla innych – bohaterem. Teraz Bandera stał się symbolem sprzeciwu wobec Rosji. Ludzie wiedzą o nim to samo, co wiedzieli wcześniej, ale pamięć historyczna nie operuje racjonalnością ani faktami, a jest reakcją na to, co się dzieje dookoła. Francuski historyk Ernest Renan w słynnym wykładzie „Co to jest naród?" pokazuje coś bardzo ważnego – że nieprawdziwa pamięć historyczna jest podstawą bytu narodu. Dlatego historycy są zagrożeniem dla narodowej jedności, bo naszym zadaniem jest mówienie prawdy, a nie tylko tego, co ludzie chcą pamiętać.

To prowadzi do pytania, czy rosyjska agresja spowoduje wytworzenie się jakichś nowych idei czy mitów narodowych w Ukrainie.

– Nie obserwuję zalążków nowych idei – to, co się dzieje, to kontynuacja już rozpoczętych procesów. Za to widzę niezwykłą eksplozję empatii i solidarności. Pojawiła się również świadomość własnej siły, poczucie, że nie jesteśmy biernym elementem historii, ale podmiotem, który może tworzyć nie tylko własną historię. Efektem wojny jest pojawianie się w Ukrainie myślenia o szerszej, globalnej skali. Dostrzegamy, że istnieje Europa nam bliska, jak choćby Polska czy Czechy, i Europa, która wciąż nie potrafi zrozumieć tego, co jej grozi w przypadku dalszej rosyjskiej agresji.

Wojna przyczyniła się do głębszej refleksji nad wieloma sprawami.

Jakimi?

– Przywykliśmy do życia w pokoju, a teraz doceniamy, jaką on jest wartością. Że nie jest czymś danym na zawsze. Teraz lepiej rozumiemy historyków, którzy mówili, że to wojna jest normą, a pokój wyjątkiem, o który trzeba walczyć.

Najważniejszym zagadnieniem historii jest kwestia zła. Po 1945 roku pisali o tym Hannah Arendt i Leszek Kołakowski, ludzie z generacji, która przeżyła wojnę. Można było nie wierzyć w Boga, ale nie dało się nie wierzyć w istnienie diabła. Po tylu latach od II wojny wiele osób zapomniało o istnieniu zła, a ono było tu cały czas. Camus w „Dżumie" pokazuje, że nie można odnieść ostatecznego zwycięstwa nad zarazą. Gdy o niej zapomnimy – znowu się pojawi. Zło jest powszechne i trzeba z nim walczyć, a pamiętanie o tym jest ważnym zadaniem dla ludzi mieszkających w krajach, w których od dawna panuje pokój.

O Ukrainie mówiło się jako o kraju podzielonym, w którym ludzie nie wychodzą poza lokalną tożsamość.

– Ukraińcy mogą walczyć między sobą, ale w sytuacji zewnętrznej agresji są bardzo zjednoczeni. I to nie jest niczym nowym. Tak było podczas wojen czeczeńskich, konfliktu z Rosją o wyspę Tuzła w 2003 roku czy wojny w Osetii Południowej. Podzielona wewnętrznie Ukraina nie oznacza słabej Ukrainy – tego nie przewidział Putin.

Pierwszy Majdan ugruntował jedność na osi Kijów – Lwów, po kolejnym i w pierwszej fazie wojny z Rosją dołączył Dniepr. Teraz ta linia została przedłużona o Odessę i Charków, miasta uchodzące za tradycyjnie bliższe rosyjskim interesom. Kiedyś Adam Michnik powiedział, że przyszłość Ukrainy jako części Europy zależy nie tylko od Lwowa i Kijowa, ale też od Charkowa i Odessy. Nie ma wątpliwości – pod rakietami Putina obydwa miasta wybierają Europę.

Również dzięki wojnie w Ukrainie dostrzegamy globalność procesów. W Egipcie czy Gwinei obawiają się głodu z powodu braku dostaw ukraińskiego zboża, a Thomas L. Friedman w „The New York Times" opisał, jak rosyjska agresja na Ukrainę wpływa na zasoby naturalne Amazonii, doprowadzając do ich dalszej eksploatacji i dewastacji lasów. To jest coś nowego w myśleniu o Ukrainie, bo przywykliśmy do bycia izolowanymi – w czasach sowieckich byliśmy zupełnie odcięci od Zachodu, żyliśmy jak ryby w konserwie. Po raz pierwszy na Zachód wyjechałem dopiero w 1990 roku.

Będzie się pan śmiał, gdy powiem, co dla mnie wtedy oznaczało „Zachód".

Proszę powiedzieć.

– Przemyśl.

Ale co to nam mówi o historii?

– Że przez lata nie doceniano roli Europy Wschodniej, że wraz z globalizacją następuje ukrainizacja – problemy ukraińskie stały się od tego czasu problemami całego świata. Tak jak Polska odegrała kluczową rolę w historii lat 80., tak Ukraina robi to dzisiaj.

Historia nigdy niczego nie uczy, ale występuje w roli suflera, który może podpowiadać. Myślenie historyczne to myślenie strategiczne. Myśląc o rosyjskiej agresji na Ukrainę, trzeba widzieć ją jako problem o skali globalnej.

Amerykański historyk Brian Porter-Szucs napisał książkę poświęconą polskiej historii, którą zatytułował „Całkiem zwyczajny kraj". Dałoby się napisać tak o Ukrainie?

– Oczywiście, nie ma w tym żadnej herezji. Problem raczej w tym, że cały czas próbuje się normalizować Rosję, tak jak kiedyś Rzeszę.

Ukraina nie ma w swojej historii żadnego złotego wieku, do którego można by wracać. Trudniej u nas zaszczepić idee w rodzaju „Make America Great Again" czy „Polska wstaje z kolan". Nie musimy uciekać się do historii, dzięki czemu możemy uniknąć populizmu, a naszą współczesną historię kształtować bez kompleksów. Ale ważne jest też, by nauczyć się żyć ze świadomością, że istnieje zło.

A co pan ma na bluzie napisane?

– Twoja idea jest ~~(straszna)~~ ważna.

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

* Jarosław Hrycak

• ur. w 1960 r., autor fundamentalnego opracowania „Historia Ukrainy 1772-1999. Narodziny nowoczesnego narodu" (tłum. Katarzyna Kotyńska) i poświęconej Iwanowi France książki „Prorok we własnym kraju" (tłum. Anna Korzeniowska-Bihun, Anna Wylegała), za którą otrzymał Nagrodę im. Jerzego Giedroycia.

„Zrozumieć Ukrainę. Historia mówiona", rozmowa Izy Chruślińskiej z Jarosławem Hrycakiem, ukazała się nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej.

Teraz wygodniej!

Za prenumeratę wyborcza.pl zapłacisz z rachunkiem za telefon

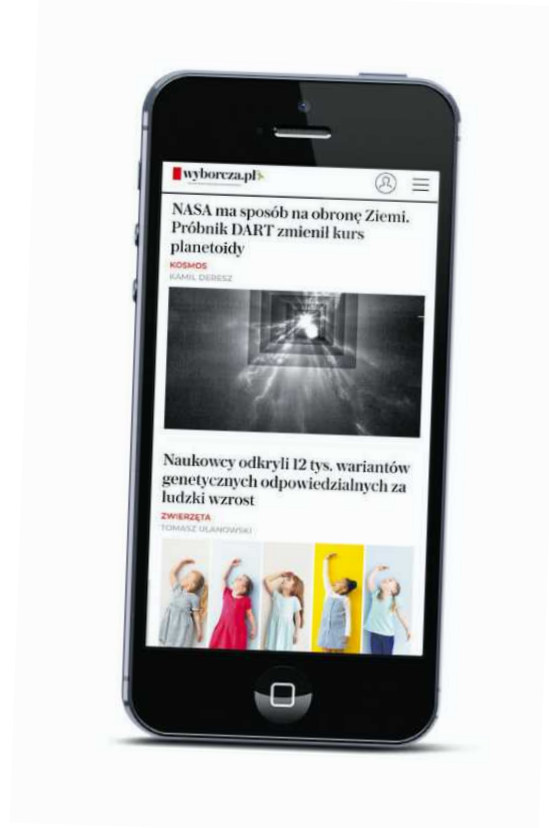

Zeskanuj kod, zobacz, jakie to proste

prenumerata.wyborcza.pl

Usługa dostępna u operatorów:

plus orange PLAY T

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34217825

eprasa.pl 9f18aadd43

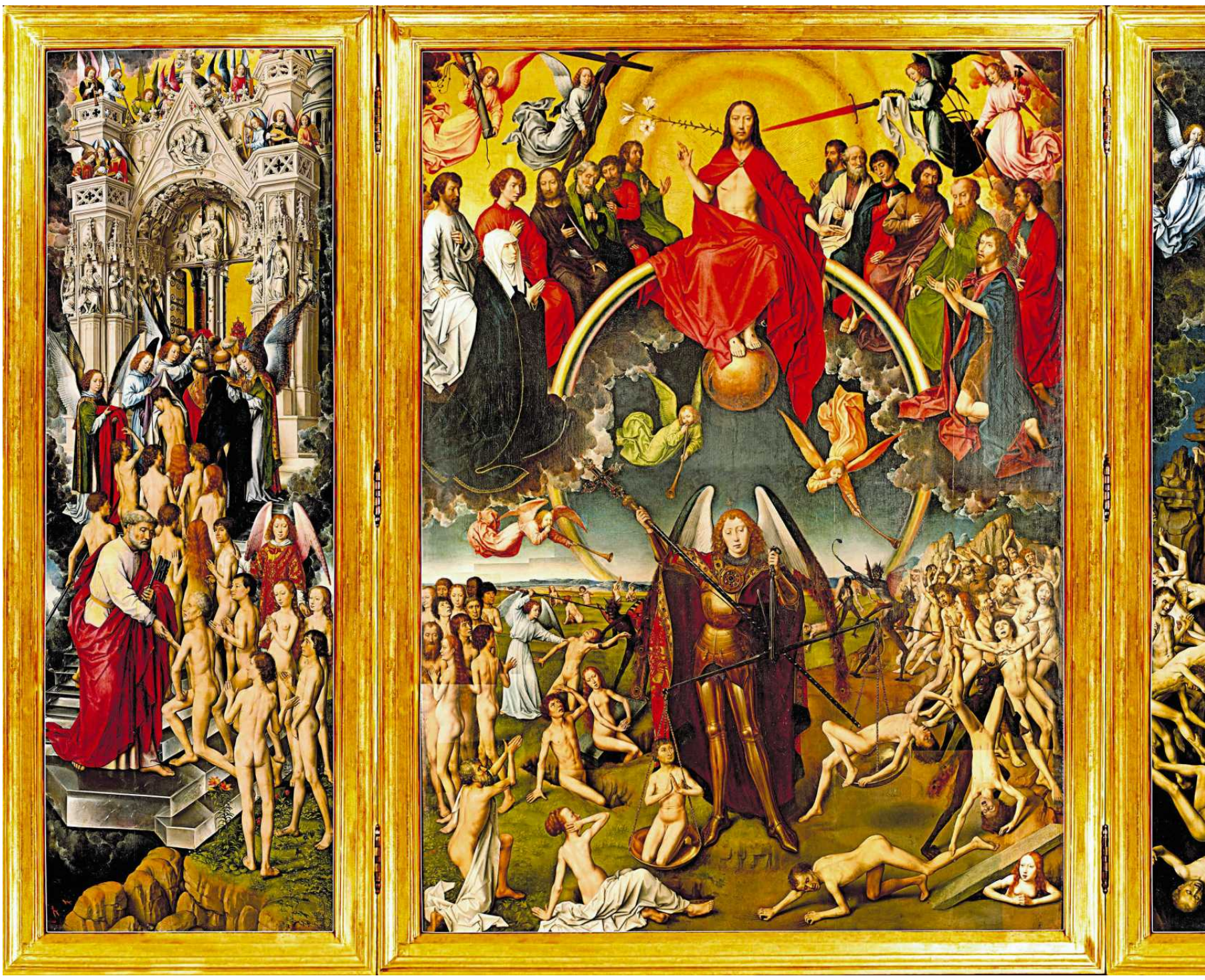

EKONOMIA ZBAWIENIA

Skoro Höss jest w niebie, to gdzie są spopieleni Żydzi,
którzy w przytłaczającej większości nie wierzyli w Ojca i Syna i Ducha Świętego?

Z **JACKIEM LEOCIAKIEM*** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Dlaczego naukowca zajmuje kwestia, czy Rudolf Höss, komendant Auschwitz-Birkenau, może być zbawiony?
– To jest rzeczywiście pytanie prawomocne tylko w języku teologii. Skupia w sobie najważniejsze przesłanie chrześcijaństwa, czyli tajemnicę Bożego miłosierdzia oraz zbawczą mękę Chrystusa. Z tej perspektywy możliwość zbawienia komendanta Auschwitz, który się nawrócił, nie powinna ulegać najmniejszej wątpliwości. Ja chcę wyjść poza ograniczenia wspólnoty religijnej, która nie zadaje pytań, bo twierdzi, że nie można zrozumieć tajemnicy Bożego miłosierdzia i trzeba wobec tej tajemnicy zachować milczenie. Nie wydaje mi się też możliwe, by choć niektórzy katolicy nie odczuwali wątpliwości i nie zastanawiali się, czy mają się modlić za Rudolfa Hössa albo za oprawców z Buczy. A co ja, niewierzący, mam o tym myśleć? Czym ma być dla mnie nawrócenie i zbawienie komendanta Auschwitz? Czy mam poprzestać na irytacji, niezgodzie, odrzuceniu, a nawet wyśmianiu tego konceptu? Ja chcę zrozumieć i dlatego zadaję w książce te pytania. Bo nie mogę pogodzić się z tym, że miałbym się modlić za nawrócenie Hössa czy oprawców z Buczy.

Nikt panu nie każe.
– Mnie osobiście może i nie, ale abp Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski obrządku łacińskiego, na wiadomość o rzezi mieszkańców Buczy powiedział: „Módlmy się za naszych wrogów o przemianę ich serc". A więc katolicy naprawdę mają się modlić za hordy zwyrodnialców zabijających, gwałcących, rabujących – aby ich serca cudownie się przemieniły i aby się nawrócili? Stawiam te pytania, bo są dla mnie ważne. „Zapraszamy do nieba" to książka, która wychodzi poza publicystykę antyklerykalną, poza krytykę instytucji Kościoła – ku samej doktrynie.

Skoro nawrócenie to zejście ze złej drogi, czyli „idź i nie grzesz więcej", to niech się nawrócą.
– Dokonuję analizy semantycznej i teologicznej pojęcia „nawrócenie". To słowo w języku polskim ma co najmniej dwa znaczenia. Określa specyficzny typ ruchu w przestrzeni (zawrócić z drogi, odwrócić, skręcić) oraz określa akt religijny czy moralny polegający na odstąpieniu od tego, co złe lub błędne, i powrocie do prawdziwej wiary. „Nawrócić się" to przyjmować jakąś religię/wyznanie, które nawrócony uważa za jedynie prawdziwe, porzucać dawne błędy i wkroczyć na właściwą drogę.

Według Katechizmu Kościoła katolickiego „droga powrotu do Boga, nazywana nawróceniem i żalem, zakłada ból i odwrócenie się od popełnionych grzechów oraz mocne postanowienie niegrzeszenia w przyszłości. (...) Źródłem nawrócenia jest nadzieja na miłosierdzie Boże". Powinniśmy też rozróżnić nawrócenie religijne rozumiane jako poenitentia (możemy uzyskać przebłaganie win, wykonując określone akty modlitewne i czynności ascetyczne, jak głosi teologia zasługi) oraz jako metanoja, czyli głęboka przemiana wewnętrzna, która prowadzi do zjednoczenia z Bogiem.

I znów musimy się zatrzymać, bo miłosierdzie jest kwestią wiary, a zatem język naukowca na nic się zda przy rozwikłaniu tej kwestii.
– I właśnie dlatego ja się nie godzę na taką tajemnicę i zadaję pytania. Dokonałem w pierwszym rozdziale w miarę zobiektywizowanej, to znaczy bez cienia złych emocji, rekonstrukcji dok-

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

• **Tryptyk „Sąd ostateczny" Hansa Memlinga**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

tryny miłosierdzia. Potem konsekwencję tych teologicznych rozważań sprawdzam w praktyce, pukam do cel śmierci, przyglądam się zbrodniarzom i ich nawróceniu. Höss jest tu w dobrym towarzystwie Hansa Franka czy członków Rodziny Mansona.

Czym się pan kierował, wybierając ich właśnie na bohaterów swoich rozważań?
– Badam konkretne świadectwa nawrócenia, czyli teksty, które zostały napisane przez nawróconych, lub inne źródła mówiące o ich zachowaniach i wypowiedziach. Nie badam samego fenomenu nawrócenia i nie pytam o jego szczerość. Nie mam do tego dostępu. Istota głębokiej przemiany duchowej wymyka się empirycznym narzędziom badawczym, którymi dysponuję.

Wielu z nich doznaje objawienia we śnie.
– Próbuję to tłumaczyć, używając narzędzi antropologii kultury, a nie teologii. I tak na przykład wizje, które mieli nawróceni członkowie Rodziny Mansona Susan Atkins i Tex Watson, są wypełnione z jednej strony ewangelicznymi obrazami rodem z broszurek dewocyjnych, a z drugiej są bardzo silnie zakorzenione w hippisowskiej subkulturze, co jest zrozumiałe, bo to był pejzaż końca lat 60. i 70. w Stanach. Otwarta przestrzeń skąpana w nadnaturalnym blasku, ze snu Atkins, krystalicznie czysta i piękna, pełna cudownych kwiatów rosnących na zielonej łące, rozbrzmiewająca modlitewnymi inkantacjami mantry Hare Kryszna, przypomina scenę ślubu w kaplicy z filmu Miloša Formana „Hair". Film wprawdzie powstał dopiero w 1979 roku, ale musical miał swoją premierę w Los Angeles w listopadzie 1968, czyli niespełna dziewięć miesięcy przed rzezią w domu Polańskiego.

Na tej łące do Atkins podeszła istota, która „przechadzała się, stąpając po roślinach cudownej piękności". Wierzyła, że to był Bóg.
– To są z kolei echa opowieści ludzi powracających do życia po śmierci klinicznej. W czasie, kiedy Atkins się nawróciła, ukazał się w Stanach bestseller Raymonda Moody'ego „Życie po życiu". Niektóre z wymienionych przez Moody'ego elementów doświadczenia powrotu ze śmierci klinicznej do życia można odnaleźć w opisie snu Atkins: wszechogarniające uczucie spokoju, błogości i wolności od bólu i lęku; spotkanie „istoty ze światła" i rozmowa z nią. Wizje są elementem procesu nawrócenia, ale każdorazowo nasycają się imaginarium kulturowym związanym z czasem i miejscem, w którym rzecz się dzieje. Święty Paweł miał wizję na drodze do Damaszku: nagła światłość oślepiła go i przemówił do niego Pan Jezus. Święty Konstantyn Wielki natomiast zobaczył na niebie krzyż ze światła.

Na każdego z nich spływa spokój.
– Poczucie spokoju, błogości, bezpieczeństwa jest jednym z konstytutywnych cech procesu nawrócenia. W wymiarze psychologicznym to sytuacja, która daje ukojenie. Człowiek żyje w rozdarciu, niepokoju, dezorientacji i dezintegracji. A ten, który popełnia zbrodnie, jest dodatkowo napiętnowany, ścigany, sądzony. Cały świat mu się zawala. Ale wtedy odnajduje go Pan Jezus, bo to nie tyle nawracający się człowiek odnajduje Boga, ile to sam Bóg odnajduje człowieka – wychodzi i szuka grzesznika, jak pasterz szuka zagubionej owcy. Pan Jezus przynosi zatem tej skołatanej duszy zbrodniarza spokój oraz poczucie radykalnej odmiany, powtórnego narodzenia. Pozwala to zbrodniarzowi zintegrować swą rozbitą osobowość, odciąć się od własnej przeszłości i zacząć życie jako „nowy człowiek". Maltretował i mordował swoje ofiary jako „stary człowiek". To nie byłem ja – mówią wszyscy nawróceni zbrodniarze. Pan Jezus zmazał wszystkie moje grzechy, obmył mnie i jestem już ponad śnieg bielszy, przede mną jest otwarte niebo, gdzie czeka na mnie miłosierny Bóg, który umarł za grzechy wszystkich ludzi, więc również i za mnie, a zmartwychwstając, dał wszystkim, którzy w niego wierzą, życie wieczne. A więc i ja go dostąpię. Często ci nawróceni zbrodniarze sami zaczynają nawracać współwięźniów, odnajdują w sobie pasję ewangelizacyjną, a nawet – jak Susan Atkins, która zadźgała Sharon Tate – uzdrawiają jak Pan Jezus! Nawracanie innych staje się zawodem większości nawróconych zbrodniarzy.

Albo misją.
– Z której osiągają finansowe profity, ale nie o tym jest moja książka.

Celebrytą nawrócenia jest Pietro Maso, skazany w 1992 roku za brutalne morderstwo swoich rodziców na 30 lat odsiadki.
– Jest mistrzem w kreowaniu własnego wizerunku: wywiady prasowe, sesje zdjęciowe, własna strona internetowa i profil na Facebooku. Śpiewają o nim piosenki, robią o nim filmy. Świetnie się czuje przed kamerami. Widziałem zdjęcie, które moim zdaniem chwyta istotę misterium nawrócenia, które stało się udziałem Pietra Maso.

To z nagim torsem?
– Widziała pani? Prawe ramię wytatuowane czymś przypominającym skórę węża lub pagony oficerskie, na szyi różaniec o białych paciorkach, a na lewej ręce złota bransoletka. I te oczy wpatrzone prosto w obiektyw.

Trochę kicz, ale niech mu będzie. Pytanie, co z jego celebrytwa ma Kościół.
– Jak to co? Ewangelizację! Maso ma gigantyczne zasięgi i reklamuje Pana Jezusa, jego zbawczą mękę i tajemnicę Bożego miłosierdzia. Tex Watson z Rodziny Mansona też zarabia na swoim nawróceniu. Założył wspólnotę religijną, a ludzie wpłacają mu pieniądze.

Maso nawrócił się dzięki programom radiowym, a nie wizjom.
– Akuszerem nawrócenia Maso jest włoska gwiazda ewangelizacji, ks. Guido Todeschini (tamtejszy ojciec Rydzyk), założyciel i dyrektor rozgłośni Radiopace i sieci telewizyjnej Telepace, która była jedyną prywatną telewizją dopuszczoną do obsługi prasowej papieskich pielgrzymek. Ksiądz Todeschini, nazywany przez wielbicieli Don Guido, towarzyszył Janowi Pawłowi II we wszystkich jego podróżach zagranicznych. Ten przywilej utrzymali papieże Benedykt XVI i Franciszek. Słuchając głosu Don Guida przez radio, Pietro Maso zrozumiał, że otwiera się przed nim nowe, lepsze życie. Bezzwłocznie skontaktował się z księdzem Todeschinim. Wymienili kilka listów, a potem szef sieci telewizyjnej Telepace regularnie odwiedzał

> Czy Bóg był w Auschwitz, czy go tam nie było – obie te możliwości są dla Boga katastrofalne

Pietra w więzieniu. Stał się jego duchowym ojcem, a także jego impresario. Akuszer nawrócenia pojawia się w celach każdego z nawróconych. Najczęściej jest nim kapelan więzienny.

Podkreśla pan w swojej książce, że to Chrystus do nich przychodzi. I stawia dość karkołomną tezę, że poświęcił ofiary po to, by nawrócić zabójców. Mam kolejny raz wątpliwość, czy język nauki jest przydatny do opisu aktów wiary.
– To nie jest karkołomna teza, tylko próba logicznego wnioskowania. Gdyby członkowie Rodziny Mansona nie powyrzynali swoich ofiar, kto wie, czy spotkaliby się z Panem Jezusem i przylgnęli do niego, zaskarbiając sobie tym samym zbawienie? Pan Jezus ich odnalazł w więzieniu i przyszedł do nich. Nie przyszedł natomiast do willi Polańskiego czy małżeństwa LaBianca. Czy nie wolno mi pomyśleć, że Susan Atkins najpierw zadźgała nożem ciężarną Sharon Tate, a dopiero potem, czy wręcz dzięki temu, Pan Jezus mógł ją odnaleźć i przygarnąć? Czy gdyby Jacques Fesch nie zabił policjanta, nie został złapany, osądzony i skazany na śmierć, mógłby w sobie rozwinąć tak żarliwe doświadczenie nawrócenia i poczucie bezpośredniego obcowania z Panem Jezusem? Pan Jezus ocalił Fescha i zabrał go do nieba, nie ocalił jednak policjanta Vergene'a, którego córeczka została bez rodziców, bo jej matka już wtedy nie żyła.

Przypomnijmy sobie Ewangelię św. Łukasza: „w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia". Ja tej ekonomii zbawienia nie pojmuję i nie zadowala mnie formuła: „to jest tajemnica Bożego miłosierdzia".

Ale dla wierzących ta formuła jest ważna i wystarczająca.
– Tak też odpowiadali mi księża, których pytałem, jak można zostać zbawionym, zagazowawszy milion Żydów?! Oto Pan Jezus odnalazł Hössa w wadowickim więzieniu i Höss „przylgnął do Pana Jezusa". Jakaż radość zapanowała w niebie! A ja pytam o zagazowanych i spalonych. I będę o to pytał, ponieważ oni już tego zrobić nie mogą. Czy w niebie zauważono ten ogień i ten dym z ludzkich ciał zamienianych w popiół? Czy świętujący radośnie nawrócenie Hössa aniołowie i sam Pan Jezus mają coś do powiedzenia ofiarom? Skoro Höss jest w niebie, to gdzie są spopieleni Żydzi, którzy w przytłaczającej większości nie wierzyli w Ojca i Syna i Ducha Świętego?

Większość nawróconych nie wspomina o swoich ofiarach. To narcystyczne narracje pierwszoosobowe o rychłym spotkaniu z Chrystusem.
– Tak, zbrodniarze zapominają o ofiarach. Ofiary znikają z horyzontu świadomości tych, którzy się odrodzili w Chrystusie. Skrajnym przykładem takiej narcystycznej egzaltacji nawrócenia jest Jacques Fesch, który podczas napadu rabunkowego zastrzelił policjanta, w więzieniu nawrócił się, pisał dziennik, a jego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 2003 r. Język jego mistycznych wzlotów i modlitewnych inkantacji jest całkowicie wtórny, przejęty z dewocyjnej literatury, którą Fesch pochłaniał w swojej celi. Ten nawrócony zabójca nie tylko sam kreuje się na ofiarę, lecz idzie dalej – dokonuje swoistego uchrystusowienia samego siebie. Zgilotynowany w 1957 roku w Paryżu był przekonany, że po dekapitacji pójdzie prosto do nieba. U wszystkich nawróconych następuje oddzielenie się od zbrodni, coś, co psychoterapeuci nazywają zjawiskiem dysocjacji. To nie ja zabiłem, bo odkąd spotkałem Chrystusa, jestem nowym człowiekiem. Nawrócenie pozwala nawróconemu zbrodniarzowi pozbyć się swojej zbrodni.

Według tej logiki ciężaru swoich zbrodni pozbyli się i Hans Frank, i Rudolf Höss.
– Bo miłość Boga wydobyła ich z dna grzechu i otchłani zła. To jest warunek nawrócenia: być odnalezionym przez miłość Boga i poddać się jej. Nie wiemy, czy Bóg był w Auschwitz, czy też go tam nie było. Wiemy jednak, że Bóg był na pewno w celi więzienia w Wadowicach, gdzie odnalazł Hössa i wybaczył mu, jak kochający ojciec wybacza synowi marnotrawnemu. Bez względu na to, jak potworne zbrodnie popełnił, grzechy zostają mu odpuszczone, a on będzie oczyszczony. Papież Franciszek w rozważaniach na Anioł Pański 11 września 2016 roku mówił, że Bóg miłosierny „traci pamięć", „zapomina o przeszłości". Nawrócony Höss znajduje się więc w ramionach Boga, który stracił pamięć, zapomniał o tym, co komendant Auschwitz robił w zarządzanym przez siebie obozie.

To, że im przebaczono, nie oznacza, że unikną kary.
– Ks. Manfred Deselaers w swojej książce o Hössie pisze: „Tradycja katolicka rozróżnia między winą za grzechy, która zostaje odpuszczona, a karami za grzechy, które trzeba ponieść". Warunkiem odpuszczenia grzechów Hössowi jest jego nawrócenie. Odpuszczenie to wg ks. Deselaersa „utrzymanie lub przywrócenie – pomimo złego czynu – dobrej relacji". Znaczy to mniej więcej tyle: pomimo wyrządzonego milionowi Żydów „złego czynu" Höss może się starać o „utrzymanie" lub „przywrócenie" z nimi dobrych relacji pod warunkiem, że się nawróci. Z perspektywy miliona zagazowanych w Auschwitz Żydów tym warunkiem jest możliwość dojrzenia „w sprawcy nie sprawcy jako takiego, lecz człowieka w innym aspekcie (w jego niezbywalnej godności, jako dziecko Boże)". Ks. Dese-

eprasa.pl 9f18aadd43

laers zaznacza, że Kościół nie wymaga tego od ofiar. Owo dojrzenie w Hössie „nie sprawcy, lecz dziecka Bożego" jest „niezasłużonym darem", „aktem łaski". To jeden z tych fragmentów książki ks. Deselaersa, w którym autor przekracza według mnie granice stosowności.

Wyjaśni pan?
– Czy ks. Deselaers naprawdę uważa, że to dobrze, iż relacja między Hössem a jego ofiarami nadal istnieje? Przecież to znaczy, że milion zamordowanych w Auschwitz Żydów nie może się od Hössa uwolnić nawet po swej strasznej śmierci w komorze gazowej i spopieleniu w krematoriach lub dołach spaleniskowych. Potworną zaiste perspektywę roztacza ks. Deselaers przed cieniami ofiar Hössa. Idzie jeszcze dalej i wprowadza Hössa do katolickiego czyśćca. Tam komendant będzie się oczyszczał i naprawiał relacje. Tam też będzie musiał spojrzeć w twarz swoim ofiarom. Ale w jaki sposób do katolickiego czyśćca dostaną się zagazowani Żydzi? A jeśli czyściec, to oczywiście cały system odpustów. Można się więc za Hössa modlić, aby go wspierać w tej trudnej drodze do nieba. Uważam, że cały ten wywód uwłacza pamięci miliona zamordowanych Żydów w Auschwitz.

Pana książka jest zjadliwą polemiką z książką Deselaersa. Właściwie mam wrażenie, że pan się nad nią pastwi.
– Bez przesady. To Susan Atkins pastwiła się nad swoimi ofiarami, to Rudolf Höss zorganizował i nadzorował tę monstrualną machinę Zagłady i to w kierowanym przez niego Auschwitz pastwiono się nad więźniami. Ja po prostu przeprowadzam krytyczną analizę tej książki, bez taryfy ulgowej. I to tylko w jednym podrozdziale. Nic więcej. Ks. Manfred Deselaers jest człowiekiem wielce zasłużonym, znanym i szanowanym. Od 1990 roku mieszka w Oświęcimiu. Pełni funkcję wiceprezesa Krakowskiej Fundacji Centrum Dialogu i Modlitwy w Oświęcimiu. Robi naprawdę wiele dobrego. Ja to szanuję i doceniam. Ale to nie znaczy, że nie mogę krytycznie oceniać jego książki.

Ks. Deselaers chce ratować Boga w Auschwitz, jak pisze: „ratować miłość". Według niego Bóg w Auschwitz kryje się w spojrzeniach ofiar i katów – w tej Lévinasowskiej przestrzeni spotkania z Drugim, czyli spotkaniem z Bogiem. A jak to wygląda konkretnie? Ks. Deselaers opisuje sytuacje, kiedy spojrzenie Hössa krzyżuje się ze spojrzeniem oszalałej z rozpaczy matki, której dzieci wpychane są do komory gazowej, czy ze spojrzeniem więźnia Sonderkommando, odnajdującego w stosie zwłok swoją żonę. Te spojrzenia spotykają się i wywołują w Hössie głębokie poruszenie. „To wewnętrzne poruszenie świadczy o głosie sumienia" – twierdzi ks. Deselaers i dodaje: „Tutaj leży odpowiedź na pytanie: Gdzie był Bóg w Auschwitz?". Przyznam, że to niezwykle karkołomna konstrukcja, ale czego się nie robi dla ocalenia reputacji Pana Boga. Swoją drogą, czy Bóg był w Auschwitz, czy go tam nie było – obie te możliwości są dla Boga katastrofalne.

Pan sądzi, że te ofiary zostały potraktowane instrumentalnie.
– Według mnie ofiary zostały w tej książce zignorowane, mimo że autor często się na nie powołuje i stawia się w sytuacji ich rzecznika. Mamy bezcenne świadectwa z Auschwitz, całą bibliotekę: Tadeusza Borowskiego, Primo Leviego, Jeana Améry'ego, Elie Wiesela, Charlotte Delbo, Wiesława Kielara i wielu innych. Ale ci świadkowie ks. Deselaersa nie interesują, nie wspomina o nich. Przywołuje w bibliografii jedynie „Rękopisy członków Sonderkommando". Ks. Deselaers pisze „w imieniu ofiar" i „dla ofiar", ale ich autentyczny głos ignoruje. Jego konstrukcja filozoficzno-teologiczno-antropologiczna jest zawieszona w próżni, ponad realnością Auschwitz. A tą realnością jest błoto Birkenau, które nigdy nie wysychało, smród palonych ciał, który się kładł na całym obozie i okolicy, to jest fizjologia umierania w komorze gazowej. Jeśli pozostaniemy przy wyrafinowanym, zawieszonym w mgle słów języku spekulacji filozoficznej czy teologicznej, to nie tylko sprzeniewierzamy się głosowi ofiar, ale też odrywamy się od realności Auschwitz.

Książka ks. Deselaersa „»I nigdy oskarżony nie miał wyrzutów sumienia?«. Biografia Rudolfa Hössa, komendanta Auschwitz, a kwestia jego odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi" jest również teologiczną próbą odpowiedzi na pytanie o możliwość wybaczenia Hössowi. Pan zaś twierdzi, że myślenie o Zagładzie jest myśleniem o niemożności przebaczenia.
– Jean Améry, do którego się odwołuję, kwestionuje możliwość przebaczenia, czyli przywrócenia równowagi. Nie da się tego zrobić. Co więc zostaje? Ciągłe budzenie w sobie i podtrzymywanie sprzeciwu wobec tego, co się stało. Przebaczenie jest zaleczeniem i ukojeniem niepokoju, a ja wolałbym nieustanny sprzeciw. Przebaczenie oznaczałoby zamknięcie koła historii, zatrzaśnięcie doświadczenia Zagłady. Byłoby zastrzykiem uspokajającym, antydepresantem, którego tak łakną nawróceni zbrodniarze. Mam głębokie przeświadczenie, że nie wolno nam się uspokajać. Tym bardziej że widzimy tu i teraz, jak to piekielne koło znów się kręci. Świat niczego się nie nauczył, bo jedyna nauka z Holocaustu jest taka, że może się on powtórzyć. Przebaczenie Hössowi byłoby ogłuszeniem naszego niepokoju, a on musi wciąż nas przenikać.

Jeśli zakładamy, że da się nawiązać racjonalny kontakt z tym, co nazywamy Zagładą, oznaczałoby to, że można ją zrozumieć. Czy tak jest naprawdę, trudno powiedzieć, ale nieustannie trzeba do tego dążyć, trzeba podejmować ryzyko rozumienia. Jestem przeciwnikiem traktowania Zagłady jako doświadczenia niemal mistycznego, którego nie można wyrazić językiem zracjonalizowanego dyskursu, jestem przeciwnikiem fetyszyzowania takich kategorii jak „niewyrażalność", „pustka", „nieskończone milczenie" czy „tajemnica".

Przywołuje pan wiersz Tadeusza Borowskiego: „Włóż mu do rąk Ewangelię,/ może się jeszcze namyśli,/ może do Ciebie powróci,/ sługa w pokorze./ Bo większa radość będzie w niebie/ z nawrócenia grzesznego Kaltenbrunnera/ niż z sześciu milionów zagazowanych Żydów/ i dwudziestu milionów rozstrzelanych chrześcijan, którzy byli sprawiedliwi...".
– W „Modlitwie o zbawienie duszy Kaltenbrunnera" Borowski antycypuje to, co miało stać się wkrótce udziałem Rudolfa Hössa: nawrócenie w celi. Ten wiersz, bluźnierczy i czarny, jest mi szczególnie bliski, ponieważ boli jak igła trafiająca w nerw chorego zęba. Musi boleć. Można oczywiście przemienić grozę Auschwitz i niedającą się zaleczyć ranę w piękną opowieść o przebaczeniu i nawróceniu. Ja nie jestem przeciwko przebaczaniu. Nie jestem człowiekiem, który chciałby wyrzucić do śmieci cały etyczny dorobek ludzkości i koncepcję, że słaby człowiek może upaść, ale też może się podźwignąć z upadku. Ale tony popiołów ze spalonych Żydów, ale sprawni, wydajni i perfekcyjni wykonawcy „ostatecznego rozwiązania" – dla mnie to nie mieści się w tym samym porządku.

A Alessandro Serenelliemu, który zabił Marię Goretti, można wybaczyć?
– Na szczęście nie jestem księdzem ani Panem Jezusem, bo to on odgrywa główną rolę w przebaczeniu i zbawianiu. Ja ich prerogatyw nie mam i mogę się uchylić od tego pytania.

To jest pytanie o wagę winy i przebaczenia. Zadam je, choć czuję zakłopotanie: morderca jednej osoby może być zbawiony, ale morderca miliona już nie?
– Przypomnijmy sobie fragment „Dziennika" Gombrowicza o ratowaniu przewróconych na grzbiet żuków smażących się na argentyńskiej plaży. Gombrowicz przekłada je z powrotem na nóżki, najpierw jednego, potem dziesiątego, i kolejne, ale na którymś żuku musi poprzestać. I to jest zapis, który dobrze współgra z naszą rozmową. Jakiej śmierci już nie przebaczymy? Czy trzeba wyznaczyć jakąś liczbę? To jest niemożliwe. Tego dylematu nie rozstrzygnie matematyka. Odwróćmy słynne zdanie z Talmudu, którym opisuje się czyny Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, sparafrazujmy je w ten sposób: „kto zabija jedno życie – zabija cały świat". Ale czym jest zarżnięcie siedmiorga niewinnych ludzi przez członków Rodziny Mansona wobec zagazowania miliona Żydów? Jeśli więc można przebaczyć Hössowi, to znaczy, że w jakiś sposób można usprawiedliwić Zagładę, znormalizować ją, oswoić coś, czego oswoić się nie da. Wyprowadzić z Zagłady jakiś (katolicki) happy end.

Po co Kościołowi katolickiemu Höss przyjmujący w celi komunię?
– Oto jest pytanie! Kościół katolicki uważa się za depozytariusza jedynie prawdziwej prawdy, jest instytucją, która uprawia od wieków imperializm religijny i jak na imperium przystało, musi zdobywać nowe ziemie i nowe dusze. Musi też pilnować ortodoksji i piętnować herezję, stąd bardzo chętnie przyjmuje na swoje łono tych, którzy się tej herezji wyrzekną i uznają jedyność Kościoła. Höss jest wymarzonym przypadkiem, bo przychodzi z głębi absolutnego zła. Trudno sobie wyobrazić większą otchłań grzechu, zbrodni, potworności. I on z tej otchłani zostaje wydobyty, klęczy w celi, płacze, spowiada się, przyjmuje Komunię Świętą, powraca na łono Kościoła i zostaje powieszony w stanie łaski uświęcającej. Więc nawrócenie Hössa jest triumfem Kościoła. I świadectwem, że miłosierdzie Boże jest wszechpotężne, że zmartwychwstały Chrystus może zbawić każdego grzesznika. Dodam, że Kościół jako najstarsza korporacja świata jest tu w komfortowej sytuacji, ponieważ jego produkt, czyli zbawienie, nie podlega reklamacji.

I wracamy do punktu wyjścia, czyli dwóch języków, które opisują dwie rzeczywistości. Materialną i duchową.
– Szanuję ludzi wierzących i nie naśmiewam się z tych, którzy deklarują swój katolicyzm. Ja tylko chciałbym, żeby usłyszeli taki głos jak mój i zastanowili się nad nim, ponieważ postawa wiary nie wyklucza postawy rozumu.

Jednak jeśli Hössowi przebaczyć nie można, jeśli nie może on być zbawiony i po spowiedzi i Komunii Świętej nie może znaleźć się w niebie – to chrześcijaństwo takie, jak ja je rozumiem, wali się w gruzy. Brak przebaczenia i zbawienia dla Hössa uderza bowiem w fundament chrześcijaństwa, jakim jest posłanie o Bożym miłosierdziu i o tym, że Pan Jezus umarł na krzyżu za wszystkich grzeszników. To była zbawcza męka, a więc jeśli chcemy poważnie traktować orędzie chrześcijańskie, to powinniśmy przyjąć, że Pan Jezus zbawił również nawróconego Rudolfa Hössa. Na szczęście świat nie kończy się na chrześcijaństwie czy węziej – na katolicyzmie, chociaż prezes Kaczyński wmawia nam, że niewierzący muszą przyjąć chrześcijański system wartości, ponieważ innego w Polsce nie ma. To oczywista nieprawda. Ludzi, którzy znajdują się poza orbitą katolickiej doktryny, jest na świecie 82 proc., co podaję za danymi z „Rocznika Statystycznego Kościoła" z 2019 roku. Mamy prawo zadawać Kościołowi pytania o Hössa: o przebaczenie i o jego zbawienie, o to, czy rzeczywiście nawrócony Höss jest w niebie i co to właściwie znaczy. Sprawa Hössa nie jest wewnętrzną sprawą Kościoła. Nie zgadzam się na katolicką kolonizację Auschwitz w wykonaniu ks. Manfreda Deselaersa odprawiającego drogę krzyżową w Birkenau i snującego rozważania o zamordowanych Żydach „nawiązujących relacje" ze swoim oprawcą Hössem. ●

> Świat niczego się nie nauczył, bo jedyna nauka z Holocaustu jest taka, że może się on powtórzyć. Przebaczenie Hössowi byłoby ogłuszeniem naszego niepokoju, a on musi wciąż nas przenikać

FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Prof. Jacek Leociak

• ur. w 1957 r., kierownik Zakładu Badań nad Literaturą Zagłady w Instytucie Badań Literackich PAN, członek założyciel Centrum Badań nad Zagładą Żydów przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, redaktor rocznika „Zagłada Żydów. Studia i Materiały". Zajmuje się różnymi formami zapisu doświadczeń granicznych (w tym doświadczenia Zagłady). Opublikował m.in.: „Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście" (wspólnie z Barbarą Engelking), „Ratowanie. Opowieści Polaków i Żydów", „Młyny boże. Zapiski o Kościele i Zagładzie" (książka była nominowana do Nagrody Literackiej „Nike"), „Wieczne strapienie. O kłamstwie, historii i Kościele". Wydał także (wraz z Martą Janczewską) antologię „Archiwum Ringelbluma". W wydawnictwie Czarne ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Zapraszamy do nieba"

eprasa.pl 9f18aadd43

Nie słuchajmy wojaka Szwejka

Nie bez przyczyny zdrajcy męczą się u Dantego w najniższym kręgu piekła.

Marcin Matczak

Czy jest jakiś wspólny mianownik między właśnie odkrytym bajorem finansowania kampanii wyborczej PiS do europarlamentu a Wojciechem Kałużą? Z całą pewnością. Jak naucza prawniczka Nicola Lacey, każda populistyczna władza z lubością niszczy konwencje. To twierdzenie nie wydaje się dramatyczne. A powinno, bo konwencje, a więc niepisane zasady postępowania, są kluczowe dla społeczeństwa, które chce ze sobą jako tako żyć i się nie pozabijać.

Tymczasem władzy populistycznej zależy, żeby się pozabijało. Gdy instynkt śmierci zastępuje instynkt miłości, to dla populisty dobrze, bo nienawiść niesie ze sobą bardziej skrajne emocje. A jak są emocje, władza populistyczna kwitnie – suweren, zazwyczaj dość leniwy, grillujący i cieszący się ciepłą wodą w kranie (póki może) niechętnie angażuje się politycznie w warunkach normalnych. Ale jak się wzbudzi jego skrajne emocje, wtedy do urn idzie i populistom zazwyczaj pomaga.

●

O co chodzi z tymi konwencjami i emocjami? Oprócz litery prawa nasze działanie regulują zasady, których nie reguluje żaden kodeks, może oprócz honorowego. Kłaniamy się sobie na ulicy, przepuszczamy w drzwiach, dotrzymujemy obietnic i nie chodzimy w piżamie po mieście (przynajmniej nie wszyscy). Angażujemy się tym samym w cały szereg powtarzalnych zachowań, w które zaangażowani byli nasi ojcowie, dziadowie i pradziadowie. Reprodukujemy je, ponieważ mają sens: uprzejmość pozdrowień i przepuszczeń w drzwiach obniża negatywne emocje i zachęca do interakcji, dotrzymywanie obietnic daje przewidywalność, paradowanie po ulicy w pełnym rynsztunku ubrania jest symptomem zdrowia psychicznego i wyraża szacunek dla innych.

Jeśli ktoś konwencje łamie, nie idzie za to do więzienia. Paradowanie w piżamie po ulicy nie jest przestępstwem, a gburowatość nie jest zbrodnią. Spotyka taką osobę inna, miękka sankcja społeczna: kpina, plotka, w skrajnych przypadkach ostracyzm. Mimo że sankcja jest miękka, dzieje się coś złego – relacja z osobą nieprzestrzegającą konwencji upada, upada także zaufanie potrzebne do wspólnego funkcjonowania.

I tu wracamy do niszczenia konwencji przez populistyczną władzę. Bo właśnie o upadek relacji między ludźmi, o atomizację społeczeństwa, o brak zaufania jej chodzi. Kiedy bowiem ludzie są daleko od siebie, są bliżej władzy. Im mniej mogą polegać na innych, tym bardziej muszą polegać na przywódcy, im mniej ufają sobie, tym bardziej muszą ufać partii. Znamy te procesy z PRL-u i innych ustrojów autorytarnych. Nicola Lacey pokazuje, że te tendencje nie ustają.

Weźmy takiego Trumpa. Oprócz działań jawnie bezprawnych niszczył konwencje, gdzie tylko popadło. Na przykład te przeciwdziałające nepotyzmowi – zatrudniał przecież na ważnych stanowiskach najbliższą rodzinę. Można powiedzieć – cóż z tego? Prawa akurat nie łamał. Ale niszczył niepisane zasady. W ten sposób niszczył dobre obyczaje, a przede wszystkim obraz drugiego człowieka, któremu można zaufać i którego działanie można przewidzieć.

Co się bowiem dzieje, gdy ktoś bezczelnie kpi sobie z niepisanych zasad, śmiejąc się innym w twarz i mówiąc: „nic nielegalnego przecież nie robię”? Taki ktoś zaraża bezczelnością jak wirusem. Zachęca innych, by robili dokładnie tak samo: niszczyli zaufanie i przewidywalność, a w ten sposób trwonili bezcenny społeczny kapitał – stabilność. Właśnie dlatego, że zaufanie i przewidywalność są dla społeczeństwa tak ważne, nie wszystko, co legalne, jest dopuszczalne. Bo kiedy ktoś łamie niepisane zasady, destabilizuje świat i zmętnia wodę, w której zanurzone są nasze relacje.

●

Mamy i w Polsce swoich Trumpów. W aferze z finansowaniem kampanii PiS do europarlamentu ciągle słyszymy: „wszystko było lege artis”. „Litera prawa”, która pozwala na polityczne wspieranie kasą, kogo tylko się chce, staje się mantrą, choć oczywiście zabija ducha. To, że cała ta sytuacja śmierdzi na odległość, że prowokuje domysły na temat możliwej korupcji, populistycznych moralizatorów nie przejmuje zupełnie. Są pierwsi, by krytykować prawo, które narusza zwyczajne poczucie przyzwoitości – ale tylko wtedy, gdy chodzi o innych. Kiedy chodzi o nich, formalnym prawem zasłaniają się przed zarzutem, że tę przyzwoitość naruszyli. Mają gdzieś konwencje i dobre obyczaje. W ten sposób pokazują, że mają gdzieś innych ludzi. Konwencje są dobrem wspólnym – ten, kto je niszczy, pogardza grupą i działa w egoistycznym interesie.

Widać to na przykładzie innego łamania konwencji: głośnych zdrad politycznych. Jak ta Wojciecha Kałuży, który po zdobyciu mandatu z ramienia Koalicji Obywatelskiej przeszedł na stronę PiS (czego pożałował po ostatnich wydarzeniach na Śląsku), czy ta Moniki Pawłowskiej, która jako posłanka Lewicy nagle zapałała głęboką polityczną miłością do Porozumienia Jarosława Gowina. Czy zrobili coś nielegalnego? Oczywiście nie. Czy zrobili coś obrzydliwego? Oczywiście tak. Złamali niepisaną zasadę lojalności, zdewastowali zaufanie swoich kolegów i swoich wyborców. To, że okrzyknięto ich zdrajcami, pokazuje, jakiego zła się dopuścili.

Nie bez przyczyny zdrajcy męczą się u Dantego w najniższym kręgu piekła. Zdrada, ten największy cios w zaufanie, usuwa zdradzonym grunt spod nóg – dalsze funkcjonowanie wydaje się niemożliwe, bo nikomu nie można zaufać, a bez zaufania nie da się żyć. Dlatego złamanie niepisanych zasad może mieć czasami skutki gorsze niż złamanie pisanych.

●

Wojak Szwejk mawiał: „nie wolno, ale można”. Czas odwrócić tę myśl i powiedzieć: „wolno, ale nie można”. Ale tak mówi tylko ktoś, komu zależy na ludziach, relacjach z nimi, na przewidywalności naszego wspólnego życia. Populiście zależy na czymś zupełnie odwrotnym – on żywi się rozłamem, podejrzliwością, demontażem normalnych ludzkich relacji.

Kiedy bowiem już to wszystko zostanie zniszczone, kiedy wulgarność i bezczelność spłyną z gór władzy do najniższych, najbardziej podstawowych ludzkich interakcji, spełni się populistyczny sen: nie będzie już niczego, na czym można polegać, oprócz łaski populistycznego pana. A ta wiadomo, na jakim koniu jeździ. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”, Marcin Matczak, wyd. Znak, premiera 5 grudnia

CZUŁE SŁÓWKA

Głuchy telefon

Anegdota Gustawa Holoubka o Kalinie Jędrusik i strażaku coraz lepiej opisuje dyskurs polityczny w naszym kraju.

Michał Rusinek*

Redaktor Radosław Szczęch opublikował niedawno artykuł w „Dzienniku Wschodnim” (należącym, przypomnijmy, do PKN Orlen), w którym relacjonując słowa Jarosława Kaczyńskiego, napisał: „Prezes rządzącej partii, posługując się retoryczną hiperbolą, wbił szpilę w opozycję”. Pomijając fakt, że szpilę się raczej wbija komuś niż w kogoś – chyba że się jest specjalistą od akupunktury – warto odpowiedzieć na discopoloidalne pytanie, jak do tego doszło oraz co skłoniło redaktora Szczęcha do takiego retorycznego odkrycia.

●

Zacznijmy od początku. W lipcu w Radomiu Donald Tusk zapowiedział, że jeśli PO wygra wybory, to Adam Glapiński „nie będzie ani jednego dnia dłużej prezesem NBP i nie trzeba będzie ustawy”, bo jest prezesem „nielegalnym”, i obiecał, że go „wyprowadzi z NBP”. To była klasyczna hiperbola, bo – jak zauważył portal OKO.press – nierealne jest zwolnienie prezesa NBP z dnia na dzień.

●

Potem, czyli na początku października, prof. Maciej Górecki z Wydziału Psychologii UW napisał na Twitterze: „Elektorat PiS-u jest niezwykle toksyczny kulturowo. Po odsunięciu PiS-u od władzy służby powinny infiltrować i wewnętrznie dezintegrować każdą kolejną partię, która będzie bazować na tym elektoracie. Tylko w ten sposób unikniemy pełnoskalowego faszyzmu”. Nawet jeśli Górecki odwoływał się do tez Timothy'ego Snydera czy Umberta Eco dotyczących rodzącego się faszyzmu, to sformułował tezę nieco karkołomną, bo można ją interpretować jako atak na wyborców, a nie na partię rządzącą. Tak też zinterpretowali ją komentatorzy, nie tylko z prawej strony. Minister Czarnek nazwał wypowiedź Góreckiego „opluwaniem 40 proc.” społeczeństwa oraz wyrazem „totalitaryzmu” – chociaż wypowiedź ta była właśnie skierowana przeciwko partiom o totalitarnych zapędach. Ziemowit Szczerek natomiast napisał: „Elektorat nie jest toksyczny. Polityka PiS jest. To jak winić ofiary piramidy finansowej za to, że uwierzyły jej twórcom”.

W rozmowie z portalem OKO.press prof. Górecki wyjaśnił, że chodziło mu o to, iż „PiS spełnia definicję partii faszystowskiej”, a faszyzm – za Snyderem – rozumie jako tyranię opartą na postprawdach, i to właśnie tego typu partie powinno się, jego zdaniem, dezintegrować. Do elektoratu ma jedynie taki zarzut, że jest on „podatny na teorie spiskowe”. Jako przykład na to, że teorie te są zabójcze dla demokracji, Górecki podał szturm zwolenników Trumpa na Kapitol.

Jak widać, niektórych tez lepiej nie wygłaszać na Twitterze, bo nie każdą można w ograniczonej liczbie znaków sformułować. W przypadku takich tez jesteśmy skazani na skróty myślowe, nazywane w retoryce elipsami, które grożą różnymi interpretacjami. Oraz dalszym życiem takiego tweeta, czego się prof. Górecki zapewne nie spodziewał.

●

Tydzień po owym tweecie Jarosław Kaczyński w Puławach powiedział: „My tę opozycję zamkniemy, powyprowadzamy z różnych miejsc. Na przykład tutaj podobno jest jakiś niezbyt nam chętny prezydent miasta. No to co zrobić? Wyprowadzić go! Skoro Tusk chce tak robić z prezesem banku narodowego, no to z prezydentem miasta tym bardziej można coś takiego zrobić. A następnie, żeby taka partia [opozycyjna] nie powstała, będziemy przy pomocy służb specjalnych infiltrować i dezintegrować tę część społeczeństwa, która byłaby gotowa ją poprzeć”. To tę wypowiedź pełną pogróżek określił redaktor Szczęch mianem hiperboli. Otóż to nieprawda. Hiperbola, czyli inaczej przesadnia, to trop retoryczny polegający na powiększeniu lub pomniejszeniu cech jakiegoś faktu, osoby lub pojęcia. Mamy tu raczej do czynienia z exemplum, czyli przykładem. W tym przypadku: jak wyglądałyby rządy PiS, gdyby stosowało zasady, które rzekomo mają zamiar wprowadzić politycy i zwolennicy PO – rzekomo, bo wyrażone one zostały w postaci hiperboli (i elipsy). Podsumował swoją wypowiedź, mówiąc, żeby gdyby PiS tak zrobił, „Polska byłaby uznana za kraj równy lub gorszy od hitlerowskich Niemiec”.

Tak więc Kaczyński nie posłużył się hiperbolą, ale nie dostrzegł – a raczej nie chciał dostrzec – hiperboli w wypowiedziach, do których nawiązywał. Przede wszystkim bowiem mamy tu do czynienia z intertekstualnością, to znaczy posłużeniem się cudzymi wypowiedziami we własnym tekście: „wyprowadzenie” zaczerpnął od Tuska, a „infiltrację” i „dezintegrację” od Góreckiego. Jest to jednak intertekstualność nieuczciwa: cytując czyjąś wypowiedź, nie wolno zmieniać jej sensu, wówczas bowiem mamy do czynienia ze zjawiskiem znanym z zabawy w głuchy telefon: Górecki nie pisał przecież o infiltracji i dezintegracji społeczeństwa, ale faszyzujących partii.

●

Zabawa w głuchy telefon na tym się nie skończyła, bo Michał Zakrzewski, radny z Puław, z klubu prezydenta „niezbyt chętnego” PiS-owi, napisał na Facebooku: „Jarku, zagalopowałeś się z tym służbami, zamykaniem i wyprowadzaniem naszego prezydenta! Mieszkańcy decydują, jakiego mamy prezydenta, a nie wasza partyjna machina!”. Relacjonujący tę wypowiedź redaktor Szczęch uspokaja jednak, że prezydentowi miasta nic nie grozi ze strony władzy, i cytuje posła PiS, który także postanowił zabawić się w głuchy telefon: „My szanujemy reguły prawa i demokracji. To opozycja zapowiada stosowanie metod siłowych, o czym mówił prezes Kaczyński”. Do zabawy dołączył jeszcze radny PiS Michał Śmich: „My na pewno nikogo z gabinetów wyprowadzać nie będziemy. Słowa prezesa trzeba odczytywać w pełnym kontekście”.

Ale co właściwie oznacza „pełny kontekst”? Na miejscu radnego Śmicha bym uważał, bo chyba to, że Kaczyński wiedział, o co chodziło Tuskowi i Góreckiemu, ale wyjął ich wypowiedzi z kontekstu, zmienił ich retoryczny tryb i użył we własnym celu: grożenia, ale osłabionego cudzysłowem. Wiedząc, że zabawa w głuchy telefon tym bardziej jest udana, im bardziej tekst wypowiadany przez ostatniego jej uczestnika odbiega od tekstu pierwotnego: przeinaczony, zdefigurowany lub zrefigurowany.

Redaktor Szczęch zatytułował swój tekst tłumaczący wypowiedź prezesa: „Kaczyński »żartuje« o prezydencie Puław”. Zastanawiający wydaje się właśnie cudzysłów: skoro nie żartuje, tylko „żartuje”, to może wcale nie był to żart? Może to jednak była groźba wobec prezydenta miasta „niezbyt chętnego” PiS-owi? Albo redaktor „Dziennika Wschodniego” także włączył się w zabawę w głuchy telefon, albo – wbrew linii swojej gazety – dał nam dyskretnie, mrugając okiem, do zrozumienia, co jest naprawdę grane. Tak czy owak, cała ta sytuacja przypomina anegdotę Gustawa Holoubka o Kalinie Jędrusik i strażaku, której nie będę cytował, bo wszyscy ją znają, a która coraz lepiej opisuje dyskurs polityczny w naszym kraju. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

eprasa.pl 9f18aadd43

RODZINA W OPRESJI

Musimy uważać, bo ludzie państwa PiS nie mają dziś nic do stracenia, **grozi im odpowiedzialność karna.**

MÓWI **KRZYSZTOF BREJZA**, SENATOR PLATFORMY OBYWATELSKIEJ
ROZMAWIAŁA **AGATA CAŁKOWSKA**

Pana dom można nazwać rozpolitykowanym. Od zawsze tak było?
– Tak, bo tata był działaczem „Solidarności", a podczas studiów związany był z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Ale w domu żywa była i jest pamięć o stryju, który po kolejnym zatrzymaniu przez milicję, brutalnych przesłuchaniach, w 1982 roku, jako niespełna 18-latek popełnił samobójstwo. Przed śmiercią zostawił rodzicom list pożegnalny, przeczytam pani... „Wybaczcie, co uczynię. Nie winię Was za to, lecz po prostu nie mogę tu żyć, bo życie to męka. Niech Ojczyzna będzie wielka, lecz ja nie mogę już czekać. Żegnajcie. Żegnaj, Tatku i moja Matko. Niech Rysio sławi imię Brejza, bo ja kończę. Komuna niech przepadnie. Jarek".

List zachowała babcia i nie przekazała go funkcjonariuszom SB, którzy po tragedii dopytywali, czy syn jakiś list zostawił. Zobaczyłem go dopiero rok temu, podczas wizyty pani Magdaleny Rigamonti, dziennikarki, u mojej babci. Wywarł na mnie wstrząsające odczucia. Zobaczyłem chłopaka pełnego idei, walecznego, energicznego, odważnego, ale zaszczutego, niszczonego przez autorytarne państwo.

Miałem cichy żal do historyków z IPN, że przez tyle lat nikt do babci nie przyjechał, nikt z nią o tym nie porozmawiał.

Często mówi się o tym samobójstwie w rodzinie?
– Jarek babci się śni, a ona często opowiada, że przyszedł do niej w nocy. Widzi go, rozmawia z nim.

Prosił o „sławienie imienia Brejza". Kultywujecie?
– Młodsze moje dzieci tego jeszcze nie rozumieją, ale mój 12-letni syn jest pasjonatem historii i niestety, a może dobrze, nie wiem, polityki. Ostatnio, 1 listopada, miałem z nim pierwszą taką rozmowę nad grobem Jarka i widziałem, jak bardzo był wstrząśnięty. Tym, że autorytaryzm nie jest suchym pojęciem ze stron podręcznika do historii, ale że komunistyczny autorytaryzm odcisnął tragiczne piętno na naszej rodzinie.

Czy stryj to dla pana wzór, paliwo do działania?
– Czasami mam takie poczucie, że on musiał być bardzo samotny w tej walce z państwem. Te jego słowa „komuna niech przepadnie" i niech Rysio, mój ojciec, sławi nazwisko Brejza... Powiem pani, że my wzięliśmy sobie te słowa do serca. Autorytetów wcale nie trzeba szukać gdzieś daleko, na stronicach ksiąg, w filmach czy popkulturze, bo ten autorytet jest bardzo blisko, ja go mam w domu. Dlatego komuna była od zawsze dla mnie synonimem zła, jesteśmy rodziną, która marzyła o jej upadku.

Ma pan 14 lat, gdy ojciec, Ryszard Brejza, zostaje posłem, wtedy polityka do was wraca.
– Ale pamiętam już, jak był radnym, przewodniczącym sejmiku bydgoskiego, współtworzył samorząd wolnej Polski. Pamiętam też wybory 1989 roku, potem 1991 roku, w których startował z list „Solidarności", i zawsze ta tożsamość „Solidarności" była silna. Dlatego byłem zdruzgotany wygraną SLD w 2001, ale w porównaniu z perfidią dziś rządzącego PiS, kłamców i ludzi bezwzględnych, to tamta formacja lewicy wydaje się rządem propaństwowym.

I po tym jak SLD wygrało w 2001 r., ojciec, jako kandydat środowisk solidarnościowych, wygrał w 2002 r. wybory na prezydenta Inowrocławia. Pokonał kandydata SLD, i to był szok, ponieważ rok wcześniej SLD w Inowrocławiu wygrało wybory z 50-proc. poparciem. I przez 20 lat udało się tacie zrobić ogrom rzeczy dla Inowrocławia: powstała obwodnica Inowrocławia, poszerzono i zmodernizowano park uzdrowiskowy, pozyskano miliony euro na rewitalizację śródmieścia, remonty basenów. Mamy jeden z niewielu w Polsce całkowicie ekologicznych transportów miejskich. W tegorocznym rankingu „Newsweeka" tatę uznano za najlepszego prezydenta w Polsce, jestem z tego dumny.

Pan jest doktorem prawa, mógłby pan robić w tej dziedzinie karierę, a jednak polityka.
– Bo odczytuję politykę jako kontakt z ludźmi, podejmowanie interwencji, ale także wnikanie w tematy, które są bardzo przyziemne. Udało mi się na przykład przeforsować ustawę, jeszcze za PO, przywracającą możliwość zdawania na prawo jazdy w Inowrocławiu, bo młodzi ludzie musieli na kursy dojeżdżać do Włocławka, Bydgoszczy, Torunia. Dzięki ustawie, której byłem autorem, w kilkunastu polskich miastach, np. w Głogowie, Ostrowcu Świętokrzyskim, Puławach, Szczecinku, powstały filie ośrodków ruchu drogowego. Pamiętam, ile krwi trzeba było przelać i jak bardzo wykłócać się z dyrektorami ośrodków blokującymi tę korzystną dla ludzi na prowincji zmianę. Dążyłem też do tego, żeby rejestrować liczniki i ukrócić przestępstwa w handlu samochodami. To mnie najbardziej pociąga, że można zmienić rzeczywistość, a nie podoba mi się postpolityka spłycona do nagłówków czy do obrzucania się pustymi hasłami.

W 2005 roku wstąpił pan do PO.
– Już w 2002 kandydowałem do sejmiku, jako 19-latek, z rekomendacji PO, bo było i jest to ugrupowanie centrum, umiarkowane, proeuropejskie, antypopulistyczne, antyradykalne...

...ale w 2011 roku podpadł pan Platformie i decyzją zarządu krajowego został przesunięty na siódme miejsce na liście wyborczej, choć wszedł pan do Sejmu.
– Do Warszawy przyjechali inowrocławianie walczyć o obwodnicę, bo padła obietnica z Ministerstwa Infrastruktury, że będzie budowana, ale te obietnice wycięto w pień... Przyjechali autokarem, wyszedłem do nich, zrobiono mi zdjęcie, jak odbieram petycję. I część kolegów użyła tego wydarzenia jako pretekstu do próby usunięcia mnie z polityki – złożyli protest do zarządu krajowego, że rzekomo protestowałem przeciwko rządowi PO. Ostatecznie, mimo siódmego miejsca na liście, przeskoczyłem sześć osób przede mną, uzyskując drugi wynik wyborczy

FOT. ADAM STEPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 9f18aadd43

po liderze listy. Nie byłoby to możliwe, gdy nie wsparcie inowrocławian.

Zawsze byłem zdania, że trzeba przekonywać do siebie ludzi, nie podoba mi się skakanie z partii do partii i gdy teraz widzę posłankę Lewicy, która wstępuje do PiS, czy ludzi, którzy skaczą po partiach, to mnie to brzydzi.

Bezideowość?
– Niestety, jest część klasy politycznej, która się dostosowuje, jest koniunkturalna, a na takich nastrojach zyskują autokraci, rząd PiS na tym koniunkturalizmie po prostu żeruje.

Był pan członkiem komisji śledczej ds. Amber Gold. Czy ona coś dała poza memami z wypowiedziami posła Suskiego na temat Katarzyny Wielkiej i pyskówkami przewodniczącej Małgorzaty Wassermann pod adresem premiera Tuska? Pytałam znajomych, pamiętają tylko to...

– To cecha postpolityki, która nie ma nic wspólnego z merytoryczną polityką lat 90. Komisja ds. Amber Gold kosztowała wiele milionów złotych i gdyby sprawdzić, jaki jest z niej urobek dla państwa polskiego i obywateli, to tak, zostały po niej tylko memy i śmieszki Suskiego.

No, ale coś się udało zrobić?
– Nie ukrywam, że mi jednoosobowo udało się odwrócić bieg tej komisji. Udowodniłem, że gdańscy prokuratorzy awansowani przez Zbigniewa Ziobrę już za czasów PiS odpowiadali wcześniej za błędy w sprawie Amber Gold. Proszę pamiętać, że wtedy posłowie PiS wchodzili do tej komisji z przekonaniem, że za chwilę Tuska i polityków PO wyprowadzą w kajdankach. Po trzech latach działania komisji schowali raport, bo się go wstydzili. Nie było wielkich konferencji, kampanii. Prawda o Amber Gold była taka, że to m.in. ważny prokurator, powołany przez Ziobrę do komisji egzaminacyjnej, popełnił fatalny błąd, nie przekazując prokuratorowi generalnemu ważnego ostrzeżenia o piramidzie finansowej. Jestem przekonany, że z wątkiem układu personalnego PiS-owskich prokuratorów z Gdańska związana jest moja bezprawna inwigilacja Pegasusem. Przecież to w obrębie prokuratury w Gdańsku, winnej rozrostowi Amber Gold, po kilku latach przeprowadzono za 20 mln zł ogromną operację inwigilacyjną – mnie i mojego taty.

A po komisji awans, bo w 2019 Koalicja Obywatelska mianuje pana szefem sztabu wyborczego. Czyli ta postpolityka jednak ma dobre strony.
– Ale ja to odbieram jako docenienie mojej pracy, także dobrego wyniku w wyborach europejskich. Z ostatniego miejsca zrobiłem najlepszy spośród wszystkich startujących z ostatnich miejsc. Prowadziliśmy wiele spotkań w terenie, zwracaliśmy uwagę na drożyznę, brakujące leki, na brak budowy dróg. Terenowe akcje trwały cały lipiec, byłem wtedy już podsłuchiwany i niedługo rozpoczęła się destrukcja pracy naszego sztabu przez TVP, a w sierpniu cała kampania oczerniająca, zbudowana na sfałszowanych materiałach.

W pewnym momencie musiałem ograniczyć kampanię, bo intensywność materiałów w telewizji rządowej opartych na kłamstwie była tak duża, że od rana do nocy mogła pani czytać paski, jakim to złym człowiekiem jest Krzysztof Brejza.

Wytoczył pan proces o naruszenie dóbr osobistych Samuelowi Pereirze, dziennikarzowi TVP. I jak poszło?
– Złożył wniosek o wyłączenie sędziego, bo mimo że sędzia jest z neo-KRS, zachowuje się zgodnie z procedurą i nie pozwala sobie na wprowadzanie polityki do sprawy. Ten pracownik TVP był autorem paszkwili na mnie, m.in. opublikował zafałszowaną wykradzioną Pegasusem korespondencję, ale mam kilkanaście podobnych procesów, które bazowały na tych kłamstwach i oszczerstwach. Jestem pewien, że wszystko wyświetlimy i wszystkich ludzi w to zaangażowanych pociągniemy do odpowiedzialności.

Przedziwnie toczy się sprawa przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu – w pierwszej instancji rzeczniczka bydgoskiego sądu okręgowego, nominowana przez neo-KRS Sylwia Suska-Obidowska, oddaliła nasz pozew bez rozprawy, w trybie tajnym, z pominięciem dowodów. Ale wygraliśmy z Kaczyńskim apelację – gdański sąd apelacyjny, też złożony z sędziów nowej KRS, unieważnił całe postępowanie, uznając, że błędy w procedurze były tak poważne, że odebrano mi elementarne prawo do obrony. Przypomnę, że sprawa dotyczy słów Kaczyńskiego o użyciu Pegasusa w trakcie kampanii wyborczej.

Zorientował się pan, jak mówi, że Pegasus ruszył podczas kampanii wyborczej. Co się czuje, gdy przychodzi myśl, że jest się obiektem inwigilacji?
– To dobre pytanie, bo intensywność tych materiałów szkalujących była ogromna, ale już wtedy miałem przeświadczenie, że część jest przekręcona, zmieniona, ale może pochodzić z mojego telefonu, nie wiedziałem jednak oczywiście, że to Pegasus. Kiedy zaczęliśmy szykować pierwszą sprawę przeciwko TVP o publikację sfałszowanej korespondencji, sięgnąłem do dawnego telefonu i okazało się, że treści z telefonu publikowano w formie zmienionej, poprzekręcanej, co istotne dla aferalnego kontekstu. Zmiksowano kilkanaście SMS-ów wysłanych do różnych osób w różnym czasie do formy nieistniejącego maila i takie rzeczy publikowała TVP, uderzając w sztab wyborczy. Zastanawiałem się, skąd telewizja rządowa i prokuratura miały takie stare treści, których użyto do obróbki, z moich telefonów. Miałem wtedy przebłysk, że to może być inwigilacja. No i potwierdziło się w grudniu 2021 roku, kiedy pan John Scott-Railton, ekspert instytucji Citizen Lab, ujawnił, że doszło do włamań i telefon sztabu wyborczego był podsłuchiwany. No, to było wstrząsające. Człowiek ma poczucie, jakby został sam, jakby instytucje państwa nie tylko go porzuciły, ale także ograbiły z tożsamości, z prywatności. Ale też poczułem ulgę, że już wiem, co się stało, i mogę iść dalej.

Myśli pan, że Pegasus zdecydował o wygranej PiS? Że informacje z podsłuchiwania waszego sztabu przełożyły się na zwycięstwo prawicy?
– Miały wpływ na wynik wyborów, ale nikt nie jest w stanie ocenić, jak bardzo wpłynęły. Natomiast praca sztabu została rozbita, bo wszelkie zamierzenia, taktyka, strategia, plany sztabu w całości zostały przekazane przeciwnikowi. Sztab wyborczy podlegał permanentnemu monitoringowi służb podlegających PiS. Co ciekawe, inwigilacja zakończyła się kilka dni po wyborach.

Co oznacza, że pana telefon został zhakowany trzydzieści trzy razy?
– Chodzi o ponowne wgranie systemu Pegasus po resecie mojego urządzenia, czyli w momentach, kiedy wyładował mi się telefon, padła bateria, a to oznacza, że Pegasus był ze mną non stop przez pół roku, od kwietnia 2019 roku. I wszelkie komunikatory, dane biometryczne, strony, dokumenty, zdjęcia, wideo, odwiedzane strony internetowe, przychodzące pliki – program zaciągał to wszystko. Kiedy telefon się rozładował, to było kolejne włamanie, żeby Pegasusa postawić na nowo.

A teraz, gdy rozmawiamy, to czy jest jakaś możliwość, by był pan na podsłuchu?
– Nie sądzę, choć wszystko jest możliwe. Ci ludzie nie mają dziś nic do stracenia, grozi im odpowiedzialność karna. Wiem, że ludzie, którzy mnie szpiegowali, uciekli ze służb, część jest obecnie w jednej ze spółek państwa na bardzo dobrze opłacanych etatach, ale nie uciekną, bo w przyszłości niezależna prokuratura zbada okoliczności ich działań, ale i okoliczności uzyskania korzyści, jaką są wysoko płatne „fuchy" w spółkach państwowych.

Poznał pan ich nazwiska?
– Poznałem, każde. I przyjdzie chwila, gdy zostaną ujawnione, naświetlę je za każde przekroczenie prawa i nadużycie.

Kiedy?
– Gdy powstanie niezależna prokuratura. Bardzo dużo udało się ustalić działaniami oficjalnymi i nieoficjalnymi, stąd wiem, że oni wiedzą, co zrobili, i dlatego uciekli. Jest to najbardziej perfidna, przestrzelona i oparta na kłamstwach operacja w historii polskich służb specjalnych, kosztująca 20 mln zł.

Tymczasem pana ojcu w styczniu tego roku postawiono zarzuty w związku z tzw. aferą fakturową w inowrocławskim urzędzie miasta, którą cztery lata temu sam wykrył i zgłosił prokuraturze. Jak wyglądają rodzinne relacje, gdy rodzina podlega w zasadzie stałej opresji władz?
– Mamy z tatą bardzo dobre relacje, obaj wiemy, że są to zarzuty słabe, odwetowe, zresztą tata dwukrotnie składał zawiadomienia, a sprawa jest stara, z 2017 roku. I okazało się, że agenci CBA dziwnym trafem „pominęli" w kontroli lewe faktury wystawiane przez działaczkę PiS. A w tatę uderzono dla przykrycia afery Pegasusa. W styczniu tego roku został wezwany akurat w dniu, kiedy pozwałem Jarosława Kaczyńskiego. Było tak: o szóstej rano pojawił się artykuł w Onecie, że pozywamy prezesa za insynuacje, a w południe w gabinecie taty pojawiają się agenci CBA z wezwaniem do prokuratury. Zarzuty opierają się np. na tym, że jakaś osoba bez wiedzy ojca wydrukowała ulotki za kilkaset złotych. Jestem pewien, że jak opinia publiczna pozna wszelkie okoliczności tej sprawy, to będzie zbulwersowana tym, co próbowano mu zrobić, bo to był i jest atak przez rodzinę. Szczuto na mnie i byłem atakowany, ale skoro widzieli, że to nie przynosi efektów, to zaczęli atakować ojca. Atakowana była także moja mama, w głównym wydaniu „Wiadomości" atakowano moją żonę. To było także dobrze sprofilowane, żeby człowieka skruszyć.

I jak to się znosi w rodzinie, wśród znajomych?
– Mam szczęście, bo mam paczkę wspaniałych znajomych ze studiów, w Warszawie. Spotykamy się w wolnym czasie, byli dla nas oparciem. Mam też przyjaciół w Inowrocławiu, którzy widzieli perfidię tego wszystkiego, i mogłem z nimi o tym szczerze porozmawiać, być wysłuchanym. To są ludzie, którzy mnie znają i – co jest dla mnie budujące – nie zwątpili we mnie w tym kryzysie.

A dzieci, są przecież w wieku szkolnym.
– TVP rozpętała przeciwko mnie kampanię hejterską w pięciuset materiałach, więc zaczęły się pogróżki dotyczące ich skrzywdzenia. Napisał do mnie człowiek, żebym uważał, bo wie, do której szkoły chodzą moje dzieci. Nie ukrywam, że sama policja zaproponowała nam ochronę i ją dostaliśmy. I to paradoks, że państwo PiS kampanią hejtu pobudzało ludzi słabych, podatnych na manipulacje, żeby uwierzyli w te kłamstwa i zrobili krzywdę moim dzieciom, a z drugiej strony w tym samym czasie państwo PiS dało mojej rodzinie ochronę policyjną, żeby moim dzieciom ktoś krzywdy nie zrobił. Rozmawialiśmy z dziećmi, bardzo to przeżyły.

Ale to działa przeciwko PiS, bo gdy w 2018 roku TVP zohydzała władze Inowrocławia, to mój ojciec w wyborach prezydenckich uzyskał swój najlepszy historyczny wynik, blisko 60 proc. W dniu wyborów widziałem wzrost frekwencji i było to dla mnie zastanawiające, co się dzieje, ale nie sądziłem, że ojciec wygra z taką przewagą, i to było piękne. Inowrocławianie wychodzili na Strajki Kobiet, w obronie wolnych sądów, w obronie mediów, bo Kujawiacy to ludzie, którym kręgosłupów się nie da łatwo połamać.

Wiem, że te działania to zemsta na ojcu za mnie, bo bardzo ściśle wiąże się to z moją pracą w komisji śledczej Amber Gold i odkrywaniem kolejnych afer. Ujawniłem nagrody Beaty Szydło, doprowadzając do spadku poparcia dla PiS o kilka punktów. Działałem skutecznie w samej komisji. To nie przypadek, że ta wielka operacja Pegasusem była organizowana przez gdańskie służby i prokuraturę, bo gdy badałem jej błędy, to oni prowadzili operację przeciwko mnie z użyciem cyberbroni. Ta historia wróci, za rok będzie ujawniona w komisji śledczej.

Sąd w Gdańsku unieważnił wyrok bydgoskiego w sprawie, którą wytoczył pan Kaczyńskiemu. Wierzy pan, że doprowadzi do przesłuchania prezesa PiS?
– Tak. Wierzę, że spotkamy się z prezesem Kaczyńskim na sali sądowej.

W sprawach sądowych pana adwokatem jest żona...
– Spadło na nią mnóstwo rzeczy. Prowadzi kilkanaście spraw, poświęciła dużą część swojej pracy, czasu, energii. Działamy w trybie, można powiedzieć, wojennym, czasem się z tego śmiejemy.

Nie odpuszczamy jednak tej „mafijnej bandzie", bo tak ich nazywamy. Czasami czujemy się jak w mieszance „Procesu" Kafki, „1984" Orwella i „Ściganego" Andrew Davisa.

To co pana stymuluje?
– Mamy coraz większą wiedzę. Z żoną bardzo dużo rozmawiamy i pozytywnie

„Ludzie, którzy mnie szpiegowali, uciekli ze służb, są obecnie w jednej ze spółek państwa"

„Państwo PiS uderzyło we mnie kampanią hejtu i dało mi ochronę, by ta kampania mnie nie zabiła"

eprasa.pl 9f18aadd43

patrzymy na przyszłość tej sprawy. Nie mogę się doczekać, kiedy niezależna prokuratura, niezależne służby i niezależna komisja odsłonią kulisy tej perfidnej operacji.

A jeśli opozycji nie uda się wygrać wyborów?
– Nie dopuszczam takiej możliwości. Uważam, że ta masa krytyczna tych kłamstw, tej perfidii została tak dalece przekroczona, że jest tylko jedna możliwość.

A jak pan mija członków PiS tu, gdzie jesteśmy, na korytarzach sejmowych, to jak pan się zachowuje?
– Nie mam żadnych emocji. Czy to szeregowy poseł PiS, czy to prezes Kaczyński, wszyscy biorą udział w budowaniu państwa paramafijnego. Każda z tych osób, niezależnie od tego, czy się do mnie uśmiechnie, czy nie, przykłada do tego rękę.

A czym się kieruje Kaczyński?
– Myślę, że to jakieś głębokie frustracje życiowe nagromadzone z wielu lat. Może niezrealizowane rzeczy. Frustracje są w ogóle w życiu bardzo złym motorem napędowym, bo toczą się na kole złych czynów, a przenoszone na struktury państwa... to przerażające.

Czy w takiej opresji można znaleźć pozytywy, jakieś sposoby na odreagowanie?
– Ćwiczę, słucham muzyki. Mam do siebie jeden żal, bo moja mama jest kompozytorem, tworzy piękną muzykę, i nie mogę sobie darować, że nie skończyłem szkoły muzycznej. Jako młody chłopak ukończyłem kilka klas i dziś mi tego brakuje. Chciałbym mieć możliwość przelewania emocji w muzykę, a kocham klasyczną i jazz.

Słyszał pan, że w serwisie Spotify najchętniej słuchanym polskim artystą jest Fryderyk Chopin?
– Moją ulubioną muzyką jest brazylijska. Kocham bossa novę; jaki to paradoks, że Antônio Carlos Jobim czerpie też z Chopina, bo muzykę Chopina adaptował np. inny brazylijski mistrz – Baden Powell. Muzyka daje mi wytchnienie i ogromną moc.

Jednym z warunków wygranej przez opozycję jest jej zjednoczenie. Uda się?
– W tej konstelacji i w tych warunkach państwa opozycja powinna iść w jednym bloku wyborczym, i trzeba się wznieść poza antagonizmy, poza osobiste ambicje, schować je do szafy. Nie może zdarzyć się tak jak w 2015 roku, że 7,5 proc. głosów oddanych na SLD i Lewicę przetransferowane zostało na Zjednoczoną Prawicę. I dzięki temu, że Lewica nie przekroczyła progu wyborczego, PiS D'Hondtem, czyli bardzo brutalną ordynacją, uzyskał samodzielną większość na sali sejmowej. Trzeba iść razem.

Włodzimierz Czarzasty wzniesie się ponad ambicje?
– Wierzę w mądrość polityków opozycji i w umiejętność liczenia. Wierzę w to, że po ośmiu latach rządów PiS wszyscy na opozycji dostrzegają, że albo teraz, albo potrwa to 20 czy 30 lat.

A powrót Donalda Tuska do Polski? Co pan widzi?
– Podniósł Platformę Obywatelską z 13 proc., ale proszę zauważyć, jaki kombajn nienawiści jest wobec niego odpalany. Pamiętam, jak próbowano zniszczyć jego syna na komisji Amber Gold, jak brudne metody zastosowała wtedy przewodnicząca Małgorzata Wassermann, odczytując pomówienia kryminalisty, które były wcześniej zweryfikowane negatywnie przez prokuraturę, i ona o tym wiedziała. Ale była transmisja komisji na żywo i zadawała Michałowi Tuskowi pytania o to, czego w życiu nie zrobił, chociaż dobrze wiedziała, że ten kryminalista, który go pomawiał, kłamał, bo w tym czasie siedział w więzieniu. Dla mnie to był absurd. W ogóle to, co państwo PiS wyprawia z rodziną Tuska, to też odpowiedź na to, kogo oni najbardziej się boją. Uderzają w najsilniejszego. A on zdziera buty, jeździ po całej Polsce, spotyka się z ludźmi na spotkaniach otwartych, gdzie nie ma kordonu ochroniarzy i policjantów, ludzie pytają o wszystko.

W sondażu przeprowadzonym przez IPSOS w 2019 roku na pytanie: „Czy kobieta powinna mieć prawo do przerwania ciąży do 12. tygodnia jej trwania?", twierdząco odpowiedziało 53 proc. respondentów. Może warto w końcu posłuchać w tej sprawie obywatelek i obywateli?
– Ja zmieniłem zdanie. Kiedyś byłem zwolennikiem kompromisu aborcyjnego, ale politycy PiS skutecznie pokazali mi, o co chodzi, że nie zależy im na ochronie życia, tylko na grze wartościami. Potrafią człowieka niszczyć kłamstwami, szykanować, szczuć na niego. Potrafią stworzyć system rządowych mediów doprowadzających do śmierci Pawła Adamowicza i oczywiście niewinnych ofiar wyroku TK w sprawie aborcji. Strajk Kobiet także pokazał tę obłudę. Interweniowałem ostatnio i pytałem ministra zdrowia, co obecnie z bliźniakami, bo teraz sytuacja mnogich ciąż jest skandaliczna. Kiedyś można było terminować jednego chorego bliźniaka, by uratować zdrowego, a obecnie Ministerstwo Zdrowia przyznaje, że nie można tego zrobić, więc de facto system jest stworzony tak, że zdrowe dziecko jest skazane na śmierć. Powiem pani, że stałem się zwolennikiem prawa do aborcji, bo uważam, że niemożliwy jest powrót do kompromisu, a to prawo do aborcji jest wynikiem szacunku do kobiety.

> „Gdy odkrywasz inwigilację, masz poczucie, jakbyś został sam, jakby instytucje państwa ograbiły cię z prywatności"

A jakie wartości płyną ze słów Kaczyńskiego odnośnie do niskiej dzietności w Polsce, cytuję: „Dzieci jest mało, bo kobiety piją".
– A powiem pani, że dobrze, że Kaczyński jeździ po Polsce i pokazuje prawdziwą twarz. To jest debata Tuska i Kaczyńskiego, i jeden spotyka się z ludźmi na otwartych spotkaniach, mówi racjonalnie, a z drugiej strony mamy człowieka, który spotyka się z aparatem partyjnym i opowiada banialuki. Niech ludzie to usłyszą.

To także ważne w kontekście wojny w Ukrainie. Bo Ukraińcy biją się z Putinem, by uciec przed rusokonserwatyzmem, chcą dołączyć do państw liberalno-demokratycznych, a politycy PiS robią wszystko, żeby wymodelować Polskę na wzór właśnie rusokonserwatywny, czyli scentralizowany, ze zniszczonym trójpodziałem władzy, źle rozumianym konserwatyzmem w wersji rosyjskiej, czyli z nienawiścią do środowisk LGBT, kobiet, wolnych mediów.

Ofiara Ukraińców jest dojmująca, ale ta przewaga technologiczno-jakościowa uzbrojenia, które idzie z Zachodu, zdecyduje o tym, że Ukraina tę wojnę wygra. Te gliniane nogi Rosji są już mocno poobijane, przyjdzie taki moment, gdy ta oligarchia rosyjska sama dla siebie wybierze inną drogę.

Bogu dziękować, że to Joe Biden został prezydentem Stanów Zjednoczonych, bo Trump nie poszedłby na konfrontację z Putinem. Pozostawiłby Ukrainę na pastwę losu. I miejmy nadzieję, że Biden tam zostanie, a u nas nastąpi zmiana na władzę prozachodnią. ●

wyborcza | magazyn **wyborczej** WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebioda, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

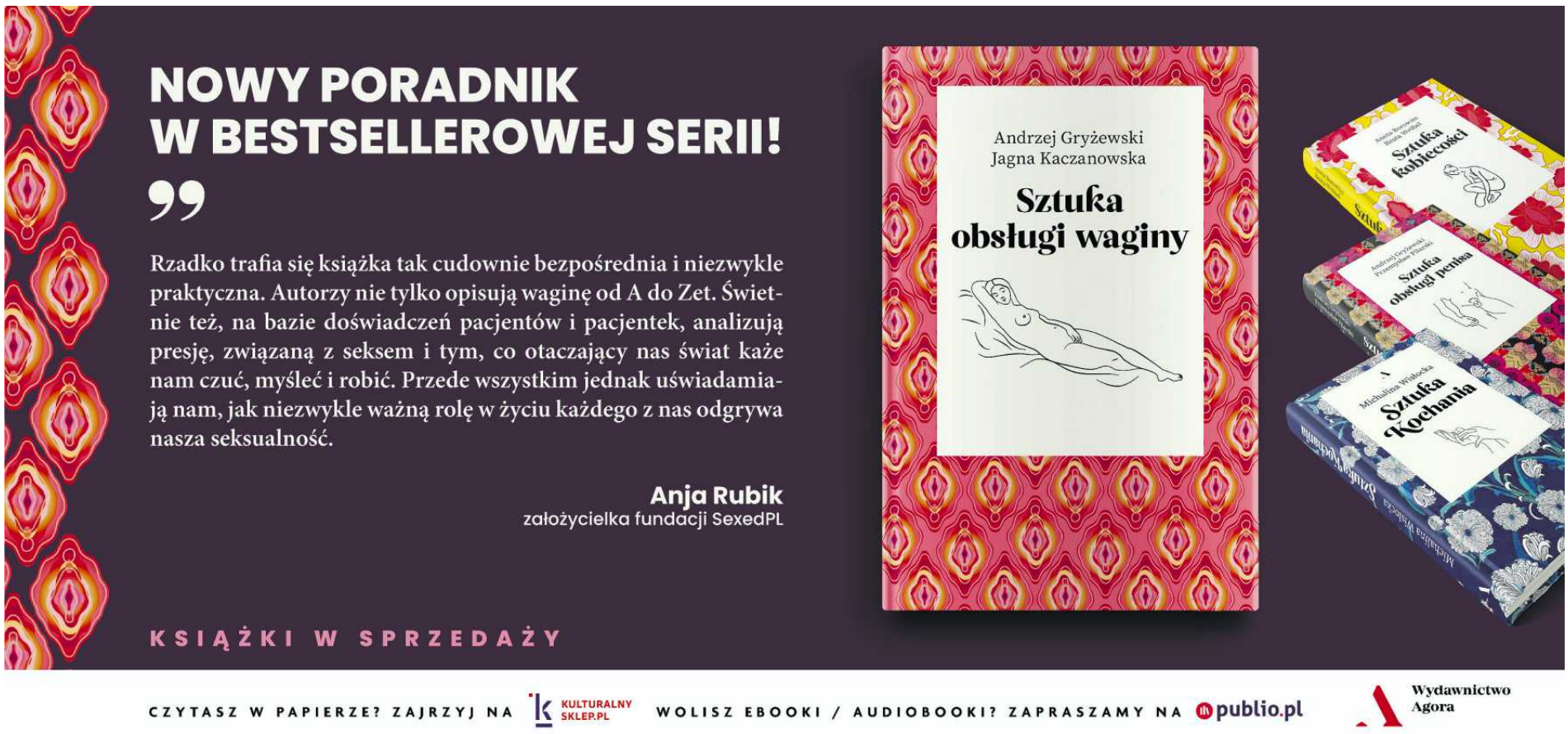

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34198375
1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

ŚWIAT ZWIERZĄT, CZASAMI LUDZI

WYKRAKANA INTELIGENCJA

Nie chcesz mieć rano brudnego samochodu? To nie wyrzucaj jedzenia do śmietnika.

Stanisław Łubieński

FOT. SHUTTERSTOCK

Ptaki krukowate budzą mieszane uczucia. Są głośne, śmiałe i bardzo dobrze się odnajdują w naszym sąsiedztwie. Nie mam nic przeciwko, cieszę się, że mogę obserwować ich żywą inteligencję w działaniu. W pewnym sensie trwa właśnie ich sezon, wielkich czarnych stad. Pod koniec krótkiego, listopadowego dnia niebo nad polskimi miastami i wsiami zapełniają kraczące chmary. Kiedy zacznie się ściemniać, ptaki zapadną w korony drzew na cmentarzach, w alejach i parkach, wszędzie tam, gdzie wysoko nad ziemią będą mogły przeczekać do świtu. Na noclegowisku nigdy nie jest cicho, panuje gwar, rwetes, tak jakby ptaki dzieliły się wrażeniami z całego dnia. Kto wie, może faktycznie tak jest?

Odgłosy, które krukowate wydają na noclegowiskach, są bardzo zróżnicowane i znacznie wykraczają poza stereotypowe „kra, kra". Dzięki pionierskim badaniom prof. Johna Marzluffa z Uniwersytetu Waszyngtońskiego wiemy, że młode, jeszcze niesparowane kruki podczas takich zgrupowań przekazują sobie informacje na temat żerowisk. Zaradne osobniki rekrutują do swojej bandy kolejnych członków i rano wszyscy razem odlatują we wspólnym kierunku.

Opublikowane w 2003 roku, pomysłowe badanie wykazało, że ptaki nocujące blisko siebie miały swoje prywatne tematy, którymi nie dzieliły się z całym stadem. Można powiedzieć, że toczyły rozmowy w kuluarach. Naukowcy faszerowali owcze zwłoki różnokolorowymi, plastikowymi koralikami, a później znajdowali je w odchodach pod drzewami, gdzie namawiały się kruki. Pierwszy koralik wyznaczał miejsce, w którym nocował osobnik, który znalazł padlinę. Jeżeli padlina była blisko noclegowiska, co noc grupa powiększała się o kilka ptaków, a obszar, na którym znajdowano koraliki, poszerzał się.

Język krukowatych może być złożony. Składa się nie tylko z odgłosów, ale też z mowy ciała. Ich aparat artykulacyjny jest na tyle sprawny, że niektóre gatunki potrafią naśladować ludzką mowę, miauczenie kota czy różne odgłosy otoczenia. Na warszawskich Młocinach dwukrotnie spotkałem sójkę skrzypiącą jak zardzewiała furtka. Naśladownictwo to naśladownictwo, ptaki raczej nie rozumieją, co po nas powtarzają, ale ich własny język składa się z setek odgłosów o różnej wysokości i mechanice. Amerykański biolog Bernd Heinrich w jednej ze swoich książek opisuje, jak hodowane przez niego kruki w swoim zwyczajnym repertuarze miały aż siedemnaście zawołań. Było wśród nich np. „głuche skomlenie", „nosowe trąbienie" i „głośne wrzaski proszalne". Nie tylko typowe ochrypłe kraknięcia.

Ptaki nocujące blisko siebie mają swoje prywatne tematy, którymi nie dzielą się z całym stadem

Wróćmy na noclegowisko – w polskich parkach nie nocują kruki, chociaż dla wielu z nas każdy czarny ptak to „kruk". Większość czarnej chmary stanowią gawrony, ptaki, które przylatują tu na zimę ze wschodu i północy, w tym czasie nasze ptaki przenoszą się na zachód. Miejsce zajmowane na noclegowisku jest odbiciem pozycji w stadzie. Pierwsze przylatują najbardziej zaradne gawrony – to one zajmą najlepsze miejsca w centrum stada, na wysokich gałęziach. Później dołączą mniej przedsiębiorcze ptaki, które potrzebowały więcej czasu, by się dobrze najeść. One rozsiądą się niżej, często na skraju grupy, gdzie łatwiej paść ofiarą drapieżników. Razem z gawronami często nocują kawki.

Wrony siwe mogą mieszać się w stadzie z kuzynami, ale często nocują osobno, w bardziej luźnych skupiskach. Podobnie jak w przypadku kruków to często młode ptaki, które nie mają jeszcze partnerów i swojego terytorium. Z kolei dorosłe ptaki trzymają się w swoim rewirze przez cały rok. Na moim podwórku mieszka para wron, która nocuje prawie zawsze na wysokim wiązie przy wejściu do klatki. Każdy, kto zadziera czasem głowę, wie, że nie jest to najszczęśliwsze miejsce, by zaparkować samochód. Ptaki oczywiście przesadnie się nie zastanawiają, kiedy i na co defekują, i jest to jeden z powodów, dla których nie cieszą się przesadną sympatią wielu mieszkańców miast.

Człowiek jest apodyktyczny, oczekuje, że cała przyroda się mu podporządkuje. Że nie będzie stwarzać problemów, że będzie potulna i posłuszna, że będzie się zachowywała cicho, czysto i grzecznie. Tymczasem wrony i inne ptaki średnio rozumieją nasze standardy estetyczne i higieniczne, wydaje się, że nie bardzo podzielają też kult czystej karoserii. Nie rozumieją, że nie powinny zostawiać kleksów na ławkach w parku i że konsekwencje mogą być dla nich bardzo poważne – ludzie gotowi są niszczyć ich gniazda albo straszyć sokolniczymi ptakami.

Względnie nowy obszar konfliktu to śmieci. Regularnie ktoś mi się skarży, że wrony strasznie śmiecą. Oczekiwanie, by wrony rozumiały ideę śmietnika i respektowały jego przeznaczenie, a także sposoby użytkowania, wydaje mi się odrobinę infantylne, ale zastanówmy się, kto tu jest winny? Naturalnie rozrzucone odpadki, opakowania i worki z psimi kupami to również krajobraz mojego parku. Ale ostatecznie, kto produkuje te śmieci i kto przynosi je do parków? Przyjrzałem się zawartości śmietników i trudno mi pojąć, dlaczego trafiły tam opakowania po daniach na wynos, resztki kuchenne, paczki po ciastkach czy czipsach z resztkami jedzenia w środku. Dodatkowo część kubłów była szczelnie wypchana workami ze śmieciami z czyjegoś domu.

Wrony najchętniej plądrują kubły w letnie poranki. Nocami w parku przesiaduje wiele osób, a wiele przesiadujących osób to wiele apetycznych śmieci. Wrony z pewnością nauczyły się, że w niektóre dni przychodzą do parków służby sprzątające, trzeba się więc uwinąć, zanim jedzenie zostanie wywiezione. Jeden ptak siada na brzegu kubła i wyciąga śmieć za śmieciem, dookoła siedzą inne osobniki, które dokonują inspekcji wyrzucanych przedmiotów. Jeżeli odpadki leżą popakowane w worki, to bez zbędnych ceregieli dziurawią je i dostają się do wnętrza. Dlaczego robią przy tym taki bałagan? Myślę, że trochę niechcący. W ich języku – mimo dużych zdolności artykulacyjnych – raczej nie istnieje pojęcie „bałaganu".

Z wypchanym śmietnikiem jest trochę jak z wypchaną torebką, żeby dostać się do czegoś na spodzie, trzeba najpierw wszystko wyciągnąć. Nie można też wykluczyć, że dla wron wyrzucanie śmieci to też forma zabawy. To ciekawskie ptaki, lubią się przyglądać nowym przedmiotom, może nawet przypominają w jakiś sposób dzieci odpakowujące prezenty? Wroni dziób, chociaż wydaje się dość brutalnym skrzyżowaniem młotka i nożyczek, jest zarazem silnie unerwiony. Ptasie dzioby to równocześnie dłonie, usta i zęby. Badanie przedmiotów wyciąganych z kubłów musi być dla wron zwyczajnie ciekawe.

Skąd zatem nasze oczekiwanie, że ptaki będą omijać śmietniki, a skorzystają grzecznie z karmnika? Wydaje się, że to my powinniśmy połączyć te niezbyt oddalone od siebie kropki – dla silnego, inteligentnego ptaka kubeł na śmieci to niewysychające źródło pożywienia. Jak zaradzić plądrowaniu śmietników przez wrony? W Holandii widziałem pomysły antymewowe. Były to blaszane nakładki zmniejszające światło kubła, a ich pochyła, gładka powierzchnia utrudniała siadanie na skraju i sięganie po odpadki. Kolejne wyjście to oczywiście pokrywki czy klapy na śmietniki, ale wydaje się tylko kwestią czasu, kiedy ptaki nauczą się dobierać do wnętrza. Cóż, najlepsze są najprostsze rozwiązania – im mniej jedzenia pozostawimy w śmietniku, tym rzadziej ptaki będą do nich zaglądać.

eprasa.pl 9f18aadd43

Adam Michnik poleca

TAK NAS KUSI ZŁO

Faszyzm wabił przywództwem, komunizm siłą nadziei

RALF DAHRENDORF*

• **Wiec poparcia dla Hitlera z udziałem niemieckich akademików, Lipsk, listopad 1933 r. Pośrodku na podium siedzi Martin Heidegger, wówczas rektor uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim.** FOT. BE&W

Faszyzm wabił więzią i przywództwem

Wielkimi próbami XX wieku były próby faszyzmu, przede wszystkim niemieckiego narodowego socjalizmu, i komunizmu, zwłaszcza w formie rosyjskiego komunizmu sowieckiego, czyli bolszewizmu. Obie oznaczały pokusy wyzbycia się wolności.

Słowo nie jest wybrane przypadkowo. „Pojęcie »pokusy« wskazuje na irracjonalny element kapitulacji przed narodowym socjalizmem" – pisze Fritz Stern [historyk]. Ma na myśli „kapitulację" w sensie „surrender", a więc mieszankę poddania się i oddania. Wielu w ten sam sposób popadło w komunizm. Polityka zniewolenia była wabiąca. Nie napędzała jej tylko opresja, miała swój własny urok. Na czym ten urok polegał, to jest pytanie o doniosłym znaczeniu.

Fritz Stern odpowiedział na to pytanie w swoim wielkim eseju „Narodowy socjalizm jako pokusa". „Pokusa 1933 r. polegała na tym, żeby uwierzyć w Hitlera jako zbawcę, a więc w odrodzenie narodowe". Fritz dodaje jeszcze „wiarę w cud", w „boską opatrzność", w ogóle „niezwykle pociągający" „religijno-mistyczny element w narodowym socjalizmie". Następnie mówi o intelektualistach. Niektórzy oparli się pokusie, zwalczali narodowy socjalizm, ostrzegali albo protestowali. Inni uwierzyli w narodowy socjalizm, ale później odwołali to w słowach i czynach.

„Ci dostarczają dowodu mojego twierdzenia, że narodowy socjalizm był wielką pokusą; określony rodzaj idealistów, podporządkowując się ruchowi, mógł się zidentyfikować z narodem, rozwinąć w sobie poczucie współprzynależności, które zagubiło się w Republice Weimarskiej, i wziąć odpowiedzialność za sprawę, która wymagała ofiary – a więc podporządkowania nie dla kariery. Ostrożni ulegali pokusie z zastrzeżeniami, idealiści, jeśli stawali się narodowymi socjalistami, poddawali się urokowi z powodu namiętności".

Mamy tu wymienione elementy pokusy, jaką stanowił narodowy socjalizm. Chodzi o trzy elementy.

Na pierwszy wskazuje wyrażenie „poczucie współprzynależności"; chodzi o poszukiwanie więzi. Stern przytacza Hugona von Hofmannsthala, jego wyjaśnienie sensu „rewolucji konserwatywnej": „Nie szukali wolności, szukali więzi". Naziści obiecywali odpowiedzieć na tę potrzebę.

Późniejszego czytelnika może zaskakiwać spostrzeżenie, że poczucie współprzynależności „zagubiło się w Republice Weimarskiej". Czyż społeczeństwo niemieckie nie tkwiło w sztywnych, niemal stanowych strukturach? Czyż nie było odległe od pozbawiającego społecznych więzi indywidualizmu krajów anglosaskich? Tymczasem istotnie, utrata społecznych więzi była jednym z tematów debat poświęconych sukcesom wyborczym narodowych socjalistów.

Theodor Geiger [socjolog] wierzy jeszcze (1932), że rozczarowanie szerokich warstw biegiem spraw gospodarczych jest na rękę takiej partii – NSDAP – której „mimo gospodarczych determinant epoki" może się „udać przezwyciężyć ekonomiczne uwarunkowania warstw życia gospodarczego przez jeszcze silniejsze więzi innego rodzaju".

Hannah Arendt daje już (1951) ogólne wyjaśnienie totalitaryzmu na podstawie „wysoce zatomizowanego społeczeństwa masowego", w którym położenie ludzi – mówi: „ludzi masowych" – charakteryzuje „izolacja i brak normalnych związków społecznych".

Jeśli mowa inauguracyjna Heideggera [jako rektora uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim, 1933 r.] ma jakiś temat, jest nim więź, w przeciwieństwie do wolności. Dla fryburskiego rektora wolność akademicka była „nieprawdziwa, bo tylko negująca". „Pojęcie wolności studenta niemieckiego zostaje teraz doprowadzone do swej prawdy. Z niej rozwiną się w przyszłości więź i służba niemieckich studentów".

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

Następnie Heidegger omawia trzy organizacyjne formy więzi, sięgając do łagodnie brzmiących, platońskich formuł: „więzi wspólnoty narodowej", zawiązywanej przez „służbę pracy", „więzi honoru i losu narodu", zawiązywanej przez „służbę wojskową", i „więzi duchowego zadania narodu niemieckiego", zawiązywanej przez „służbę wiedzy".

„Te trzy więzi – PRZEZ naród, z losem państwa, w zadaniu duchowym – są w niemieckim charakterze RÓWNIE ŹRÓDŁOWE. Trzy wynikające stąd służby – pracy, obrony i wiedzy – są równie konieczne i równej rangi".

Może nie tego akurat chcieli szukający więzi ludzie świata opisywanego przez Arendt i innych; widać tu jednak metody, którymi narodowy socjalizm obiecywał budować formy solidarności. Miały one z jednej strony wytworzyć „wspólnotę", w ścisłym sensie Ferdinanda Tönniesa [socjolog]. Należały do nich jednostki względnie abstrakcyjne, takie jak wspólnota narodowa, ale również bardzo konkretne, jak – nie przypadkiem tak nazwane – „formacje", należące do „ruchu": gromada, chorągiew, szczep. Więzi te miały jednak charakter tak samo sztuczny jak leżąca u ich podstawy ideologia krwi i ziemi.

Z drugiej strony sugestię więzi stwarzała „totalna mobilizacja", zdyscyplinowana masa, gigantomańskie parady i inscenizacje Alberta Speera. Dla wielu to właśnie było pokusą, czy czuli się przedtem zatomizowani i zagubieni, czy nie. Zresztą było to też pokusą dla tych intelektualistów, których jednocześnie zadowalały estetyzujące wizje porządku totalnego („Der Arbeiter") i kulturowy pesymizm niemieckiej tradycji („Der Rembrandtdeutsche").

Drugą pokusą faszyzmu i narodowego socjalizmu było przywództwo. Rozpatrywane ruchy są nie do pomyślenia bez „duce", „caudilla", „führera". Jest rzeczą uderzającą, że żadna odmiana faszyzmu nie musiała rozwiązywać kwestii następstwa; w żadnym z przypadków nie udałoby się też znaleźć rozwiązania. Również na tym polega różnica w stosunku do komunizmu.

Politolog Franz Neumann w książce „Behemoth" (1942) jako pierwszy wysunął tezę o narodowym socjalizmie jako nie-państwie, jako formie władzy bez teorii i bez zasady porządkującej, którą można by zastosować w analogicznej sytuacji. „Poza charyzmatyczną władzą przywódcy nie ma żadnej władzy koordynującej władze, żadnego miejsca, w którym można ustanowić kompromis między nimi na jakiejś powszechnie obowiązującej podstawie".

„Władzę charyzmatyczną" Hitlera opisano i zanalizowano tysiące razy. Była związana z epoką. Kto o dwa pokolenia później widzi w filmie albo w telewizji słynne mowy, często nie jest w stanie zrozumieć ich ówczesnego oddziaływania. W swej treści ta charyzmatyczna władza była od początku apokaliptyczna.

Oto przywódca jedyny w swoim rodzaju i brak jest przekonującej reguły następstwa; znaczyło to, że po nim może przyjść tylko potop. Jean Baechler [socjolog] w przenikliwej rozprawce opisał „śmierć w Jonestown", czyli zbiorowe samobójstwo zwolenników tzw. wielebnego Jonesa w Gujanie [1978], w taki sposób, że można z tego wyczytać historię Niemiec hitlerowskich. Analizę tę potwierdził Joachim Fest, rozważając sprawę „upadku", czyli końca, Hitlera.

(Joachim Fest, „Hitler i upadek Trzeciej Rzeszy", przeł. Mieczysław Dutkiewicz, film Beate Pinkerneil, „Hitler und kein Ende", 2005).

Ale wobec tego, w czym tkwiła pokusa, której źródłem był Hitler, przywódca? Czy była to jakaś „fatal fascination", rodzaj defektu psychicznego? I czemu rozprzestrzenił się on szczególnie w Niemczech?

Takie pytania stawiają sobie historycy, socjologowie i nie tylko oni od dziesiątków lat. Większość szczęśliwie odeszła od koncepcji charakteru narodowego. W ogóle „dusza narodu" nie wnosi wiele do wyjaśnienia zachowań politycznych.

Nie wystarczy też stwierdzić, że Republika Weimarska była demokracją bez demokratów. Ważniejszy już jest fakt, że w niemieckiej historii istniały tylko zadatki – i to ograniczone do określonych regionów – na powstanie świadomego siebie mieszczaństwa, które niepewności życia i nawet nieporządek w dziedzinie ludzkich spraw pojmowało jako szansę. Dla wykształconych mieszczan, nawet i zwłaszcza pełniących wyższe urzędy, wolność ściśle wiązała się z porządkiem, a kiedy „nieporządek" demokracji i gospodarki rynkowej szedł za daleko, mile widziany był ktoś, kto obiecywał przywrócić porządek.

Takie wyjaśnienia pozostają jednak na niepewnym gruncie. Ważniejszy jest trzeci element pokusy narodowego socjalizmu, element przemienienia. Pojęcie „charyzmatycznego" przywódcy samo przecież wskazuje na źródła religijne. W Hitlerze ujrzano „zbawcę", miał on sprawić „cud" i sam chętnie odwoływał się do „opatrzności", w imię której działa. To, co Fritz Stern nazwał „religijno-mistycznym elementem w narodowym socjalizmie", często obserwowano. Wielu mówi o narodowym socjalizmie jako „religii zastępczej".

Już w 1934 roku niewielu było intelektualistów, którzy mogli uchodzić za przekonanych nazistów.
Było już tylko zwykłe posłuszeństwo, u niektórych złożona przysięga, u wielu po prostu strach

U niektórych idealistów wódz i jego reżim w rzeczy samej wywoływali jakiś rodzaj religijnego obłędu. Joseph Goebbels, minister propagandy, był wysokim kapłanem tej fałszywej religii. A popadał w nią niejeden spośród tych, którzy utracili tradycyjną wiarę.

Do owego przemienienia nadawało się zwłaszcza pojęcie narodu. To, że celem polityki ma być narodowa wielkość, a nie dążenie do indywidualnego szczęścia, różniło faszystów od demokratów. Wyobrażenie o wielkości narodu mogło się przy tym stać źródłem upojenia, które pochłania i rozpuszcza wszelkie frustracje.

Zaczęło się to od sprawy względnie konkretnej, od wersalskiego „pokojowego dyktatu", a skończyło na „opóźnionym narodzie", który wreszcie w sobie się odnajduje – a więc na całkiem abstrakcyjnych marzeniach. Państwo narodowe to jedno z wielkich osiągnięć nowoczesności; przez długi czas było jedyną osłoną dla rządów prawa i demokratycznego samookreślenia. Narodowy socjalizm był zaś jego wykolejeniem, przemianą w ideologię represji wewnętrznej i agresji na zewnątrz.

Do tego, żeby zejść na te manowce, dojrzały Niemcy i Włochy. Patos towarzyszący narodowemu socjalizmowi przemawiał do tych, którzy przegapili szanse państwa narodowego, do irracjonalnych pokładów ich świadomości.

Trzeba też powiedzieć o manichejskim myśleniu w kategoriach przyjaciel – wróg i o gloryfikowaniu przemocy. Obietnica więzi, istnienie przywództwa i ideologiczne upiększenia już stanowią pakiet, który może tłumaczyć, czemu niejeden uległ pokusie.

Jeśli jednak przyjrzeć się bliżej, to pakiet dość pusty. Więzi, które obiecuje narodowy socjalizm, to przeważnie tylko hasła uzasadniające totalną mobilizację. Przywództwo nie tworzy żadnego porządku, lecz podobny do sekty orszak na drodze do apokalipsy. Przemienienie i opromienienie narodu i rasy to nie religia, lecz jej imitacja, środek zastępczy. Różne odmiany faszyzmu były tylko opakowaniem; rzeczywistością była naga siła.

Dlatego intelektualiści, którzy ulegli pokusie, przeważnie nie pozostawali przy tym długo. Heidegger po niespełna roku złożył funkcję rektora i wrócił do ezoteryki swojej filozofii bycia. Hannah Arendt, która go kochała, jeszcze w 1946 r. pisała do Jaspersa, że rektor Heidegger, podpisując pismo okólne zakazujące nauczania Husserlowi, wykazał brak charakteru. Co więcej: „Ponieważ wiem, że to pismo i ten podpis o mało nie zabiły [Husserla], muszę uważać Heideggera za potencjalnego mordercę".

20 lat później, w jej mowie gratulacyjnej z okazji 80. urodzin Heideggera, brzmiało to inaczej. „Wszyscy wiemy, że kiedyś również Heidegger uległ pokusie, by zmienić mieszkanie [stanowisko] i »włączyć się« do świata ludzkich spraw". Był to błąd, który po 1945 r. nie wyszedł mu na dobre; ale trwał on tylko dziesięć miesięcy, potem filozof wrócił do swojego „mieszkania". Jest rzeczą „uderzającą i może irytującą", że nie tylko Platon, lecz także Heidegger, oni obaj, gdy wmieszali się w sprawy świata, oparli się na tyranach. Ale jest to tylko „déformation professionelle" filozofa, którego myśl pochodzi nie z bieżącego stulecia, lecz „ze źródeł starożytnych", co sprawia, że owe zbłądzenia w świecie niewiele znaczą.

Osobliwe to słowa żydowskiej przyjaciółki, tyczące się uległości Heideggera wobec faszystowskiej pokusy. Tyczą się one jednak wielu intelektualnych „poległych marcowych" [tych, którzy w 1933 r. przyłączyli się do nazizmu]. Znaczy to przede wszystkim, że już w 1934 r., nie mówiąc o latach 1938 i 1945, niewielu było intelektualistów, którzy mogli uchodzić za przekonanych nazistów. Było już tylko zwykłe posłuszeństwo, u niektórych złożona przysięga, u wielu jednak po prostu strach.

Dla wspomnianego tu nie-państwa z jego toporną ideologią charakterystyczne było raczej towarzyszenie w podróży albo ściślej – oportunizm. W faszystowskich Włoszech i Hiszpanii nie było inaczej. ●

Komunizm wabił więzią i nadzieją

Bolszewizm i faszyzm idą ze sobą w parze, wzajemnie się warunkują, limitują i zwalczają, ale przede wszystkim wyrosły z tego samego gruntu, z wojny; są dziećmi tej samej historii". François Furet, mądry historyk, widzi podłoże totalitaryzmów w I wojnie światowej. Ich duchowe przygotowanie sięga jednak dalej wstecz. Wiąże się z tym, co Nietzsche mógł mieć na myśli, mówiąc: „Bóg umarł". W XIX wieku w miejsce Boga weszła historia, jako siła określająca ludzki los; potem wiek XX przeżywał „folies politiques", szaleństwa polityki, które wynikły z tego podstawienia.

W książce Fureta o „wielkim złudzeniu" chodzi przede wszystkim o komunizm [„Przeszłość pewnego złudzenia. Esej o idei komunistycznej w XX wieku", przeł. Joanna Górnicka-Kalinowska, Maria Ochab, Warszawa 1996]. Mowa jest tam więc o „Bogu" i „historii" szczególnie często w związku z komunizmem. (Faszyzm wołał „opatrzność" i ubóstwił przywódcę). Jednym z najważniejszych świadectw pokusy komunizmu – i utraty odnośnych złudzeń – jest książka „Der Gott, der keiner war", zawierająca spowiedzi byłych komunistów. Tytuł angielski, „The God That Failed", jeszcze wyraźniej ujmuje ich doświadczenie: Bóg,

• „Komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju" - obraz rosyjskiego architekta, malarza i grafika Ela Lissitzky'ego. Z wydawnictwa „ZSRR buduje socjalizm", 1933.
FOT. FINE ART IMAGES/HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9f18aadd43

którego szukali, zawiódł, bo był Bogiem fałszywym.

Richard Crossman, intelektualista lewicowy, deputowany laburzystowski i autor, który zredagował tę książkę, nigdy nie był kuszony przez świat, który opisał. Był, jak się wyraził Arthur Koestler, „wygodnym, wyspiarskim anglosaskim antykomunistą". Ale to dało mu jaśniejsze spojrzenie na intelektualną „podróż do komunizmu i z powrotem" niż to, które mieli sami zaangażowani:

„Najpierw widzieli (cel) z oddali – jak przed 130 laty ich poprzednicy widzieli rewolucję francuską – jako Królestwo Boże na ziemi; i tak jak poeci Wordsworth i Shelley poświęcili swoje zdolności skromnym działaniom na rzecz jego nadejścia. Nie zniechęcały ich ani niepowodzenia zawodowych rewolucjonistów, ani szyderstwa ich przeciwników, dopóki każdy z nich z osobna nie odkrył wielkiego rozziewu między własną wizją Boga i rzeczywistością komunistycznego państwa, tak że konflikt sumienia doprowadził do punktu zerwania".

Element przemienienia jest dużo wyraźniejszy w komunizmie niż w faszyzmie. Wciąż mowa jest o „wierze", którą porównuje się z wiarą religijną. Pisarz Manès Sperber przenikliwie relacjonuje, jak utrata wiary w Boga ojców – przede wszystkim:

gijnym. Niekiedy więc – w 1933 r. w Niemczech, następnie pod koniec hiszpańskiej wojny domowej – nie należało nawet zwalczać faszyzmu, bo był on tylko nieuniknionym krokiem na drodze do rewolucji, a przez to do spodziewanego celu.

Doświadczenia, które dają powód do komunistycznej nadziei, są przy tym całkiem zrozumiałe. Większość nawróconych uważała, że położenie robotników i kapitalistyczne nierówności są nie do zniesienia. Kolejny krok był już wtedy bardziej podejrzany; jakoż zwłaszcza w „różowej dekadzie", od początku kryzysu gospodarczego (1929) do paktu Hitler-Stalin (1939), wielu intelektualistów sądziło, że nadzieja na równość czy też sprawiedliwość jest w dobrych rękach tylko u komunistów.

„Jak owi intelektualiści mogli akceptować dogmatyzm stalinizmu?" – pyta Crossman, sceptyczny Anglik. On sam nigdy nie odczuwał „najlżejszej pokusy", ale był właśnie niepoprawnym nonkonformistą, którego przekonywała praktyczna polityka Labour Party, nie zaś religijne obietnice komunistów.

W zbiorze tekstów zredagowanym przez Crossmana czarnoskóry autor amerykański Richard Wright wyjaśnia ten walor pokusy, która tkwiła w nadziei, opisując swoje zerwanie z komunistami:

Jest uderzające, jak łatwo rozpoznawalni są ekskomuniści. Stanowią osobną kategorię, jak byli księża i oficerowie w stanie spoczynku

własnego ojca – sprawiła, że powoli dojrzał do religii zastępczej, jaką był komunizm. Koestler pisze o swojej „konwersji" na nową wiarę, kiedy to osobiście do niej dojrzał, ponieważ żył w „dezintegrującym się społeczeństwie, które łaknęło wiary" i uległ „wabieniu nowego objawienia, które przyszło ze Wschodu".

Tu napotykamy ważną różnicę w stosunku do faszyzmu, która znacznie wzmacniała religijną jakość intelektualnej wiary w komunizm. Tam, gdzie faszyzm kusił przywództwem, w komunizmie stała bardziej abstrakcyjna, trwalsza siła historii, a przede wszystkim nadziei. Faszyzm był ideologią chwili bieżącej, komunizm zwracał się ku przyszłości. Choć wcześni komuniści prawie wszyscy odbyli podróż do Związku Sowieckiego i dali się zwieść przez wioski potiomkinowskie, realny socjalizm nie był (jeszcze) chwalonym krajem, lecz co najwyżej pierwszym krokiem na drodze do raju na ziemi.

Tej nadziei towarzyszyła pewność, że się ona spełni, bo dla nawróconych nie była po prostu pragnieniem lepszego świata, lecz wiarą w historyczną konieczność jego nadejścia. Furet to właśnie ma na myśli, gdy widzi „historię" na miejscu Boga. Doskonałe, dobre społeczeństwo nastanie, gdyż tak chce historia. To Marks w najbardziej brutalnej wersji „historycznej konieczności": „Nie chodzi o to, co ten czy ów proletariusz albo nawet cały proletariat tymczasem wyobraża sobie jako cel. Chodzi o to, co jest, i co zgodnie z tym bytem na zasadzie historycznego przymusu zostanie wykonane".

Na tej drodze będą rozmaite manowce i odchylenia, ale można – i nawet trzeba – będzie je znosić, ponieważ spiżowe prawo historii jest tak niezbadane, jak niezbadana jest wola boska w kontekście reli-

„Wiedziałem, że nigdy więcej nie będę tak pisać [jak dotąd], doświadczać życia z taką prostotą, wyrażać tak szczerej nadziei i z taką wiarą, tak totalnie się angażować".

Religia, nawet zastępcza, sama już jest rodzajem więzi. Nazwa zawiera słowo „ligare", co znaczy „wiązać". Jak widać, chodzi o ligatury. Żeby więź była wiążąca, wiara religijna potrzebuje Kościoła. Komunizm miał odpowiednią organizację w formie partii. Gdy faszyzm obiecywał świat, w którym odkrywa się na nowo i kształtuje we krwi i ziemi stare więzi, komunizm oferował określoną więź tu i teraz, mianowicie z wszechwymagającą partią, której roszczenia są niemal nie do odrzucenia. Przede wszystkim dla intelektualistów była ta więź właściwym spełnieniem, i to nie na jeden sezon, lecz przeważnie na wiele lat, często na dekadę, czasem dłużej.

Opis przyjęcia do partii i jego następstw jest u późniejszych rozczarowanych najbardziej dramatyczną częścią ich wyznań. Należy do nich rezygnacja z dwóch rdzennych wartości intelektualnej egzystencji, z wolności i z prawdy. Pisarz Stephen Spender tego uniknął, jego członkostwo trwało tylko parę tygodni zimą 1936-37. Dzięki temu jest w stanie żywo – i bardzo po angielsku – opisać cenę i ból przynależności.

Jego partyjny mentor Chalmers sugeruje mu, żeby napisał powieść, w której przedstawi komunistów jako ludzi bardzo niesympatycznych, kapitalistów zaś jako ludzi dobrej woli, ale właśnie „historycznie" pogrążonych w błędzie. „Historia" bowiem nie dba o dobrą czy złą wolę, o dobre czy złe czyny – a partia reprezentuje historię. Chalmers „akceptował aktualne metody, bo jego nadzieja skupiała się na przyszłości, i to było wszystkim".

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Piotr Piaszczyński*

W kościele

Kiedy jest w nim półmrok
bez ludzi i cisza
(Bacha na organach
jakbym w sobie słyszał),
wtedy w dzień powszedni,
lecz nigdy w niedzielę,
bywa, że znajduję
tam jakąś nadzieję...

***Piotr Piaszczyński** – ur. w 1955 r. w Olsztynie. Poeta, publicysta, krytyk literacki i artystyczny. Jako poeta debiutował w 1975 r. Utwór za: Piaszczyński, „Po północy. Wiersze 2020-2022", wyd. Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2022

Opis owego głębszego „sacrificium intellectus" [ofiary z umysłu] w relacji Spendera jeszcze boli przy czytaniu. „Jeśli ceną, którą trzeba zapłacić za chleb dla milionów, jest ofiara w postaci intelektualnej wolności, to może należy złożyć tę ofiarę".

U Koestlera, który rzeczywiście wpadł w partyjne tryby, brzmi to jeszcze ostrzej:

„Partia była nieomylna zarówno moralnie, jak logicznie: moralnie, ponieważ jej cele były słuszne, to znaczy zgodne z dialektyką historii, a cele te usprawiedliwiały wszystkie środki; logicznie, ponieważ partia była awangardą proletariatu, a proletariat ucieleśnieniem aktywnej zasady historii".

Nawróceni uczyli się w ten sposób usprawiedliwiać każdy manewr partyjnej taktyki. Ponieważ coraz bardziej oddalali się od zwykłych wyobrażeń w zakresie wartości, z pokusy szybko rodziło się uwikłanie. Manès Sperber, psycholog, pisze o „przymusie relacji ponadosobowych", który polega na tym, że „trzeba krążyć wokół komunizmu, w roli prześladującego i prześladowanego".

Furet ukazuje los „wierzących i rozczarowanych", śledząc intelektualne perypetie trzech postaci – to Pierre Pascal, Boris Souvarine i György Lukács. Łączyło ich to, że w czasie krytycznym bolszewizm za sprawą partii był dla nich „bezpiecznym portem i zarazem więzieniem". „Wolność polityczna mało się liczy, gdy ludzie w odzyskanej i zachowywanej równości odkrywają nową moralność braterstwa, ogłoszoną przez Chrystusa i zdradzoną przez świat pieniądza".

Więź z partią i przez to z ruchem – w dwojakim sensie organizacji i biegu historii – jest tak ścisła, że zerwanie staje się traumatycznym doświadczeniem.

W faszyzmie, włącznie z narodowym socjalizmem, trudno o paralele dla tego doświadczenia. Oczywiście, już w 1934 r. wielu entuzjastów przeżyło rozczarowanie. Odwrócili się, przyjmując postawę cichych „towarzyszy podróży", szukając form emigracji wewnętrznej. Opcja oportunizmu pozostawała jednak zawsze otwarta.

W przypadku komunizmu nie było takiej możliwości. Roszczenie od początku miało charakter absolutny. Jego porzucenie zagrażało życiu. Obiektywnie dotyczyło to wszystkich w sowieckiej strefie wpływów, subiektywnie zaś również tych, którzy musieli stwierdzić, że „poszli spać z iluzją", jak to ujął Koestler.

Pisarz Ignazio Silone tak tłumaczy, dlaczego nie jest łatwo uwolnić się od partii: „Coś z tego pozostaje, pozostawia swoje ślady w charakterze na całe życie. Jest uderzające, jak łatwo rozpoznawalni są ekskomuniści. Stanowią osobną kategorię, jak byli księża i oficerowie w stanie spoczynku". ●

FOT. SLAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Ralf Dahrendorf

• 1929-2009, niemiecko-brytyjski socjolog, filozof i politolog, członek Izby Lordów. Był komisarzem europejskim z ramienia Niemiec, rektorem London School of Economics i oksfordzkiego St. Antony's College. Przyczynił się do uformowania się w Niemczech systemu opartego na demokracji i liberalizmie polityczno-ideologicznym; przedstawiciel liberalizmu politycznego, krytycznego wobec neoliberalizmu ekonomicznego.

Teksty to dwa rozdziały z książki Dahrendorfa **„Pokusy wyzbycia się wolności. Intelektualiści w czasach próby"**, która właśnie ukazała się nakładem Wydawnictwa Agora w przekładzie Adama Romaniuka.

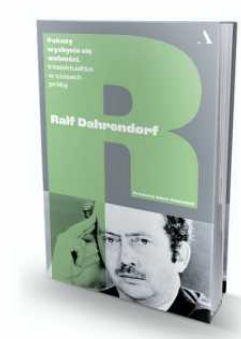

eprasa.pl 9f18aadd43

Wartości w twardej walucie

Katar kontra świat 1:0, czyli piłkarze nie są zdolni do żadnych poświęceń.

Rafał Stec, Katar

Kto wie, może Katarczycy nie tyle triumfują, ile spoglądają na nas z pogardą. Kapitanowie siedmiu europejskich reprezentacji obiecywali, że w geście solidarności z prześladowanymi tutaj osobami LGBT będą grali w tęczowych opaskach z napisem „One Love", ale ich nie założyli. Nie zgodziła się FIFA. Prawie na pewno pod naciskiem gospodarzy poinformowała, że sędziowie będą wlepiać za niesubordynację żółte kartki.

Okazało się, że piłkarze nie są gotowi poświęcić niczego. Wystarczyło zagrożenie drobną w gruncie rzeczy sportową sankcją, by zrezygnowali z symbolicznej deklaracji w kwestii wartości, o których lubimy – cały czas występuję jako przedstawiciel zachodniej cywilizacji – mówić wzniośle jako fundamentalnych, dalece istotniejszych niż sport. Sugestywne było zwłaszcza kapitulanctwo Anglików, bo zmierzyli się z Irańczykami, którzy ryzykują więzienie, nawet tortury, jednak manifestują sprzeciw wobec reżimu ajatollahów. Na mundialu Irańczycy milczeli podczas odgrywania hymnu, ostentacyjnie nie cieszyli się ze strzelonego gola.

Nie potępiam piłkarzy, którzy podporządkowali się rozkazowi FIFA, za demagogię uważam porównywanie ich domniemanego tchórzostwa do odwagi Irańczyków. Ci drudzy reagują na zabijanie, mierzą się ze sprawami ostatecznymi, być może nawet bezpośrednio dotyczącymi ich znajomych – zupełnie inna perspektywa. Ale nawet nasz PZPN, unikający raczej zadręczania się dylematami etycznymi, stanowczo odmówił gry z Rosją po agresji na Ukrainę.

Wibruje mi jednak z tyłu głowy pytanie, czy Katarczycy nie patrzą na postawę Europejczyków z politowaniem: no tak, niewierni zapomnieli o świętych wartościach, gdy tylko usłyszeli, że będą musieli cokolwiek poświęcić. A przecież protest zapowiadali przedstawiciele najbardziej progresywnej, północnej części naszego kontynentu (także Belgii, Danii, Niemiec, Holandii, Szwajcarii, Walii), w której związki jednopłciowe aprobują nawet konserwatyści, i to występujący w imię wierności światopoglądowi – wiary w instytucję rodziny. Europa znów sprzedała się tanio.

OFENSYWA KATARU

Katarczycy triumfują na razie totalnie. UEFA potulnie pogodziła się z demontażem nietykalnego od zawsze piłkarskiego kalendarza, przenosząc mundial na zimę. FIFA tuż przed turniejem przystała na rozegranie meczu otwarcia dzień wcześniej, niż planowano – postąpiła nie fair, komplikując logistykę Ekwadorczykom, ale cóż, gospodarze chcieli mieć inaugurację tylko dla siebie, nie rozpraszać uwagi świata popisami gwiazd z Anglii i Holandii. Oni złamali też umowę, gdy wycofali pozwolenie na sprzedaż piwa na stadionach. Aż wreszcie usunęli sprzed oczu widok wstrętnej im tęczowej symboliki.

Wraz ze zbliżaniem się mistrzostw ich postawa radykalnie ewoluowała. Latami przysięgali, że będą elastyczni, gościom z całego świata przychylą nieba, ale gdy pojęli, że nie grozi im już odebranie turnieju, przestali czuć się petentami i coraz śmielej sugerowali: teraz wy macie grać według naszych reguł. Przejęli kontrolę, przeszli do ofensywy.

Jedno z naczelnych założeń teorii sportwashingu, czyli czyszczenia wizerunku przez sport, głosi, że piłka nożna służy bliskowschodnim dyktaturom do przypodobania się Zachodowi, by zespolić się z nim gospodarczo, wniknąć w jego nowoczesność i zaprojektować sobie przyszłość, w której planety nie wprawiają już w ruch paliwa kopalne. Arabowie uwodzą przede wszystkim pieniędzmi, ale też obiecują reformy i przynajmniej je symulują – Katarczycy zmodyfikowali m.in. pozwalające okrutnie traktować imigranckich robotników prawo kafala.

Dlaczego zatem nie poszli na mikroskopijne ustępstwo, jakim byłoby nalewanie piwa pod stadionami, czyli przestrzeni wciąż bardzo ograniczonej? Dlaczego zabiegali o zakazanie subtelnego tęczowego bibelotu? Przecież koncyliacyjne gesty dostrzegłaby głównie zagranica, po imprezie nadal sprzedawaliby alkohol wyłącznie w barach na najwyższych piętrach wyselekcjonowanych hoteli i karali za homoseksualizm więzieniem albo śmiercią.

Z każdym dniem coraz bardziej czuć, że Katarczykom nie zależy na tym, byśmy ich polubili. Raczej wypowiedzą wojnę. Nie zamierzają respektować naszych zasad, lecz oczekują, że my podporządkujemy się ich zasadom. Przyjechaliśmy w gości, mamy szanować lokalne obyczaje – nie łazić po pijaku, nie epatować zboczeniami. Na przedturniejowych konferencjach gospodarze wielokrotnie przemawiali w imieniu całego świata arabskiego, który wreszcie otrzymał to, na co zasługuje, a ja na mundialowych obiektach odnoszę wrażenie, że świadkuję zderzeniu cywilizacji.

Porządkowi maniacko przetrząsają plecaki, żeby kibice nie przemycili na trybuny niepożądanej flagi

WYMYŚLENI NA NOWO

Porządkowi maniacko przetrząsają plecaki, żeby kibice nie przemycili na trybuny niepożądanej flagi, transparentu, choćby małej szmatki. Realizatorzy transmisji meczów dbają, by na ekranie nie rozbłysnął symbol, którego nie udało się skonfiskować. Europejskie reporterki nie odsłaniają ramion ani kolan – pomimo potwornego upału.

„W świecie, jaki nastał po zakończeniu zimnej wojny, flagi bardzo się liczą, to samo dotyczy innych symboli kulturowej tożsamości, takich jak krzyże, półksiężyce, a nawet nakrycia głowy. Liczy się bowiem kultura, a kulturowa tożsamość jest tym, co dla większości ludzi ma najważniejsze znaczenie" – pisał Samuel Huntington w klasycznym już „Zderzeniu cywilizacji". I dalej: „Dla ludów poszukujących swej tożsamości i na nowo odkrywających więź etniczną posiadanie wrogów jest sprawą zasadniczą, a potencjalnie najgroźniejsze wrogości rodzą się na granicach między głównymi cywilizacjami świata".

Refleksje amerykańskiego politologa rymują się z momentem dziejowym Katarczyków, którzy w zorganizowaniu mundialu widzą właśnie element projektu tożsamościowego. Wymyślają siebie na nowo. 50 lat temu, gdy wybijali się na niepodległość, poławiali ryby i perły. Dzisiaj egzystencję finansują eksportem gazu i ropy. Jutro chcą odnaleźć się w wysokiej technologii, biznesie rozrywkowym (sport do niego należy) oraz turystyce. I może wręcz awansować na pozycję lidera całego regionu – w XXI wieku mocarstwo nie potrzebuje rozległego terytorium oraz licznej populacji, jeśli dysponuje soft power, potęgą ekonomiczną, innymi niewidzialnymi zasobami.

Emir Tamim ibn Hamad al-Sani – ma z trzema żonami 13 dzieci, tego pewnie też by mu Europejczycy chcieli zabronić! – i jego świta atakują z coraz większym rozmachem. Nauczyli się, że pożal się Boże demokraci odwołują się do wyższych wartości, dopóki nie machniesz im przed oczami twardą walutą. Świat futbolu kupili w całości. Nawet Pele i Maradona przylecieli na inaugurację oszałamiającej piłkarskiej akademii w Katarze – zawsze łączyła ich szorstka przyjaźń, ale zrobili wyjątek i stanęli razem na scenie. ●

W PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ"

1 GENERACJA BEZ GRZECHU.
Kto rezygnuje z lekcji religii? Reportaż Katarzyny Surmiak-Domańskiej

2 LEPIEJ NIE WIEDZIEĆ.
Jak na serio wygląda życie nastolatków. Lekcja dla rodziców

3 NOWOTKO, ANTYGONA I ARMIA KRAJOWA.
Kto brał udział w zabójstwie Marcelego Nowotki?

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176926

eprasa.pl 9f18aadd43

I TAK PRZYJDZIE LIST Z BANKU

Kiedyś mówiłam: „Gaś światło, bo trzeba dbać o planetę”. Teraz mówię: „Gaś światło, żebyśmy płacili mniej”, i ma to jakoś większe znaczenie

Monika Redzisz

Drożyzna, inflacja i rosnące raty kredytów – to nasza dzisiejsza rzeczywistość. Drastycznie rosną ceny: węgla, gazu, ropy, drewna, żywności, benzyny. Z kimkolwiek rozmawiam – narzeka: emeryci i rodziny z dziećmi, biedniejsi i bogatsi, ci z małych miasteczek i ci z dużych miast. Jak dają sobie radę? Z czego musieli zrezygnować? Jakie mają strategie przetrwania?

JEDEN ZESTAW LEGO

– Brytyjczycy grożą, że masowo przestaną płacić rachunki. Ciekawe, kiedy my się zbuntujemy? – mówi Julia z irytacją. Ma 42 lata, mieszka w Krakowie i jest samodzielną mamą sześciolatka. Pracuje jako menedżerka kultury; ma jednoosobową firmę, współpracuje z różnymi placówkami kultury. Zarabia średnio około 7000 zł brutto, dostaje też alimenty na syna w wysokości 1500 zł i 500 plus. Wynajmuje mieszkanie; rozlicza się co pół roku; już w lutym po spisaniu liczników musiała dopłacić 2000 zł, bo koszty mediów znacząco wzrosły.

– Spodziewam się, że następne rozliczenie będzie jeszcze wyższe... – mówi niezadowolona.

Żeby lepiej kontrolować swoje wydatki, zrobiła sobie tabelkę w Excelu, do której wpisuje wszystkie swoje bieżące koszty: mieszkanie (3300), media (500), ZUS (1500), księgowa (230), benzyna (500), jedzenie (750), ubrania dla J. (400), abonament za telefon (100) i za Spotify (20), taniec (65), masaż (200).

Podsumowuje: – W sumie w sierpniu wyszło mi 8245 zł, co oznacza jedno – muszę szukać dodatkowych zleceń i pracować jeszcze więcej. A przecież mój czas jest ograniczony, bo sama wychowuję dziecko. Czuję się przemęczona. Jestem w trybie takiej wiecznej czujności, szukania, kombinowania.

Musiała też zmienić swoje przyzwyczajenia.

– Zastanawiam się, na co mogę sobie pozwolić, a na co już nie. Na przykład: czy w tym miesiącu będę mogła iść i na masaż, i na manikiur? Niestety nie, muszę to rozłożyć na dwa miesiące. Dotąd po prostu wchodziłam do sklepu i kupowałam, co trzeba; teraz planuję. W sobotę rano siadamy z moim dzieckiem przy stole i układamy jadłospis na cały tydzień, a potem ja jadę na zakupy. Tak wychodzi taniej. Kiedyś codziennie brałam długą kąpiel – czytałam, relaksowałam się; to był taki moment w ciągu dnia, kiedy mogłam odetchnąć. Od kilku miesięcy już sobie na to nie pozwalam, bo oszczędzam wodę. Inaczej zachowuję się też w kuchni: nalewam do zlewu trochę wody i płuczę w niej naczynia, zamiast ciągle puszczać bieżącą. Uczę synka, żeby zakręcał wodę i wyłączał światło. Niby to nic nowego, ale... Kiedyś mówiłam: „Gaś światło, bo trzeba dbać o naszą planetę”. Teraz mówię: „Gaś światło, żebyśmy płacili mniejsze rachunki”, i ma to jakoś większe znaczenie... Podczas wakacji, które spędzaliśmy w tym roku u mojej babci na wsi, a nie w Chorwacji, synek chciał jak zwykle pobawić się w ogrodzie wodą ze szlaucha. A babcia na to: „Nie wolno marnować wody!”. Kurde, w jakich my czasach żyjemy? Żeby dziecko nie mogło się już nawet wodą pobawić?

Święta jak zawsze spędzę z rodziną, u babci. W tym roku ustaliliśmy, że nie kupujemy sobie rzeczy, tylko doświadczenia, czas – który możemy spędzić razem, np. godzinny rejs motorówką po Wiśle. Poza tym nie każdy kupuje każdemu, tylko się składamy, więc na pewno wyjdzie taniej. Na przykład ja z siostrą razem kupujemy wspólny prezent dla rodziców. Mój syn jest uzależniony od Lego; w tym roku ustaliliśmy, że dostanie jeden duży zestaw, na który wszyscy się złożymy.

BIEDNY PŁACI WIĘCEJ

– Co miesiąc z banku przychodzi list. Leży sobie przez pewien czas, bo boję się go otworzyć – mówi Agnieszka z Warszawy. Jest rozwódką, ma 38 lat, dwójkę dzieci i trzy kredyty: na mieszkanie, na jego wykończenie i na samochód.

– Wzięliśmy kredyt hipoteczny na mieszkanie w ramach programu dla młodych małżeństw – jeszcze jak byłam mężatką. Stopy procentowe były wtedy bardzo niskie, więc zdawałam sobie sprawę, że w pewnym momencie raty na pewno nam urosną, ale nie sądziłam, że aż tak bardzo! Z przerażeniem patrzyłam, jak rosną, tym bardziej że teraz spłacam je sama. W ciągu tego roku wzrosły o 1000 zł! Z sąsiadami już o niczym innym nie rozmawiamy, tylko komu ile urosło i co dalej. W tej chwili za oba kredyty mieszkaniowe płacę około 3000 zł. To dla mnie bardzo duża suma; do lipca to była już połowa mojej pensji.

Agnieszka jest dziennikarką. Jak większość osób zatrudnionych w mediach formalnie pracuje na umowę o dzieło. Zarabiała około 6000 zł na rękę, w lipcu dostała 1500 zł podwyżki.

– Po długiej batalii związków zawodowych wywalczyliśmy podwyżki; ludzie byli już zrozpaczeni, bo coraz trudniej było związać koniec z końcem – tłumaczy. – To mnie trochę uratowało.

Ma jeszcze trzeci kredyt – na samochód. 500 zł miesięcznie.

– Zrobiłam błąd życia i nie doczytałam umowy: byłam pewna, że muszę oddać bankowi 4000 zł, a będę musiała – 12 000! Jestem tym załamana. Kredyty są złem tego świata, ale jak nie ma się wsparcia, to trzeba się nimi ratować, inaczej nie sposób kupić samochodu czy mieszkania. Widzę to wyraźnie wśród znajomych – jak ktoś jest lepiej ustawiony, to zazwyczaj przynajmniej część funduszy odziedziczył po rodzinie. Ja takiego szczęścia nie miałam, na wszystko musiałam sama zarobić. Tak to jest: im jesteś biedniejszy, tym więcej płacisz.

Wzięła wakacje kredytowe z myślą, że nadpłaci kredyt.

– A gdzie tam! Okazało się, że wakacje pod namiotem nad polskim morzem były droższe, niż się spodziewałam. Jak to z dziećmi: a to gofry, a to lody, a to pamiątki; 1000 zł na biwak, 1000 zł na dojazd, bo pół Polski trzeba było przejechać, 1000 zł na miejscu. Ale bez tych wakacji kredytowych w ogóle byśmy w tym roku na wakacje nie pojechali. Krzyś ma już osiem lat i mógłby jechać na obóz; nie pojechał, bo jak zobaczyłam ceny, to się przeraziłam: 1800 zł za tydzień! Ale nawet te dwa tygodnie wakacji z chłopcami w Warszawie były drogie, bo próbowałam jakoś zorganizować im czas, zabierałam ich na salę zabaw, basen, trampoliny. Jedna taka wyprawa dla naszej trójki to co najmniej 100 zł. Było super, ale nie mogę sobie często na coś takiego pozwalać. Mam silne postanowienie, że muszę w jakiś sposób oszczędzić, żeby spłacić te kredyty. Muszę chyba zacząć kontrolować każdą złotówkę...

Benzyna kosztuje coraz więcej, więc staram się jak najmniej jeździć samochodem. Po dzielni jeżdżę rowerem, ale jak muszę zawieźć dzieci na zajęcia, to biorę samochód; w końcu po to głównie mam auto. Na początek roku szkolnego musiałam kupić nowe ubrania, bo chłopcy wyrośli ze wszystkiego. Wzrosły ceny obiadów w stołówce, podrożały zajęcia dodatkowe. Starszy chodził na zajęcia z robotyki i z kodowania; w tym roku już nie będzie, bo mnie nie stać, zostanie mu tylko piłka.

Do tego dochodzą podwyżki za prąd – co miesiąc płacę więcej. Teraz każą nam wrócić do biura, w związku z tym muszę zatrudnić opiekunkę, bo nie będę w stanie codziennie odbierać dzieci ze szkoły, a 20 zł za godzinę to już nie jest to, czego oczekują opiekunki.

Do tego jeszcze ten „Polski ład”. Sama płacę sobie składkę zdrowotną; początkowo płaciłam 519 zł, teraz już 600 zł. Byłam jednak pewna, że pod koniec roku dostanę zwrot, tymczasem okazało się, że nie mogę jej sobie odpisać od podatku. Mocno się zastanawiam, czy nie zrezygnować z ubezpieczenia. I tak do lekarza chodzę głównie prywatnie. Leczę depresję; miałam nadzieję, że w czasie wakacji odstawię leki, ale cała ta sytuacja sprawiła, że jednak nie mogę. Same leki są refundowane, kosztują mnie tylko 50 zł miesięcznie, ale wizyta po receptę – 200 zł.

Na czym oszczędzam?

Staram się oszczędzać na jedzeniu. Kiedyś miałam luz; teraz nie mogę już wyjść na miasto i spontanicznie sobie czegoś kupić. Jak umawiam się na mieście, biorę kawę z domu w kubku termicznym. Kiedyś często zamawialiśmy jedzenie z restauracji; teraz gotuję sama. Zakupy robię głównie w Biedronce; staram się nie kupować za

eprasa.pl 9f18aadd43

FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nie chodzę już na żadne wesela, bo trzeba przecież się ubrać i coś w kopertę włożyć, a na to niestety mnie nie stać

dużo, żeby się nie marnowało. Ale z pewnych rzeczy nie chcę rezygnować. Wciąż, jeśli kupuję mleko, to owsiane, jak jajka, to zerówki.

Ograniczam też kupowanie zabawek dzieciom. I tak mają ich dużo. Kiedyś zdarzało się, że szliśmy do sklepu, chłopcy coś chcieli, a ja ulegałam – dużo pieniędzy w ten sposób uciekało. Prezentów pod choinkę w tym roku w ogóle nie planuję; całe szczęście chłopcy mają spędzić święta z ojcem. Co za ulga...

Boję się, bo z miesiąca na miesiąc jest coraz gorzej. Unikam jak ognia wiadomości. Wcześniej słuchałam regularnie, ale teraz wiem, że usłyszę, że rośnie inflacja, że rosną stopy procentowe i że znowu nasz rząd podjął jakieś głupie decyzje. Więc już nawet telewizji nie włączam. I tak nie mam na to żadnego wpływu. I tak przyjdzie ten list z banku. I tak będę musiała zapłacić.

BABCIA – MISTRZYNI ŚWIATA

– Wypłaty stoją, a ceny idą w górę i wydatki są coraz większe. Staram się już tego nie liczyć, żeby się nie dołować. Nie panikujemy, ale na pewno jest ciężej – mówi ponuro Marcin z Wałbrzycha.

Pracuje w autoryzowanym serwisie Volkswagena jako doradca serwisowy. Jego żona Gabrysia jest jeszcze na macierzyńskim, ale niedługo wraca do pracy w banku. Małą Jagodą zajmą się dziadkowie, czteroletnia Wiktoria chodzi do przedszkola.

Mają dwa kredyty hipoteczne – każde z nich ma swoje trzypokojowe mieszkanie i swój kredyt; w jednym mieszkają, drugie do niedawna wynajmowali, teraz zamierzają je sprzedać. W jednym rata wzrosła z 734 zł do 950; w drugim – z 1100 do 1300. Czynsze już w styczniu wzrosły o 300 zł. Miesięczne koszty benzyny skoczyły z 900 do 1500 zł.

Marcin: – Do tej pory żyliśmy z jednej pensji, z drugiej płaciliśmy rachunki i kredyty. Resztę odkładaliśmy. Co miesiąc udawało nam się zaoszczędzić 1500 zł. W tym roku nie odkładamy właściwie nic; obie wypłaty wykorzystujemy na maksa. Żyjemy na bieżąco; staramy się jakoś rozsądnie gospodarować tym, co mamy.

Gabrysia: – To, co nas dotyka, to ceny leków – w aptece zostawiamy co miesiąc 300-400 zł, bo dzieci łapią ciągle jakieś infekcje. Za prywatne przedszkole Wiki płacimy 400 zł; od maja drożej o stówę. Staramy się, żeby dzieciom niczego nie brakowało, żeby miały to, co do tej pory, ale robimy to naszym kosztem. Kiedyś raz w tygodniu chodziliśmy do knajpy, teraz robimy to znacznie rzadziej. Odmawiamy sobie rzeczy, bez których możemy się na razie obyć, które mogą poczekać na lepsze czasy.

Z drugiej strony nie jest tak źle. Udało nam się w te wakacje nawet dwa razy wyjechać na tydzień nad morze. Mieliśmy bony za obie dziewczyny; śniadania i kolacje robiliśmy sobie w pokoju, a na miasto wychodziliśmy jeść tylko na obiady, żeby ograniczyć koszty. Nie wyszło aż tak drogo – oba wyjazdy kosztowały nas po 4000 zł.

Marcin: – My sobie na razie radzimy. Ale moja babcia pali węglem. Mój tato złożył za nią wniosek o te 3000 zł, ale co z tego, skoro fizycznie węgla nie ma? Dzisiaj widziałem kolejkę na kopalni Piast; nie wiadomo, kiedy węgiel się pojawi. Zresztą 3000 zł to i tak za mało; babcia będzie musiała co najmniej z 1500 zł tej zimy dołożyć. Przez całe życie ciężko pracowała i co teraz z tego ma na starość? 1800 zł emerytury. To jest mistrzostwo świata, żeby za takie pieniądze przeżyć. Ja sobie tego nie wyobrażam.

ROBIĘ PRZETWORY

– Jakoś sobie radzę – wzrusza ramionami Maria. Maria ma 53 lata i choruje na stwardnienie rozsiane. Od 2015 roku jest na rencie. Ma 1715 zł dochodu: 1500 zł renty i 215 zł dodatku rehabilitacyjnego z MOPS-u.

Mieszka z rodzicami, emerytami, w domu jednorodzinnym podzielonym na dwa mieszkania.

– Wymyśliłam kiedyś, kiedy pracowałam i nieźle zarabiałam, że dobuduję tu piętro dla rodziców i będę się nimi na starość opiekować. Jednak role się odwróciły. Rodzice, po osiemdziesiątce, są w tej chwili bardziej sprawni niż ja – mówi ze smutkiem.

Ma własne liczniki za prąd i wodę, ale ogrzewanie jest wspólne, więc co miesiąc dokłada rodzicom 150 zł do węgla.

– Kiedy obudziłam się i usłyszałam, że wybuchła wojna w Ukrainie, natychmiast wykonałam telefon do składu węgla – ożywia się. – Wiedziałam, że zaraz będą kłopoty, palimy przecież ruskim węglem! Kupiliśmy trzy tony kostki za 1350 zł! Następnego dnia był już o 250 zł droższy; dzisiaj węgiel wielkości orzecha, o niezbyt wysokiej kaloryczności kosztuje u nas 3300 zł za tonę. Na szczęście jesteśmy więc zaopatrzeni w węgiel na tę zimę.

Na prąd wydaje miesięcznie około 200 zł.

– Bardzo boję się najbliższego rachunku – ceny strasznie idą w górę. Na każdym kroku myślę, jak zaoszczędzić. Nie piekę już w piekarniku. Nie robię kilku prań tygodniowo, tylko jedno – wylicza. – Bardzo dużo kosztuje mnie też ciepła woda, bo mam przepływowy podgrzewacz wody. Kiedyś brałam prysznic rano i wieczorem; teraz kąpię się tylko raz dziennie. Myłam naczynia na bieżąco; teraz staram się je gromadzić w zlewie i myć naraz.

W Biedronce korzysta z promocji.

– Jak mi się uda dostać taniej kurczaka, to kupuję więcej i mrożę. Z wielu produktów w ogóle zrezygnowałam. Ryb już nie kupuję, bo są dla mnie zbyt drogie. Jestem maniakiem czytania, ale zrezygnowałam z kupowania książek, przeszłam na darmowe kody do Legimi – można je dostać w bibliotekach. Czytnik wygrałam w konkursie na FB. Mam brata w Anglii, ale już do niego nie latam, bo nie stać mnie na bilety. Pomyśleć, że kiedyś latałam do Wielkiej Brytanii na zakupy...

Jak odchodziła z banku w 2015, zarabiała 3500 zł. Zawsze lubiła o siebie zadbać: chodziła do kosmetyczki, na manikiur, pedikiur. Teraz nie chodzi na żadne zabiegi upiększające.

– Jak mam wydać 100 zł na pedikiur, to słabo mi się robi – mówi. – Tylko raz na jakiś czas na podcięcie włosów. Farbę kupuję za 10 zł na wyprzedaży i sama się farbuję. Lubię dobrze pachnieć, więc czasem kupię sobie jakąś tanią markę, ale najczęściej korzystam z testerów. Jeśli chodzi o ciuchy, to mam o tyle dobrze, że moja przyjaciółka ma lumpeks i mnie zaopatruje. Ale nie chodzę już na żadne wesela, bo trzeba przecież się ubrać i coś w kopertę włożyć, a na to niestety mnie nie stać. Dobrze, że mogę się wykręcić chorobą... Jak tak obserwuję, jak z miesiąca na miesiąc wszystko drożeje, to zastanawiam się, z czego jeszcze będę musiała zrezygnować.

Benzyna kosztuje ją miesięcznie 300 zł. – Ja mam bardzo słabe nogi i wszędzie jeżdżę samochodem – tłumaczy. – Co do leczenia, to jestem kobietą upartą i korzystam tylko z Narodowego Funduszu Zdrowia; prywatnie chodzę tylko do dentysty. Nie płacę też za rehabilitację, bo rehabilitantami są moje przyjaciółki z klasy – jak mam jakieś przykurcze w nogach czy coś, to dziewczyny zawsze mi pomogą. Leki, te podstawowe, które muszę brać stale, kosztują mnie miesięcznie około 100 zł.

Z jednej rzeczy nie zrezygnuję. Mamy z moim partnerem taką starą przyczepę z lat 70. Jesteśmy oboje fanami lat 70. i 80., bo to nasze dzieciństwo. Jedziemy sobie latem, raz w roku, na stanicę PTTK-owską nad jezioro Bachotek i tam sobie przez miesiąc mieszkamy. Tam odpoczywamy.

Ja sobie radzę. Mam zaplecze w postaci emerytur rodziców; nie są może jakieś nadzwyczajne, ale oni żyją bardzo oszczędnie, jak to ludzie po siedemdziesiątce. Moja mama jest mistrzynią przetworów. Owoce, warzywa mamy swoje, z ogródka. Mieszkamy na osiedlu domków jednorodzinnych i dzielimy się z sąsiadami – komuś obrodziły śliwki czy pomidory, to częstuje pozostałych. No i są te trzynastki i czternastki; to oczywiście posunięcie PiS-owskie na kupno wyborców, ale jednak bardzo się przydaje. Takie pieniądze, które nagle spadają z nieba – dzięki nim mogłam sobie na przykład kupić farbę i kuchnię odmalować w zeszłym roku. Staram się coś z tego odkładać, bo a to dentysta (głupia dziura w zębie i 200 zł), a to ubezpieczenie samochodu trzeba zapłacić. Zawsze coś takiego się wydarzy, że niby mam te kilka złotych schowane na czarną godzinę, a za chwilę ich już nie mam.

Zaraz święta... W tym roku jedzeniowo na pewno będzie skromniej. Na pewno nie kupimy choinki. Zainwestowaliśmy w zeszłym roku – kupiliśmy małą w doniczce. Ma dopiero 20 cm, ale nam wystarczy. Pod choinkę zawsze kupujemy sobie przydatne prezenty. W tym roku zażyczyłam sobie od rodziców mopa z Viledy, bo mi się zepsuł. Mój partner się szarpnął – kupił mi moje ukochane perfumy. Ale to prezent łączony, urodzinowo-świąteczny.

Nie narzekam, nie biadolę. Głodu ani ciemności się nie boję. Ja jestem harcerka – mogę po ciemku siedzieć. I morsuję, więc zimno też może być. Przeżyłam stan wojenny i jestem zaprawiona w bojach. Moje pokolenie jest bardziej odporne niż ci młodzi. Nie panikujemy tak bardzo. „Ojejku, co to będzie?!", słyszę tylko. Co będzie? Jakoś to będzie! Zrezygnujemy z paru jeszcze rzeczy i przeżyjemy. Jak nie będę miała na benzynę, będę najwyżej jeszcze mniej samochodem jeździć. Coś tam będę jadła – trochę przetworów mam, wędliny umiem sama robić – jakoś sobie poradzę. Dopóki PiS będzie rządził, będzie źle. Ale potem to minie. I będzie lepiej. ●

eprasa.pl 9f18aadd43

DZIŚ NIE WIEJE, WIĘC KUPISZ JAGODY

Czy Żabka, Biedronka i Lidl będą prognozować pogodę?

Kasper Kalinowski

Walmart w USA zatrudnia 1,6 mln ludzi. To największy prywatny pracodawca w Stanach, Meksyku i Kanadzie. A do tego pionier w wykorzystywaniu prognozy pogody na potrzeby handlu.

Sieć supermarketów korzysta z danych firmy Weather Co. do ustalenia zależności między panującą pogodą a sprzedażą produktów w sklepach. Przekłada się to nie tylko na większe zyski, ale również mniejsze marnowanie towaru. Niektóre zależności są zaskakujące. – Nie wiedzieliśmy, że niewielki wiatr ma pewien wpływ na to, czy ludzie będą jeść jagody, czy nie – komentował Stephen Quinn, kierownik ds. marketingu sieci. Idealna pogoda na jagody okazuje się zależeć od niskiego natężenia wiatru i temperatury ok. 26,5 st. Celsjusza. Walmart zaczął więc umieszczać wyświetlacze i reklamy dotyczące jagód w miejscach, gdzie taka pogoda występuje. W ten sposób potroił sprzedaż jagód. A gdy zapowiadana jest zła pogoda, na półkach Walmartów pojawiają się chlebki z truskawkowym nadzieniem i polewą lukrową – Pop-Tarts – ich sprzedaż zwiększa się wtedy siedmiokrotnie.

Pogoda od zawsze decydowała o losach historii. Podczas II wojny, w przededniu lądowania aliantów w Normandii, Brytyjczycy przewidywali, że 5 czerwca 1944 r. nadejdzie burza. Z kolei amerykańscy meteorolodzy, opierając się na innej metodzie prognozowania, historycznych mapach pogodowych, twierdzili, że tego dnia nad kanałem La Manche będzie czyste, słoneczne niebo. Niemcy utrzymywali, że inwazja jest niemożliwa – wzburzone morze i silne wiatry nie osłabną do połowy czerwca.

Opierali się na mniej zaawansowanych danych i modelach, zostali zaskoczeni, a losy wojny światowej zaczęły się odwracać. Gdyby D-Day przesunięto na później, alianci napotkaliby najgorszą pogodę nad kanałem La Manche od dwóch dekad.

Pogoda wpływa również na praktycznie każdą decyzję zakupową. Zamówienia na dostawy w KFC wzrastają o 10 proc. w deszczowe dni. Wahania pogody mogą mieć wpływ na wszystko – jedzenie, które zamawiamy, nawet ubrania i dom, które kupujemy. Trafna prognoza pogody może posłużyć do wprowadzania odpowiednich produktów i wzrostu sprzedaży. Prywatny sektor prognozowania pogody to obecnie w USA przemysł o wartości 17 mld dol. rocznie, w którym uczestniczy 45 tys. firm.

W jednym z klasycznych badań ekonomii behawioralnej w sklepie z winami przez dwa tygodnie odtwarzano muzykę francuską i niemiecką. Francuska przyczyniła się do tego, że wina francuskie przewyższały sprzedażą niemieckie, a niemiecka zmniejszała sprzedaż win francuskich. W innych badaniach wykazano, że klienci wydawali więcej pieniędzy w sklepie z winami, gdy zmieniono muzykę. Listę przebojów Top-Forty wystarczyło zastąpić muzyką klasyczną. Liczba produktów na półkach czy ilość czasu spędzonego w sklepie się nie różniły. Jednak wygląda na to, że gdy klienci słuchali arii Vivaldiego, tanie wino mogło budzić pewien niesmak.

Analizowanie złożonych układów i decyzje ekonomiczne to skomplikowane i abstrakcyjne wnioskowania. Podejmując je, w teorii powinniśmy uwzględniać całą masę czynników i prawidłowości statystycznych.

Oczywiście tego nie robimy, a modele zbudowane na gruncie klasycznej ekonomii nie wyjaśniają decyzji podczas zakupów. Zamiast bilansu zysków i strat lub wyboru najkorzystniejszej opcji stosujemy uproszczenia i kierujemy się emocjami, jakie towarzyszą zakupom. Jak stwierdza Daniel Kahneman w książce „Pułapki myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym": „Aktualny stan naszego otoczenia wpływa na nasze myśli i zachowania o wiele silniej, niżbyśmy to sobie uświadamiali albo sobie tego życzyli".

– W literaturze z psychologii i ekonomii behawioralnej można znaleźć blisko 200 rozmaitych „tendencyjności poznawczych", które wpływają na podejmowanie decyzji – od heurystyk i uproszczeń postrzegania sytuacji, poprzez wpływ emocji i nastroju, niedoskonałości pamięci, konsekwencje nadmiaru informacji, motywację dokończenia już rozpoczętych rzeczy, presję czasu, aż po poszukiwanie sensu życia. Kompletna odpowiedź na pytanie, w jaki sposób dokonujemy decyzji konsumenckich, wymagałaby napisania sporej książki – mówi dr Mateusz Polak, psycholog z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pogoda to kluczowy aspekt życia każdego z nas. W badaniu Pew Research Center z 2018 r. zapytano ludzi, jaki był najważniejszy temat poruszany w lokalnym programie informacyjnym. Pogoda znalazła się na pierwszej pozycji – wskazało na nią 70 proc. respondentów. W ankiecie „Washington Post" z 2019 r. wykazano, że 10 proc. osób często rozmawia z przyjaciółmi o globalnym ociepleniu.

Prognozy są coraz trafniejsze. Od lat 70. wskaźnik błędu spadł o blisko 70 proc. (w przypadku prognozy 24-godzinnej) i około 90 proc. (dla prognozy 72-godzinnej). Średni błąd dla 72-godzinnej prognozy wynosił w 1970 r. około 720 kilometrów. Dzisiaj – około 80 kilometrów.

Nowym trendem jest uwzględnienie pogody w marketingu. Jak ustalił zespół Jeffreya Lazo z University of Colorado, międzysezonowe wahania aktywności gospodarczej w Stanach, które można przypisać zmienności pogody, wynoszą 3,4 proc., co w 2008 r. przekładało się na 485 mld dol.

Już w latach 50. stwierdzono, że pogoda:

FOT. MATT ROURKE/AP

PARTNER STRATEGICZNY:
POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK
JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

eprasa.pl 9f18aadd43

1) może stworzyć niekomfortowe warunki, które mogą zniechęcić konsumentów do zakupów,

2) może stworzyć warunki, które mogą fizycznie uniemożliwić zachowania zakupowe,

3) może wywołać efekty psychologiczne, które zmienią nawyki konsumentów,

4) warunki pogodowe mogą mieć wpływ na atrakcyjność niektórych kategorii produktów.

A jednak zaskakująco mało badań poświęcono temu, jak codzienne warunki pogodowe wpływają na sprzedaż. W praktyce nieprzewidywalność pogody sprawia, że trudno prowadzić takie badania. Dane, które są podstawą prognozowania, są zbierane z tak wielu różnych rodzajów obserwacji, że ich liczba jest ogromna. Pogoda to jedno z większych wyzwań dla big data (czyli dużych zbiorów danych). National Oceanic and Atmospheric Administration, amerykańska instytucja zajmująca się prognozowaniem pogody, dokonuje 6,3 mld obserwacji dziennie.

Jak więc badać wpływ pogody na decyzje zakupowe?

– Pogody nie da się kontrolować, więc najprostszą metodą są pomiary podejmowanych przez ludzi decyzji konsumenckich (czy to prawdziwych, czy symulowanych) w dni o różnej pogodzie i wyciąganie wniosków. Dodatkowo mierzy się rozmaite korelaty, zmienne podejrzewane o udział we wpływie pogody na decyzje konsumenckie – nastrój, refleksyjność, podatność na tendencyjności poznawcze, działanie pamięci, potrzebę poznawczego domknięcia i wiele innych. Jeżeli już mamy wyniki, teorie i modele wskazujące na oddziaływanie poszczególnych aspektów pogody, które można jakoś symulować, to najlepszą metodą badawczą staje się eksperyment – wskazuje dr Polak.

Wraz ze wzrostem ekspozycji na światło słoneczne negatywne uczucia maleją, a wydatki rosną.

W jednym z badań wykazano, że konsumenci byli skłonni zapłacić 37 proc. więcej za zieloną herbatę i 56 proc. więcej za karnet na siłownię po wystawieniu na działanie promieni słonecznych. – To naturalne, w pochmurne dni, gdy niekorzystne warunki biometeorologiczne osłabiają chęć działania, wpływają na senność, mogą powodować apatię i obniżenie nastroju, nic się nie chce. Korzystne warunki, odwrotnie, wzmagają chęć działania i poszukiwania wrażeń – podkreśla prof. Andrzej Falkowski, psycholog biznesu z Uniwersytetu Humanistycznospołecznego SWPS.

– Nastrój jest oczywiście jedną z istotnych zmiennych, na które wpływa pogoda, które z kolei wpływają na nasze decyzje. W badaniach z lat 80. wykazano, że duża ilość słońca, wysokie ciśnienie, wysokie (ale nie nadmiernie wysokie) temperatury i niska wilgotność powietrza sprzyjają pozytywnemu nastrojowi. To warunki typowe dla miesięcy letnich – dodaje dr Polak.

Nie inaczej jest w przypadku giełdy. Gdy David Hirshleifer i Tyler Shumway porównali giełdy w 26 krajach od 1982 do 1997 r., odkryli, że nasłonecznienie jest silnie związane ze stopami zwrotu z akcji. Pozostałe czynniki pogodowe, jak deszcz czy śnieg, nie były powiązane z zyskami z akcji.

Temperatura i nasłonecznienie wpływają na podstawowe potrzeby fizjologiczne i cykl dobowy. Przykładem tzw. efekt długiego, gorącego lata – badania wskazują, że wyjątkowo gorące miesiące letnie sprzyjają wybuchaniu zamieszek, protestów i innych ruchów społecznych o agresywnym charakterze. Dzieje się tak, bo organizm jest wyczerpany nadmiernie wysokimi temperaturami i zaczyna mu brakować samokontroli, co skutkuje drażliwością i gwałtownym rozładowywaniem emocji. Z kolei bardzo niskie temperatury zniechęcają do aktywności, co ma podłoże ewolucyjne. Niedobór słońca na poziomie fizjologicznym sprzyja spadkowi nastroju, a u osób podatnych pojawiają się stany depresyjne. Niemożliwość realizacji czynności na świeżym powietrzu (np. sportu, hobby czy nawet pracy) stanowi czynnik stresogenny, nie mówiąc o fizjologicznych konsekwencjach braku świeżego powietrza bądź braku ruchu.

Czy możemy się spodziewać, że w najbliższej przyszłości przy wyborze asortymentu sklepy będą uwzględniać czynniki pogodowe?

Intuicyjnie od dawna robią tak sprzedawcy produktów sezonowych, którzy wprowadzają programy rabatowe w zależności od pogody.

– Sklepy już to robią, choć może jeszcze nie „na bieżąco". Jestem przekonany, że tylko techniczne trudności związane z szybką zmianą produktów na ekspozycji powstrzymują sprzedawców od dostosowywania sprzedaży do pogody. Na razie takie dostosowanie oparte jest głównie na praktycznym związku produktu z pogodą, ale im bardziej sprzedawcy będą świadomi psychologicznych związków pogody z zakupami i im bardziej spójna będzie teoria w tym zakresie, tym częściej pogoda będzie oddziaływać na asortyment na półkach – mówi dr Polak.

W przypadku sprzedaży w internecie pogoda wydaje się odgrywać szczególnie dużą rolę. W pierwszym tego typu badaniu eksperci kierowani przez Sebastiana Steinkera udokumentowali na przykładzie sklepu Zalando, że temperatura, deszcz i stopień nasłonecznienia mają bardzo istotny wpływ na sprzedaż. Włączenie danych pogodowych do modelu prognozy sprzedaży może prowadzić do mniejszej liczby błędów w prognozach sprzedażowych, zmniejszając je średnio od 8,6 do 12,2 proc. i do 50,6 proc. w letnie weekendy. Przy odpowiednim planowaniu nadmiarowe koszty mogą być zmniejszone o ponad 11 proc.

Jak wskazuje Bartłomiej Serafiński, ekspert z firmy Touch Ideas zajmujący się budowaniem marek, ciekawym przypadkiem było wprowadzenie do sprzedaży kurtki Apex Flex GTX. The North Face połączył siły ze Spotify, aby stworzyć piosenkę dostosowaną do deszczowej pogody. Nowy utwór White Denim „No Nee Ta Slode Aln" jest dostępny tylko dla tych słuchaczy w USA, u których akurat pada deszcz. Celem jest oczywiście przekonanie ich, że bardzo potrzebują nowej kurtki.

Z kolei GruberGreets, aplikacja do dostawy żywności, w chłodne dni wysyła powiadomienie o bezpłatnej dostawie potencjalnym konsumentom, którzy mieszkają w określonym regionie. Zakłada, że docelowa grupa odbiorców woli pozostać w domu, gdzie jest ciepło, niż zmagać się z chłodem, i odebrać tam obiad.

Jeśli jest gorąco, pochmurnie i wietrznie, wzrasta liczba sprzedanych steków.
Jeśli wiatr osłabnie, a chmury się rozwieją, wzrasta liczba sprzedanych burgerów

– Marketingowcy i specjaliści od reklamy często starają się stworzyć skojarzenia pewnych warunków (także pogodowych) ze swoimi produktami, czy to z uwagi na ich faktyczne dopasowanie (reklama lodów będzie zawierać ujęcia ze słonecznej plaży), czy w sposób całkowicie sztuczny (świąteczno-zimowe reklamy Coca-Coli). Pamięć działa na zasadzie skojarzeń, zatem jeśli zimowy, śnieżny dzień kojarzy nam się z colą, to kiedy spadnie śnieg, na pewno przypomnimy sobie o jej istnieniu i być może nabierzemy na nią ochotę – dodaje dr Polak.

Pogoda wpływa również na kampanie reklamowe. Kampania Digital Out-of-Home (DOOH) zawierała przekazy, które zmieniały się w zależności od pogody. Trzy rodzaje warunków powiązano z różnym rodzajem kampanii. Np. w słoneczne dni wyświetlano reklamy produktów ogrodniczych, w deszczową pogodę komunikaty o odzieży przeciwdeszczowej, a w pochmurną – reklamy produktów do majsterkowania w pomieszczeniach.

– Sprzedaż lodów, wody butelkowanej, piwa (szczególnie lekkich piw smakowych) zależy wprost od temperatury. Do tego wzrasta sprzedaż kremów przeciwsłonecznych. „Na chandrę" i „długie jesienne filmowe wieczory" konsumenci wybierają słodycze i przekąski. Gdy jest zimno, zwiększa się sprzedaż ciepłej odzieży i proszków do pieczenia – uzupełnia Bartłomiej Serafiński.

Jeśli temperatury w Wielkiej Brytanii osiągną ponad 18 stopni, w supermarketach następuje 22-proc. wzrost sprzedaży napojów gazowanych, 20-proc. wzrost sprzedaży soków i 90-proc. wzrost sprzedaży mebli ogrodowych. Pogoda może wpływać na częstość zakupów pewnych produktów, np. parasoli czy grilli. Takie efekty są najczęściej obserwowane w branży mody.

– Innym mechanizmem wpływu pogody jest uproszczenie podejmowania decyzji – rzeczy niedawne, szokujące bądź niezwykłe wydają nam się bardziej prawdopodobne. W badaniu Busse i współpracowników z 2015 r. (przeprowadzonych w USA) wykazano, że 25-centymetrowy opad śniegu zwiększał zakupy aut terenowych przez następne dwa-trzy tygodnie – zwyczajnie dlatego, że ludziom przypomina się, że auto 4x4 najlepiej sobie poradzi w takich warunkach. W tym samym badaniu wykazano, że nadmiernie wysoka temperatura (5-6 stopni ponad normę) zwiększała sprzedaż kabrioletów. Z podobnych względów opady śniegu sprzyjają zakupom nart, a ciepłą wiosną chętniej kupujemy rowery – komentuje dr Polak.

Wpływ pogody na decyzje konsumentów jest złożony i trudno sprowadzić go do chwytliwych uogólnień. Gdy Florian Badorf i Kai Hoberg z Kühne Logistics University przeanalizowali 673 sklepy, udokumentowali, że wpływ pogody zależy w dużym stopniu od lokalizacji i rodzaju sklepu. Ich analizy wykazały, że może wynosić nawet 23,1 proc. w zależności od lokalizacji i aż 40,7 proc. w zależności od obszaru sprzedaży.

W innych badaniach zyski sklepów zależały od ruchu samochodowego. Jak wykazały z kolei Natalie Rose i Les Dolega z Uniwersytetu w Liverpoolu na podstawie obszernych danych dotyczących dziennej sprzedaży dużej sieci ponad 2 tys. sklepów na terenie całej Anglii, wpływ pogody jest największy w miesiącach letnich i wiosennych.

Co ciekawe, wiatr okazał się najbardziej znaczącym z czynników pogodowych. Wiatr i wilgotność przekładały się na zmniejszenie sprzedaży.

Zdaniem dr. Polaka trudno powiedzieć, jaka precyzja danych jest konieczna do osiągnięcia zamierzonego wzrostu sprzedaży. Ludzie różnie reagują na rozmaite bodźce i nie inaczej jest w przypadku pogody. Dlatego wydawać się może, że w psychologicznych teoriach brakuje nieco precyzji, ale taka jest natura człowieka, każdy jest inny i nie da się obliczyć „idealnej temperatury" czy „idealnego nasłonecznienia", przy którym wszyscy będą chcieli kupić konkretne produkty.

Walmart od lat analizuje korelacje między pogodą a nawykami zakupowymi klientów. I choć nie wszystkie da się racjonalnie wyjaśnić i podać uzasadnienie, to wzorce są widoczne gołym okiem.

Jeśli jest gorąco, pochmurnie i wietrznie, wzrasta liczba sprzedanych steków. Jeśli wiatr osłabnie, a chmury się rozwieją, wzrasta liczba sprzedanych burgerów.

Walmart miał dziewięć lat na analizę korelacji decyzji klientów z pogodą w ich regionie. Dlatego teraz z większą dokładnością i wyprzedzeniem może zamawiać towar i dostarczać go do odpowiednich marketów. A jak sprawić, żeby klienci towar kupili? Cóż, Walmart stosuje precyzyjne targetowanie reklamowe na poziomie kodu pocztowego, czyli na podstawie prognozy pogody. I mieszkańcom okolic Nowego Orleanu wyświetla reklamy steków, a mieszkańcom San Francisco – jagód.

Światowa Organizacja Meteorologiczna w raporcie z 2021 r. stwierdzała, że przyszłość prognozowania pogody – nie tylko dla handlu – jawi się jako jeszcze bardziej dokładna – można będzie ją przewidywać z wyższą rozdzielczością, dla mniejszych lokalizacji, a przewidywania będą bardziej trafne. Użytkownicy danych meteorologicznych z wyprzedzeniem kilku minut będą otrzymywać powiadomienia, że zaraz rozpęta się burza lub silny wiatr. Co to oznacza dla sieci handlowych? Że te, które korelują pogodę ze sprzedażą, będą miały do dyspozycji więcej bardziej trafnych danych. Możliwe, że sieci – zwłaszcza w USA – same zaczną inwestować w przewidywanie pogody. Prognozy wskazują, że europejski rynek prognozowania pogody urośnie z 382,76 mln dol. w 2021 do 715,92 mln dol. w 2028 r. Oznacza to większą dostępność bardziej wiarygodnych danych, więc nawet jeśli Biedronka, Groszek czy Lewiatan same nie zainwestują w prognozowanie pogody na potrzeby swojego marketingu i logistyki, to możliwe, że będą musiały zainwestować w analizę big data nowych, bardziej dokładnych danych pogodowych. ●

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci", którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmienić szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej" czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:
FANUC

eprasa.pl 9f18aadd43

• Marjorie Wallace z „milczącymi" bliźniaczkami. Po lewej Jennifer Gibbons, po prawej jej siostra – June
FOT. PA IMAGES VIA GETTY IMAGES

BEZ MOJEGO CIENIA CZY UMRĘ?

Kiedy poznałam June i Jennifer Gibbons, milczące bliźniaczki, miały lat 18 i przebywały w areszcie śledczym. Wtedy zdecydowały, że zostanę ich głosem.

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

Z **MARJORIE WALLACE***, DZIENNIKARKĄ ŚLEDCZĄ, AUTORKĄ KSIĄŻKI REPORTERSKIEJ PT. „MILCZĄCE BLIŹNIACZKI", ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Podobno chciała pani zostać korespondentką wojenną, zamiast tego zajęła się pani zdrowiem psychicznym.
– I szybko się okazało, że jedno nie różni się aż tak bardzo od drugiego.

Kiedy na początku lat 70. dołączyłam do zespołu dziennikarzy śledczych w „The Sunday Times", wielu moich kolegów wysyłano w strefy działań wojennych. Też chciałam jechać, niemal błagałam o to moich przełożonych, ale za każdym razem słyszałam: „Masz dziecko". A potem: „Masz dwoje, troje, czworo dzieci. Nigdzie cię nie puścimy". Byłam wściekła i rozczarowana, więc rzuciłam się w wir pracy na miejscu.

Ujawniliśmy wtedy skandal związany z talidomidem, lekiem o działaniu uspokajającym i przeciwwymiotnym, który przepisywano kobietom w ciąży. Po latach okazało się, że powodował deformacje płodu. Dzieci rodziły się bez rąk, bez nóg, z nieprawidłowymi organami wewnętrznymi. Kiedy zlecono mi ten temat, skontaktowałam się z rodzinami dotkniętymi tą tragedią. Było ich prawie 500, ich dzieci miały wówczas po 10-12 lat, ale wiele rodzin żyło we wstydzie, w ukryciu. Pamiętam, jak kiedyś wniosłam na rękach do kawiarni jedno z tych dzieci, wszyscy wyszli.

Z czasem zdobyłam reputację dziennikarki piszącej o ważnych tematach społecznych. Przez cały ten czas pilnie śledziłam, co się dzieje w psychiatrii. Po pierwsze, byłam absolwentką psychologii, a po drugie, wyszłam za mąż za Andrzeja Skarbka, polskiego hrabiego, psychiatrę i psychoanalityka, więc cały okres „zalotów" spędziłam na oddziałach rozmaitych szpitali psychiatrycznych, przyglądając się pacjentom i ich rodzinom.

Zawodowo zajęłam się tym tematem na początku lat 80., kiedy to ówczesna premier Margaret Thatcher uznała, że te szpitale powinny zostać zamknięte.

Dlaczego?
– Były przepełnione. Niektóre stały się wysypiskami, na których pozbywano się niewygodnych krewnych. Oczywiście nie wszędzie było źle, jednak utrzymanie ich wszystkich było bardzo kosztowne. Wiktorianie, którzy je zbudowali, wychodzili z założenia, że choroby psychicznej nie da się wyleczyć, za to można pacjentom podarować najlepszą architekturę, a także duże, otwarte przestrzenie, gdzie będą mogli obcować z naturą.

Za rządów Thatcher zdecydowano, że leczenie chorych psychicznie powinno się odbywać poza szpitalami.

Postawiono na tak zwaną psychiatrię środowiskową. W tym modelu pacjenta leczy się w jego otoczeniu, blisko domu. Wydaje się, że to bardzo dobry pomysł.
– Świetny, tyle że utopijny.

Pacjenci szpitalni mieli zostać przeniesieni do przyjaznych hosteli, specjalnych mieszkań, wrócić do rodzin. Roztaczano wizję ślicznych zadrzewionych alejek, wspierającej społeczności. To wspaniały pomysł, o ile zostanie dobrze przemyślany i zainwestuje się w niego odpowiednie środki finansowe. Tu nie wydarzyło się ani jedno, ani drugie. Podobna zmiana modelu leczenia przebiegała równolegle w innych krajach. W Stanach Zjednoczonych już dziesięć lat wcześniej pojawił się ruch antypsychiatrii i krytyka instytucjonalizacji. We Włoszech pod koniec lat 70. zaczęto likwidować szpitale, po czym nagle okazało się, że dworce kolejowe zapełniają się pozostawionymi samym sobie cierpiącymi ludźmi. W Wielkiej Brytanii pacjentów odesłano do podrzędnych hotelików i mieszkań, niektórzy wylądowali na bruku, a inni wrócili do rodzin, co przerosło wiele z nich. Część tych zrozpaczonych ludzi zwróciła się do mnie. Wysłuchałam ich, po czym oznajmiłam redaktorowi naczelnemu: „To jest skandal XX wieku! Musimy o tym napisać". Nie był przekonany.

Jak to?
– To było absolutne tabu. Nie wolno było powiedzieć głośno, że z tą reformą jest coś nie tak. Można jej było jedynie przyklasnąć, bo przecież chodziło „o wolność i podmiotowość ludzi chorych psychicznie". Kto miał inne zdanie, był uważany za reakcjonistę. Tymczasem w wielu domach, za zamkniętymi drzwiami nie tylko biednych mieszkań socjalnych, ale również zamożnych rezydencji, odbywał się dramat. W końcu mój szef dał mi sześć miesięcy na udowodnienie, że to, co się dzieje, jest oburzające. Kiedy przez te pół roku spotykałam się z pacjentami, którzy zostali przeniesieni do okropnych, urągających wszelkim standardom kwater jak z powieści Dickensa, porozmawiałam z ich przerażonymi, bezradnymi bliskimi, zdałam sobie sprawę, że nikt nie liczy ofiar tej reformy. Samobójstw, złamanych życiorysów, tej rozpaczy. Poczułam się, jakbym nadawała korespondencję z jakiejś zapomnianej wojny. To był mój front! Przez te pół roku opublikowałam w „The Sunday Times" serię artykułów pt. „Zapomniana choroba" („The forgotten illness"). Odzew był ogromny i obnażył skalę cierpienia.

Założenia reformy są szlachetne. Chodzi o to, żeby osoby w kryzysie psychicznym nie były wyrywane ze swojego otoczenia.
– Teoretycznie zespoły leczenia środowiskowego złożone ze specjalistów miały jeździć do domów pacjentów i tam świadczyć pomoc – medyczną, terapeutyczną. W nielicznych miejscach to się sprawdziło, ale ponieważ ta zmiana została przeprowadzona na przemysłową wręcz skalę, nie miała prawa się udać. Proszę sobie wyobrazić, że w ciągu niecałych dziesięciu lat zamknięto 120 szpitali! Wielka Brytania straciła dwie trzecie łóżek dla pacjentów psychiatrycznych. Wielu z nich naprawdę nie miało dokąd pójść. I po tych ponad 35 latach część z nich nadal nie ma dokąd się udać.

Nie słyszała pani oklasków.
– Wielu uważało, że najchętniej wsadziłabym osoby chore psychicznie do wygłuszonej celi bez klamek i wyrzuciła klucz. Pamiętam, jak po emisji godzinnego dokumentu, który nakręciłam dla BBC, o tym, co się dzieje, zorganizowano debatę w studiu. Z publiczności poleciały w moją stronę zgniłe pomidory. Potem ktoś groził mi w liście, że jeśli „natychmiast nie zdejmę swojej pięknej buzi z telewizji", on już zadba o to, że zostanie zdjęta. Krytykowali mnie też niektórzy pacjenci. Na przykład ci, którzy uważali się za ocaleńców systemu psychiatrycznego. Wierzyli, że to nie choroba powoduje ich cierpienie, tylko sposób, w jaki ich leczono w placówkach. I w ogóle sam fakt zamknięcia oraz odebrania im praw. Tyle że ja zupełnie nie byłam za powrotem do pełnej instytucjonalizacji! Ale za tym, żeby przeprowadzić tę reformę z głową. To był trudny czas.

Jakie stanowisko zabrał w tej dyskusji rząd?
– Milczał. Na pewno nie pomogło to, że w tym czasie do jednego worka wrzucono choroby psychiczne oraz inne schorzenia, nie rozróżniając pomiędzy osobami z diagnozą schizofrenii czy ciężkiej depresji a osobami z porażeniem mózgowym na przykład. System ochrony zdrowia miał ich traktować tak samo.

Z czasem coraz więcej osób zaczęło widzieć, że system nie działa tak, jak powinien. A im więcej zaczęło się mówić i pisać na temat zaburzeń psychicznych, tym więcej osób zrozumiało, że ważny jest i komponent genetyczny, i środowiskowy, i biochemiczny i że niektórzy po prostu wymagają długotrwałego, złożonego leczenia, w tym hospitalizacji.

W 1986 roku założyła pani organizację charytatywną działającą w obszarze zdrowia psychicznego – SANE. Dla kogo?
– Przede wszystkim dla tych, którzy w wyniku tej reformy zostali pozostawieni sami sobie. Wielu z nich nie miało nikogo, kto mógłby im pomóc, chociażby wysłuchać. Ale też z myślą o rodzinach, które do dziś często odsuwa się na bok. Nie udziela się im na przykład podstawowych informacji o chorobie bliskiego z powodu zasady poufności, jednak to oni muszą się nim zajmować, sprzątać po nim, jeśli sam nie jest w stanie, pilnować, żeby nie zrobił sobie krzywdy, czy czuwać w czasie jego bezsennych nocy. Lekarze często nie chcą słuchać bliskich, nikt nie ma dla nich czasu.

Proszę sobie wyobrazić, że osobami, które mnie wspierały w zakładaniu fundacji, byli sędziowie i policja. Bo wcale nie mieli ochoty aresztować osób cierpiących psychicznie, które na przykład wdały się w awanturę na ulicy. Chcieli wiedzieć, jak im pomóc, jak z nimi rozmawiać.

W SANE założyliście też linię telefoniczną otwartą po godzinach pracy placówek, bo kryzysy nie zdarzają się tylko w dni powszednie między 8 a 16.
– To był pierwsza taka infolinia w kraju. Dla pacjentów, opiekunów, profesjonalistów, nauczycieli. Naszym głównym zadaniem było informowanie dzwoniących, jak w ogóle działa system ochrony zdrowia i gdzie w najbliższej okolicy mogą dostać pomoc. Oferowaliśmy też wsparcie emocjonalne. Chodziło o to, żeby tych ludzi nie tylko wysłuchać, ale też spróbować wydobyć ich z tej rozpaczy. Oczywiście, posiadanie informacji nie leczy, jednak przynosi ulgę, otwiera możliwości. W SANE stworzyliśmy pierwszy skomputeryzowany system informacji, więc jeśli ktoś dzwonił do nas z drugiego końca kraju, na przykład ze Szkocji, byliśmy w stanie podać mu adresy wszystkich lokalnych poradni zdrowia psychicznego, ale też grup wsparcia w najbliższym miasteczku czy wsi, lokalnego wikariusza, który organizuje cotygodniowe podwieczorki dla samotnych, zajęć świetlicowych itd. Chodziło też o to, żeby zmotywować ludzi do wyjścia z domu.

Ile telefonów odbieracie tygodniowo?
– Kiedyś około tysiąca. W tej chwili, kiedy istnieją różne inne telefony kryzysowe, pomagamy blisko tysiącu osobom miesięcznie, za to głębiej. Nie poprzestajemy na jednej rozmowie. Kończąc, oferujemy, że oddzwonimy za kilka dni, co jest szczególnie ważne w przypadku osób w głębokim kryzysie. Sprawdzamy, jak się mają.

Czy dziś ludzie dzwonią z innymi problemami, czy nie zmieniły się one na przestrzeni lat?
– Zdecydowanie wzrosła liczba osób, które zgłaszają samookaleczanie. Kiedy zaczynaliśmy, może 10 proc. naszych rozmówców mówiło właśnie o tym. Dziś – 79 proc. Znacznie więcej osób mówi też o próbach samobójczych. Przybrało to już rozmiar epidemii.

Podobnie jest w Polsce, w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych. Specjaliści od zdrowia psychicznego, szczególnie dzieci i młodzieży, załamują ręce. Ma pani hipotezę, dlaczego tak się dzieje?
– Trudno wskazać jedną przyczynę, ale młodszemu pokoleniu, szczególnie dorastającym dziewczętom, na pewno nie przysłużyły się media społecznościowe, które na przykład zamieniły zaburzenia odżywiania w zawody. Z kolei z przeprowadzonych przez nas badań wynika, że 70 proc. osób, które się okaleczają, robi to, żeby powstrzymać się przed zrobieniem kroku dalej. I żeby chronić swoich bliskich przed swoimi trudnymi emocjami. W ten sposób „radzą" sobie z psychiczną udręką.

Wydaje mi się, że dużą rolę w pogarszającym się stanie zdrowia psychicznego odgrywa samotność. Osoby, które do nas dzwonią, znacznie częściej wspominają już nie tylko o tym, że czują się samotne, ale że w ogóle żyją w izolacji. Niektórzy całymi tygodniami nie opuszczają domów, nie mają żadnych kontaktów społecznych.

Jak teraz wygląda dostęp do opieki psychiatrycznej i psychologicznej w Wielkiej Brytanii?
– Nie przywrócono żadnych łóżek psychiatrycznych, więc osobom w poważnym kryzysie psychicznym właściwie pozostaje zgłosić się na oddział ratunkowy w lokalnym szpitalu. Wiele z nich zostaje odprawionych z kwitkiem, bo nie ma dla nich miejsca albo odpowiedniego oddziału. Personel trzyma kciuki i liczy, że nie zrobią sobie krzywdy, a objawy się wyciszą. Dla tych osób niewiele się więc zmieniło. Zmieniło się za to dla tych, którzy na przykład chorują przewlekle na depresję albo na zaburzenia lękowe. Rząd zwiększył liczbę dostępnych psychoterapeutów pracujących w nurcie behawioralno-poznawczym. Listy oczekujących są długie, czasem na pierwszą wizytę czeka się kilka miesięcy, niekiedy rok, ale jest taka możliwość. Poza tym wiadomo, że taka terapia nie u wszystkich się sprawdza. Osoby z głębokimi zaburzeniami potrzebują innego rodzaju wsparcia.

Na pewno zwiększyła się świadomość zaburzeń psychicznych. Kiedy zaczynałam o tym pisać, szczęściem było znaleźć jeden akapit na ten temat w gazecie. Dzisiaj wystarczy otworzyć pierwszą z brzegu gazetę, włączyć radio, telewizję – każdy celebryta ma coś do powiedzenia na ten temat. Nawet rodzina królewska się zaangażowała.

Co pani o tym myśli?
– Bardzo dobrze, że temat stał się otwarty, ale nie wiem, na ile to zmienia sytuację osób z bardzo poważnymi, przewlekłymi, nawracającymi zaburzeniami, którzy potrzebują znacznie więcej niż otwartej rozmowy na ten temat.

Czego przede wszystkim?
– Gdyby pojawiła się pani na izbie przyjęć z silnym bólem w klatce piersiowej albo z wysoką gorączką, musiałaby pani zostać przyjęta, gruntownie zbadana, a po wypuszczeniu ze szpitala kazano by pani szybko zgłosić się na wizytę kontrolną. Tego ci ludzie potrzebują. Po prostu dobrej, adekwatnej do potrzeb opieki.

Podczas pracy nad cyklem artykułów o reformie psychiatrii w Wielkiej Brytanii trafiła pani na niezwykłą historię bliźniaczek.
– Opowiedział mi ją kolega, reporter wojenny. „Słuchaj, to twój temat" – przekonywał mnie. „Dziwna sprawa. W zachodniej Walii mieszkają dwie dziewczynki, bliźniaczki jednojajowe, ich rodzina pochodzi z Barbadosu.

eprasa.pl 9f18aadd43

Psycholog, który się nimi opiekuje, powiedział mi, że nigdy nie odezwały się do nikogo poza sobą. Nie rozmawiają ani z rodzicami, ani z rodzeństwem, ani z nauczycielami czy rówieśnikami". Nie chciałam jechać, ale coś w środku kazało mi wsiąść do pociągu.

Pojechała pani i...?
– Bliźniaczki, June i Jennifer Gibbons, wówczas 18-letnie, przebywały w areszcie śledczym, bo przez pięć tygodni dopuszczały się różnych aktów wandalizmu, kradzieży i podpaleń. Potem w ich pamiętnikach wyczytałam, że zawsze najpierw się upewniały, czy budynek, który chcą podpalić, jest pusty. Nie chciały nikogo skrzywdzić. To nadal poważne przestępstwo, ale na pewno nie zasługiwało na tak straszną karę, jaką im wymierzono.

Najpierw poznałam rodziców, w ich domu. To była cudowna, skromna rodzina. Ojciec pracował jako asystent kontrolera lotu w bazie RAF-u, matka pomagała w lokalnym szpitalu. Mieli pięcioro dzieci i jedyne, co było w tej rodzinie dziwne, to te bliźniaczki, które naprawdę rozmawiały wyłącznie ze sobą. Wyglądało na to, że zawarły pakt milczenia, jeśli chodzi o innych. Rodzice zaprowadzili mnie do ich sypialni na piętrze. Wszędzie leżały duże, czarne worki na śmieci wypełnione masą papierów – listów, notatników, pamiętników. Policja zwróciła je po wstępnych oględzinach. Okazało się, że dziewczęta same się kształciły. Po opuszczeniu szkoły w wieku 16 lat, za pieniądze z zasiłku, opłaciły korespondencyjne kursy z kreatywnego pisania. June wydała nawet jedną ze swoich książek, powieść pod tytułem „Uzależniony od pepsi-coli". W małym pokoiku na pierwszym piętrze stworzyły prawdziwą elektrownię wyobraźni, która pracowała w dzień i w nocy. Po tej wizycie pojechałam do aresztu.

Usiadły przede mną jak dwie sztywne lalki. Patrzyły przed siebie pustym wzrokiem, milczące. Od czasu do czasu poruszały się wolno, synchronicznie. Myślałam, że nic z tego nie będzie, ale postanowiłam zaryzykować. – Przejrzałam to, co napisałyście – powiedziałam. I wtedy nagle June, trochę się jąkając, spytała: – I co? Podobało się pani? Sala odwiedzin zamarła. Nikt nie mógł uwierzyć, że bliźniaczki mówią. Wtedy zdecydowały, że zostanę ich głosem. Dowiedziałam się o tym później, z pamiętników, które mi podarowały. Są niezwykłe. Muszę je pani pokazać. [*Marjorie Wallace wyjmuje z szuflady kartki w jedną linię zapisane gęsto drobnym maczkiem, między liniami mieści się po kilka wersów*].

Niesamowite! Jakie drobne pismo!
– Napisały ponad milion słów. Kiedy zaczęłam je rozszyfrować, co zajęło mi wiele nocy, zdałam sobie sprawę, że to nadzwyczajne pisarstwo – idealnie skonstruowane zdania, idealna gramatyka, a miejscami ten dramatyczny język! „Bez mojego cienia czy umrę? Czy też będę żyć dalej?", „Tego cienia, który okrada mnie ze światła słonecznego!". W tych pamiętnikach wyraźnie widać, jak siostry walczyły o swoją tożsamość i odrębność. Jaka pełna miłości i nienawiści była ich relacja. Obie czuły się w niej uwięzione.

A potem uwięziono je w szpitalu.
– Skazano je na pobyt w Broadmoor, specjalnym szpitalu psychiatrycznym o zaostrzonym nadzorze dla osób z zaburzeniami psychicznymi, które dokonały przestępstw – gwałtów, morderstw, napaści. Takie szpitale zawsze muszą być. To był nieprawdopodobnie niesprawiedliwy wyrok.

Dlaczego akurat Broadmoor?
– Uznano, że mają skłonności psychopatyczne i stanowią zagrożenie dla siebie oraz dla innych. Owszem, były niebezpieczne dla siebie. Ich kłótnie potrafiły być niezwykle intensywne, ale nie były niebezpieczne dla nikogo innego. Poza tym żaden inny szpital nie był gotowy ich przyjąć. Nie mogły przebywać w jednej sali, ale kiedy je rozdzielano, przestawały jeść, ruszać się, w ogóle funkcjonować. Odwiedziłam wielu lekarzy w poszukiwaniu lepszego rozwiązania dla nich, ale mówili wprost: „Nie damy sobie z nimi rady". Myślę, że się ich bali, bo bliźniaczki były trochę upiorne. Ludzie mieli poczucie, że tkwi w nich jakaś tajemnicza, dziwna siła.

Pani nie?
– Nie, bo czytałam na bieżąco, co myślą i czują. I wiedziałam, że nie ma się czego obawiać. Nikt ich nie chciał, poza Broadmoor. Sędzia dał im bezterminowy wyrok, co oznaczało, że będą mogły wyjść, kiedy przestaną stanowić zagrożenie.

Na łamach „The Sunday Times" zaczęłam prowadzić kampanię w ich sprawie. Dowodziłam, że bliźniaczki są dwiema zagubionymi nastolatkami, które mają swoje problemy, ale nie są groźne. Długo walczyłam, żeby je wypuszczono, bezskutecznie. W pewnym momencie zadzwonił do mnie ich psychiatra prowadzący i spytał, czy nie mogłabym ich czasem odwiedzić, bo słyszał, że ze mną rozmawiają, a w szpitalu oczywiście nie odzywały się do nikogo. „Są całe pani – powiedział wspaniałomyślnie.

Niektóre wizyty łamały mi serce. Jeśli dziewczyny walczyły ze sobą, rozdzielano je i jedną wsadzano do izolatki. Wtedy były w kiepskim stanie, błagały mnie, żebym zrobiła coś, żeby znów mogły się widywać.

Przeraziłam się, kiedy zmieniono im diagnozę. Z zaburzeń zachowania w schizofrenię.

Dlaczego to panią przeraziło?
– Przeczytałam wszystko, co napisały, spędziłam wiele godzin na rozmowach z nimi i przynajmniej w June nie było nic, co wskazywałoby na schizofrenię. Żadnych objawów typu dezintegracja myślenia, słyszenie głosów, urojenia. Jennifer cierpiała na jakieś zaburzenie psychiczne, ale po pierwsze, nie było ono bardzo dotkliwe, po drugie, to też nie były klasyczne objawy schizofrenii. Podano im leki przeciwpsychotyczne, faszerowano lekami na uspokojenie. Pytałam psychiatrę z Broadmoor: dlaczego im to robicie? Odpowiedział: – Bo nie wiemy, co innego mielibyśmy zrobić. Pytałam też, czy czytał cokolwiek z tego, co dziewczyny napisały. Machnął ręką: – Nie, nie będę czytał jakichś pornograficznych bzdur.

> Zrozumiałam, że dziewczyny zawarły kolejny pakt: jedna z nich musiała umrzeć, żeby druga mogła odzyskać wolność

– Może im pani załatwić kurs pisania, maszyny do pisania, co tylko pani zechce". Zaczęłam jeździć regularnie do Broadmoor, aż June i Jennifer zaproponowały, żebym napisała o nich książkę. Same nie mogły tego zrobić z powodu intensywnej relacji, która je łączyła. Cenzurowałyby się nawzajem.

Dlaczego w ogóle chciały, żeby powstała ta książka?
– June mi kiedyś wyjawiła: „Chciałyśmy być znane jako te genialne i niezwykłe, żeby zapamiętano nas jako pisarki, że jesteśmy jak Jane Austen, D.H. Lawrence czy Emily Brontë. Chciałyśmy też, żeby ludzie byli świadomi, że my też czułyśmy, myślałyśmy, miałyśmy historię do opowiedzenia". Początkowo chciały ją zatytułować „Szmaciane lalki", później „Dwie przeciwko światu". Ostatecznie stanęło na „Milczących bliźniaczkach".

Jaką pani miała motywację?
– Kiedy poznałam June i Jennifer, byłam matką trójki małych chłopców i właśnie odeszłam od męża, hrabiego Skarbka. Pracowałam ciężko w „The Sunday Times", byłam główną żywicielką rodziny i myślałam, że nie mogę wziąć na siebie jeszcze jednego zobowiązania. Przekonały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, im bardziej poznawałam bliźniaczki, tym bardziej pociągała mnie psychologiczna walka między nimi, z tą całą artylerią słów, którą przeciwko sobie wytaczały. Fascynowało mnie to, a poza tym przypominało mi mój nastoletni okres, kiedy czułam się równie samotna i niezrozumiana. Po drugie, czułam rosnącą odpowiedzialność wobec nich. Wie pani, jeśli ktoś ofiarowuje pani wgląd w swoje pamiętniki, w każdą swoją myśl, w każdą agonię, emocję, to daje pani swoją duszę. A to rodzi zobowiązanie.

W Broadmoor siostry spędziły w sumie jedenaście lat.
– I przez ten czas ciągle je odwiedzałam. Dwa lata po tym, jak je poznałam, urodziła się moja córka, więc jeździłam do nich prawie w każdy weekend z czwórką małych dzieci. Wyprawa do Broadmoor stała się naszą niedzielną atrakcją. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to najbardziej popularna forma spędzania czasu przez rodziny z małymi dziećmi...

Ostatnia wizyta była przykra.

Co się stało?
– Pojechałam tylko z córką, wtedy już ośmioletnią. Siedziałyśmy w sali odwiedzin, razem z innymi pensjonariuszami, głównie mężczyznami, kiedy nagle w połowie rozmowy Jennifer przerwała: „Marjorie, Marjorie! Niedługo umrę!". June tylko pokiwała głową. Zatkało mnie. Posłałam córkę, żeby wzięła sobie ciastko z bufetu. Zrozumiałam, że dziewczyny zawarły kolejny pakt. Tym razem polegał na tym, że jedna z nich musiała umrzeć, żeby druga mogła odzyskać wolność. Nie mogły żyć już ani razem, ani osobno. Zdecydowały więc, że tą, która poświęci swoje życie, kiedy wyjdą z Broadmoor, będzie Jennifer. Bo June urodziła się jako pierwsza, była tą pierworodną. No i była bardziej zintegrowana.

Okoliczności śmierci Jennifer są bardzo tajemnicze.
– Dużo rozmawiałam o tym z June. Nawet kilka miesięcy temu, kiedy byłam u niej z wizytą na Wielkanoc. Nie wiedziały dokładnie, którego dnia je wypuszczą, więc nie mogły tego zaplanować. Dzień wcześniej Jennifer poczuła się gorzej. Była osłabiona, wymiotowała, ale to nie było nic alarmującego. Kiedy wsiadły do minibusu, który miał je przewieźć do kliniki blisko domu, gdzie miały spędzić jakiś czas, Jennifer osunęła się na ramię siostry. Wydawała się bardzo zmęczona. Kiedy dojechały na miejsce, nie było już z nią właściwie kontaktu. Przewieziono ją do szpitala. O szóstej wieczorem była w śpiączce. Dwie godziny później dostałam telefon, że nie żyje. Nie byłam zaskoczona. Kiedy zorientowałam się, że zawarły taką umowę, wiedziałam, że doprowadzą ją do końca.

Jennifer miała 29 lat. Sekcja zwłok wykazała, że zmarła wskutek ostrego zapalenia mięśnia sercowego, ale wcześniej nie chorowała.
– Patolog, który badał jej serce, powiedział, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział i że była to bardzo gwałtowna i niezrozumiała śmierć. Zapytałam kiedyś June, czy wierzy w wudu. „Oczywiście, że nie!" – obruszyła się. Ale obie się zgodziłyśmy, że jest w tym coś nadprzyrodzonego. Wierzę, że stała za tym ta sama potężna siła woli, która sprawiła, że dziewczyny przestały się komunikować ze światem. To ona moim zdaniem zabiła Jennifer.

Kiedy odwiedziłam June kilka dni po śmierci siostry, pisała piękne wiersze o żałobie. Ale powiedziała mi wtedy coś jeszcze, co zostanie ze mną na zawsze: „Marjorie, czy mogłabyś załatwić, żeby nad naszym miasteczkiem przeleciał samolot z transparentem, na którym będzie napisane: »June żyje i ma się doskonale. Jest sobą. Stała się samodzielna«?". Wreszcie czuła się wolna. Spytałam ją raz, czy kiedykolwiek myślała o samobójstwie. Niektóre bliźniaczki, zostając same, mają takie myśli. „Dlaczego? – zdenerwowała się. – To byłaby zniewaga dla Jennifer! Po tym, jak oddała dla mnie życie, jak mogłabym jej to zrobić?".

Jak się ma dziś?
– Świetnie. Nadal mieszka w Walii. Od wielu lat nie korzysta z pomocy psychiatrycznej. Żyje cichym, dość samotniczym życiem. Nie interesuje ją popularność, nie udziela wywiadów. Nie chce, żeby coś zburzyło jej rutynę. Jest bardzo wierząca. Nie chodzi do kościoła, ale codziennie czyta Biblię. W ogóle dużo czyta, słucha muzyki, głównie klasycznej. Ma w sobie duży spokój. Widać, że jest pogodzona ze sobą. Nie ma w niej cienia kogoś z psychopatycznym zaburzeniem osobowości. Zawsze dopytuje o mnie, o moją rodzinę. Kiedy ostatnio się widziałyśmy, spytała: „Marjorie, zdajesz sobie sprawę, że nasza przyjaźń trwa już czterdzieści lat?".

Jak ocenia te jedenaście lat spędzonych w Broadmoor?
– Zawsze miała poczucie, że to była wielka niesprawiedliwość: „Okradli nas z naszej młodości". Ale ostatnio coś się w niej zmieniło. Powiedziała: „Wiesz co? Nie mogę iść dalej przez życie, ciągnąc za sobą ten żal. Muszę zaakceptować, że co się stało, już się nie odstanie". Jest odporna psychicznie, rozważna i bardzo cicha. Powiedziała mi niedawno: „Nie jestem milczącą bliźniaczką. Jestem po prostu cichą bliźniaczką".

Ale ta historia, której oddałam kawał życia, nie opowiada wyłącznie o bliźniaczkach, tylko o bardzo intensywnych relacjach międzyludzkich w ogóle, kiedy to ludzie nie są w stanie żyć razem, ale nie potrafią też żyć bez siebie. ●

*Marjorie Shiona Wallace

• ur. w 1943 r. w Kenii brytyjska dziennikarka śledcza, radiowa i autorka książek. Założycielka i dyrektorka fundacji SANE zajmującej się zdrowiem psychicznym. Absolwentka psychologii oraz filozofii na University College London. Po studiach pracowała jako producentka The Frost Programme oraz programów stacji London Weekend Television. Następnie w BBC zajmowała się m.in. problemami osób w kryzysie bezdomności i działalnością Irlandzkiej Partii Republikańskiej. W 1972 roku dołączyła do redakcji „The Sunday Times". Opisała m.in. ciężkie deformacje płodów wywołane stosowaniem talidomidu, katastrofę związaną z wydzieleniem się dioksyn w zakładzie chemicznym w Seveso, publikowała prekursorskie reportaże na temat chorób psychicznych. Autorka książek reporterskich i filmów dokumentalnych. Jej książka „Milczące bliźniaczki" (wyd. Czarne) doczekała się adaptacji filmowej w reżyserii Agnieszki Smoczyńskiej. Laureatka wielu nagród, m.in. prestiżowego Orderu Imperium Brytyjskiego

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43

TO MNIE URZEKŁO

Cynizm zaangażowany

Nie ma już powrotu do naiwności, czyli 80 lat „Casablanki" w kinie

JAKUB MAJMUREK

FOT. WARNER BROS/COLLECTION CHRISTOPHEL/EAST NEWS

• **Rick i Ilsa, czyli Humphrey Bogart i Ingrid Bergman**

80

80 lat temu, 26 listopada 1942 roku, w Nowym Jorku miała miejsce uroczysta premiera „Casablanki" – dzieła wracającego regularnie w rankingach typu „100 filmów wszech czasów". Stojące za produkcją studio Warner Bros. planowało początkowo premierę na początek roku 1943, ale postanowiło ją przyspieszyć, by skorzystać z tego, że amerykańskie wojska właśnie wylądowały w kontrolowanej przez Francję Vichy Afryce Północnej, gdzie dwa tygodnie przed premierą filmu zajęły miasto Casablanca.

Gdy film wchodził do szerokiej dystrybucji, w Casablance miała akurat miejsce konferencja Churchilla i Roosevelta na temat przyszłości wojny – studio nie mogło sobie wymarzyć lepszej reklamy.

Związki „Casablanki" i wojny sięgają jednak głębiej niż strategia promocyjna Warner Bros. To film w równej mierze o miłości, co o wojnie, melodramat, film antyfaszystowski, jeden z wielu obrazów, za pomocą których Hollywood próbowało przekonać Amerykanów, że udział ich kraju w wojnie z Niemcami jest konieczny. Zarówno w tym, co mówi o miłości, jak i o wojnie, „Casablanca" opowiada o przejściu od cynizmu i postawy egoistycznego wycofania do zaangażowania – miłosnego i politycznego.

O ile wydarzenia pokazane w „Casablance" są dziś odległą historią, a role płciowe, na jakie rozpisana została miłosna historia Ricka i Ilsy, wyglądają mocno anachronicznie, to obecne w filmie napięcie między zaangażowaniem a cynicznym wycofaniem jest czymś, co czyni z niego żywą klasykę.

AMERYKANIN PO PRZEJŚCIACH

Jest koniec 1941 roku, nazistowskie Niemcy pokonały już Polskę, Francję, kraje Beneluksu, Danię i Norwegię, a nawet wojna na froncie wschodnim przeciw ZSRR ciągle nie idzie im najgorzej. Ameryka pozostaje neutralna, trzyma się z daleka od konfliktu w Europie.

Neutralność wobec historycznych wydarzeń próbuje także zachować przebywający we francuskiej, lojalnej wobec kolaboracyjnego rządu w Vichy Casablance Amerykanin Rick Blaine. Prowadzi bar, miejsce, gdzie można się napić, zagrać w ruletkę, posłuchać muzyki. Zbiera się w nim cały międzynarodowy tłum przetaczający się przez marokańskie miasto: miejscowy półświatek, francuska policja, uchodźcy z podbitej przez III Rzeszę Europy i nazistowscy oficerowie. Rick stara się nie wychylać. Choć w latach 30. szmuglował broń do broniącej się przed agresją Włoch Mussoliniego Etiopii, walczył w wojnie domowej w Hiszpanii, to teraz nie zamierza nadstawiać karku.

Z tego stanu izolacji, z cynicznego, a przy tym naznaczonego melancholią dystansu wyrywa go kobieta, która wkracza pewnego wieczoru do jego baru: Ilsa Lund. Rok wcześniej, w 1940 roku, para przeżyła burzliwy romans w Paryżu, w ostatnich miesiącach przed klęską Francji. Rick i Ilsa mieli wspólnie uciec z upadającego pod naporem nazistowskich Niemiec kraju. Tuż przed planowaną ucieczką Ilsa orientuje się jednak, że jej mąż, którego uważała za zmarłego – jeden z przywódców czeskiego ruchu oporu Victor Laszlo – żyje, choć jest ciężko ranny. Bez słowa wyjaśnienia porzuca Ricka, by wrócić do męża. Teraz przez Casablancę małżeństwo usiłuje przedostać się do Stanów.

Rick ma dokumenty, które mogą pomóc im uciec. Sam ciągle żywi jednak uczucia do Ilsy i staje przed wyborem: musi zdecydować, czy porzucić pozycję wycofania i bezpiecznego dystansu, zrzucić chroniącą przed zranieniem zbroję cynizmu, czy zignorować Ilsę i żyć własnym życiem. A gdy zdecyduje się już wystawić głowę z ukrycia, musi zadecydować, co wybrać: walkę o uczucia Ilsy czy pomoc uciekającemu przed nazistami małżeństwu. Wybiera to drugie, w finale niemal zmusza Ilsę, by wsiadła do samolotu, który ma zabrać ją i męża do Lizbony. Z neutralnej Portugalii małżeństwo będzie mogło przedostać się do Stanów. Sama Ilsa nie ma w filmie zbyt wiele miejsca do podjęcia decyzji, z którymi właściwie mężczyzną chce być – genderowo „Casablanca" daleka jest od wrażliwości współczesnych widzów.

Rick w 1941 roku ma 37 lat, jest zbyt młody, by być częścią ukształtowanego przez doświadczenie Wielkiej Wojny „straconego pokolenia", ale dzieli z nim jego niepokój, nieumiejętność ułożenia sobie normalnego, mieszczańskiego życia. Choć w 1941 roku nikt jeszcze specjalnie nie słyszał o egzystencjalizmie, Rick zapowiada bohaterów tego nurtu z ich niepokojami i moralną ambiwalencją.

Przede wszystkim jednak bohater „Casablanki" to metafora Stanów tuż przed drugą wojną światową. Bar Ricka, tak jak Ameryka, jest przystanią dla uciekających przed wojną uchodźców. Gdy Rick wykłada swoją filozofię niezaangażowania, skorumpowany oficer francuskiej policji, kapitan Louis Renault, stwierdza, że to „bardzo dobra polityka zagraniczna". Rick porzuca ją jednak, tak samo jak Ameryka włącza się do wojny po ataku na Pearl Harbor. Akcja „Casablanki" toczy się zresztą w grudniu 1941 roku, dosłownie w ostatnich dniach, zanim japońskie lotnictwo zbombarduje amerykańską bazę na Hawajach.

GENIUSZ HOLLYWOOD

„Casablanca" nie tylko wzywa amerykańską widownię do wsparcia wojennego zaangażowania ich kraju, ale też buduje obraz Ameryki, która – jakkolwiek cyniczna byłaby wcześniej jej polityka – jest siłą stojącą po stronie takich wartości jak wolność i sprawiedliwość, zdolną przeciwstawić się nazistowskiemu złu, stanowiącą schronienie dla ofiar politycznych prześladowań.

W jakimś sensie także plan filmu był takim schronieniem. „Casablanca" jest dziełem stworzonym przez migrantów i uchodźców. Reżyser filmu, Michael Curtiz, urodził się w żydowskiej rodzinie na Węgrzech, po kilku filmach nakręconych w Austrii przyjechał do Stanów skuszony szansami, jakie dawało mu Hollywood. Większość obsady stanowią aktorzy spoza Stanów, często zmuszeni uciekać ze swoich ojczyzn.

Odtwarzający rolę głównego nazisty Conrad Veidt wyemigrował z rodzinnych Niemiec po przejęciu władzy przez Hitlera. Podobnie drobny oszust, czyli węgiersko-niemiecki aktor Peter Lorre. Marcel Dalio, wcielający się w krupiera w lokalu Ricka, był francuskim aktorem, który po klęsce Francji w 1940 roku uciekł z kraju. Przez Hiszpanię, Portugalię i Meksyk przedostał się do Stanów.

„Casablanca" nie tylko pokazuje Hollywood jako przystań dla talentów z całego świata, ale stanowi też najlepszy dowód na swoisty „geniusz" stworzonego w złotym wieku fabryki snów systemu produkcji. Za filmem nie stoi bowiem żadna mocna wizja pojedynczego autora. Scenariusz jest adaptacją sztuki teatralnej, pracowało nad nim aż trzech scenarzystów. Reżyser dołączył do projektu jako człowiek do wynajęcia i choć Curtiz jak zawsze trzyma profesjonalny poziom, to w jego reżyserii nie ma szczególnej iskry geniuszu. Trudno wskazać choć jedną scenę „Casablanki", która zapadałaby w pamięć ze względu na to, jak została zainscenizowana. „Casablanca" jest dziełem całej zaangażowanej w film ekipy i systemu, który był w stanie zgromadzić w jednym miejscu grupę wyróżniających się talentów, dostarczyć im narzędzi do wspólnej pracy i zagwarantować jakość jej końcowych efektów.

Umberto Eco, który nie przepadał za „Casablancą", pisał, że jest ona nie tyle filmem, ile wieloma filmami w jednym. Faktycznie w produkcję „włożone" jest całe kino lat 30., czy raczej to, co wchłonęło z niego Hollywood. Mamy więc w „Casablance" echa niemieckiego ekspresjonizmu, francuskiego kina kolonialnego, kino wojenne, melodramat, wreszcie kino noir.

RICK, BOHATER NASZYCH CZASÓW

Ten ostatni gatunek jest obok melodramatu najważniejszy dla „Casablanki". Słusznie uchodzi on za najbardziej wyrafinowany produkt klasycznego Hollywood, za ten nurt amerykańskiego kina, który patrzy na tamtejszą rzeczywistość w najbardziej cyniczny sposób, wolny od idealistycznych złudzeń i mitów, jaki na swój temat opowiadają sobie Amerykanie.

Przemiana, jaką przechodzi w „Casablance" postać Bogarta, nie jest jednak przemianą bohatera filmu noir w bohatera melodramatu. Do dawnej naiwności, którą Rick utracił gdzieś po drodze do marokańskiego miasta, nie ma już powrotu. Ani ponowne zaangażowanie w miłość, ani w wojnę nie unieważnia dawnych życiowych lekcji, na których wzrósł cyniczny światopogląd Ricka. Ale choć cynizmu nie da się porzucić, nie popadając w dziecięcą naiwność, samym cynizmem też żyć się nie da.

Wszystkie te dylematy wokół cynizmu i idealizmu czynią z Ricka bardzo współczesnego nam bohatera. Z jednej strony cyniczna ironia wydaje się nieprzekraczalnym horyzontem współczesnej kultury. Z drugiej, świat zmierza w złym kierunku na tak wielu odcinkach, że widzimy, że cynizm nie wystarczy i czasem nie ma wyboru i trzeba się serio zaangażować. ●

eprasa.pl 9f18aadd43

weekendówka 28

Autorem wielu haseł jest **MICHAŁ RUSINEK**

WYBUCHOWA NAGRODA

27 listopada 1895 roku, Paryż. Alfred Bernhard Nobel właśnie spisał swój testament. To była jedna z najsławniejszych ostatnich woli w historii świata. Zgodnie z nią niemal cały ogromny majątek Nobla, ponad 30 mln szwedzkich koron, miał utworzyć fundusz, z którego dochody przeznaczone będą na nagrody w dziedzinach fizyki, chemii, medycyny, literatury i na polu zbliżenia między narodami.

Szwedzki wynalazca, inżynier, chemik już wcześniej zapewnił sobie jednak miejsce w dziejach. Otóż Alfred odziedziczył po ojcu, Immanuelu, zainteresowanie materiałami wybuchowymi, smykałkę do biznesu oraz wielki talent badawczo-odkrywczy. Eksperymentował z różnymi substancjami, ale najbardziej skupiał się na nitroglicerynie.

Rzecz w tym, że to substancja bardzo niestabilna. Do tego stopnia, że jej wybuch w posiadłości Heleneborg, na wyspie Södermalm w Sztokholmie, gdzie mieściła się fabryka Nobla, zabił pięć osób. W tej liczbie Emila, młodszego brata Alfreda. Nobel nie przerwał badań. I wreszcie odkrył, że nitroglicerynę doskonale pochłania ziemia okrzemkowa, powstająca jako osad na dnie zimnych zbiorników wodnych. A taka mieszanka jest znacznie bezpieczniejsza, zaś jej detonacja prostsza niż samej nitrogliceryny.

Tak powstał dynamit, choć jego wynalazca na początku ochrzcił go „wybuchającym prochem Nobla". Był jednak erudytą, więc bardziej do gustu przypadło mu słowo ze starożytnej greki, „dýnamis", oznaczające „siłę".

A Nagroda Nobla? Ponoć wzięła się z omyłkowo wydrukowanego nekrologu Alfreda Nobla, w którym niektóre gazety nazwały go „handlarzem śmiercią". Szwedzki wynalazca nie chciał pozostawić po sobie takiej spuścizny i zdecydował się zrobić coś dobrego. Ale dowodów, czyli rzeczonego nekrologu, że tak właśnie było – nie ma.

Jest za to dzisiejsza „Weekendówka", którą poświęciliśmy właśnie Nagrodom Nobla i noblistom, a do jej współtworzenia zaprosiliśmy Michała Rusinka, literaturoznawcę, pisarza, tłumacza i byłego sekretarza naszej noblistki Wisławy Szymborskiej.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

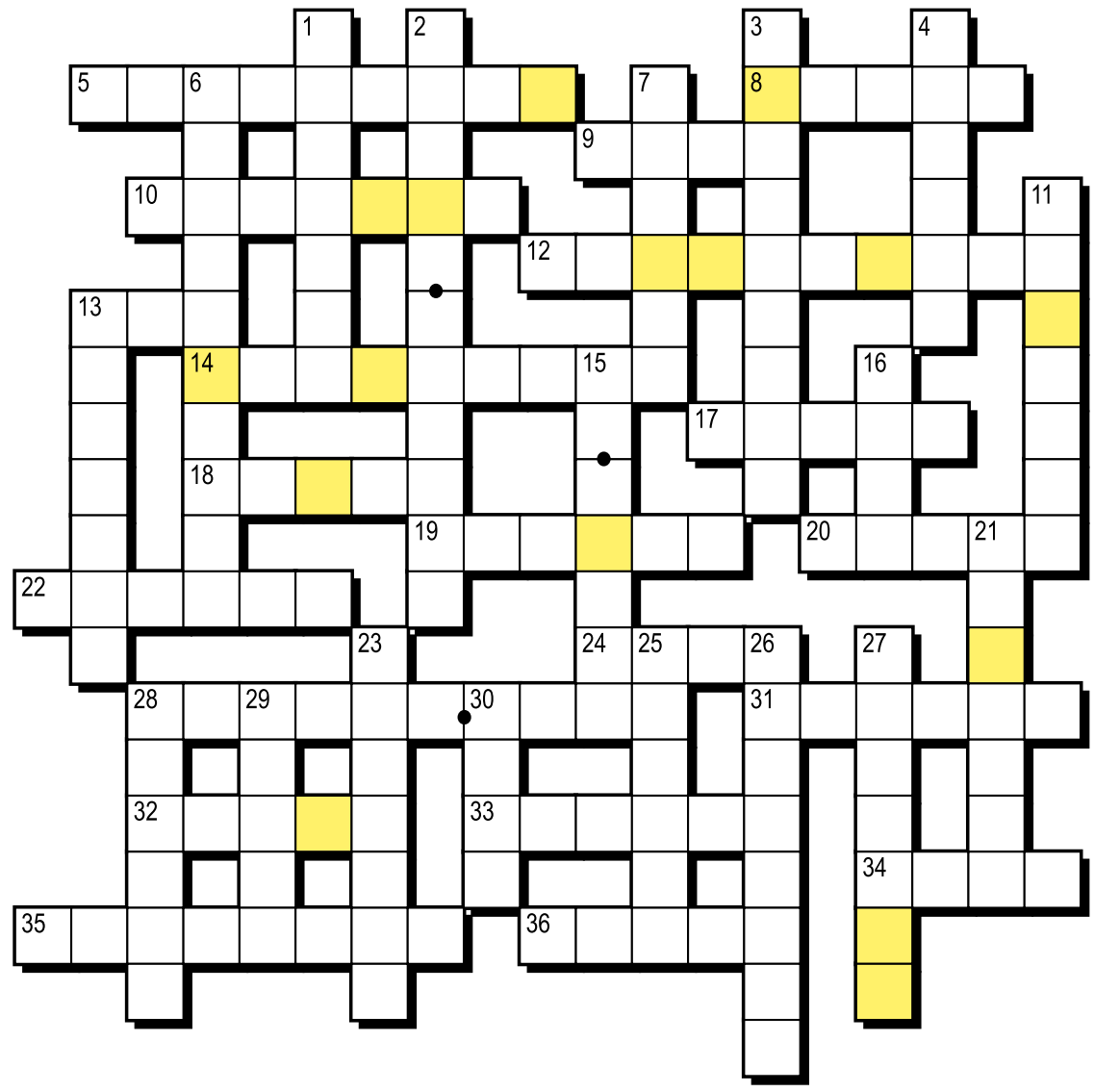

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 27 z 19.11:

Poziomo:
4) arabski 8) król strzelców 10) alergia 11) powołania 12) szala 14) sparring 18) mecz 19) Rodowicz 21) szatnia 22) centra 23) cel 24) Michniewicz 26) murawa 29) Buksa 33) obrona 34) kopanina 37) Oman 38) turniej 39) Dauha 40) piłkarz 41) zadymka

Pionowo:
1) grupa śmierci 2) wrzawa 3) Al-Sani 4) awans 5) arena 6) sygnalizacja 7) Iran 9) Lewy 13) Zidane 14) Szczęsny 15) remis 16) gracze 17) Szwajcaria 20) wtorek 23) czas 24) Maroko 25) Chorwaci 27) UEFA 28) kartka 30) kibice 31) akcja 32) dirham 35) pudła 36) brąz.

Hasło: **TRZYMAJMY KCIUKI**

NAGRODA NOBLA

Hasła Michała Rusinka oznaczono inicjałami (M.R.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) figa z makiem, czyli laureat Literackiej Nagrody Nobla z 1958 roku (nagrody nie przyjął) (M.R.)
8) imię Pamuka, tureckiego pisarza
9) ... Szwecji, instytucja fundująca Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii
10) kojarzy się z Noblem i laskami
12) dziedzina, w której noblistami zostali m.in. Doris Lessing i Pablo Neruda
13) ... Dylan, w swym dorobku ma Nobla, Oscara i Grammy
14) Nagrody Nobla – z rąk szwedzkiego monarchy
17) Alice, kanadyjska pisarka nagrodzona w 2013 r.
18) ... Lagerlöf, pierwsza kobieta z Literacką Nagrodą Nobla (1909)
19) Maria Skłodowska-Curie
20) Mario Vargas, peruwiański prozaik (Nobel 2010)
22) trzeba nim być, żeby dostać literackiego Nobla (M.R.)
24) imię laureata Pokojowej Nagrody Nobla w 1983 r.
28) opracowana m.in. przez matematyka Johna Nasha (Nobel z ekonomii w 1994 r.)
31) ojczyzna Icchaka Rabina i Szmuela Josefa Agnona
32) nazwisko autora powieści „Blaszany bębenek" (Nobel 1999)
33) imię Kocha, odkrywcy prątków gruźlicy (Nobel z medycyny w 1905 r.)
34) George Bernard, autor komedii „Pigmalion" (Nobel 1925)
35) „Czuły ...", tytuł mowy noblowskiej pisarki z określenia 3 pionowo
36) twórca dzieła

Pionowo:
1) ... bez Granic, organizacja uhonorowana Pokojową Nagrodą Nobla w 1999 r.
2) francuska pisarka, noblistka A.D. 2022
3) nazwisko laureatki literackiego Nobla za 2018 r.
4) Knut, norweski pisarz, autor powieści „Głód" (Nobel 1920)
6) jej trup nie należał do żadnych literackich grup (M.R.)
7) Jean-Paul, francuski filozof i pisarz, który nie przyjął Nagrody Nobla
11) Nelson, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, który spędził 27 lat w więzieniu
13) poprzedzają ważne odkrycia naukowe
15) humorystyczny odpowiednik Nagród Nobla (popularyzują naukę, przy okazji śmiesząc)
16) Karol XVI Gustaw, wręczył Nobla autorce powieści „Bieguni"
21) ojczyzna Alfreda Nobla
23) imię polityka, który dostał – o dziwo – Literacką Nagrodę Nobla (M.R.)
25) imię autora powieści „Komu bije dzwon" (Nobel 1954)
26) polski Nobel dla ..., czyli nagroda Klio (wpisujemy w mianowniku liczby pojedynczej)
27) Josif, rosyjski poeta i eseista (Nobel 1987)
28) Rabindranath, indyjski poeta, prozaik i filozof (literacki Nobel w 1913 r.)
29) Barack, w 2009 r. otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla
30) Al, amerykański polityk (Pokojowa Nagroda Nobla 2007)

Leszek Rydz

Klub „Wyborczej"

Kryzys klimatyczny i humanitarny w Polsce

Obejrzyj na wyborcza.pl we wtorek, 29 listopada, godz. 20

Dołącz do Klubu „Wyborczej" na Wyborcza.pl/prenumerata

Adam Wajrak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34182177

1 RP

eprasa.pl 9f18aadd43